

OPOWIADANIA
NAJLEPSZE

RAFAŁ
DĘBSKI



Pasterz
Upiorów

Dębski Rafał

Zbiór Opowiadań

Spis treści

Narodziny nadziei .3

Serce Żywych Gor 47

Ujarmić miasto 103

Kosmiczne opętanie 161

Moc okruchu 218

Narodziny nadziei

Podążali przed siebie wytrwale, nie zważając na chłód i ciemność. Dowódca strzegącego ich oddziału wojska był zdumiony pomysłem, by nie przerywać marszu ani na chwilę.

Nawet pustynne okręty, niezmordowane wielbłądy, wydawały się wyczerpane trudami podróży. Jednak jeśli książęta nakazują jechać, nie pozostaje nic innego jak podporządkować się poleceniom.

- Nie obawiaj się – rzekł jeden z dostojników, poufale klepiąc żołnierza po ramieniu

– nie pobjądzimy. Wystarczy jechać prosto przed siebie. Dobrze mówię? – zwrócił się do najbliższego towarzysza.

Tamten drgnął, wyrwany z zamyślenia.

- Pewnie tak. Zawsze mówisz mądrze – mruknął. Słowa z trudem przedzierały się przez gęstą brodę.

- Widzisz, Halim? Nawet wielki książę ufa gwiazdnym drogowskazom na tyle, by nie zaprzętać sobie głowy wątpliwościami.

Dowódca oddalił się kilka kroków. Mruczał pod nosem niezadowolony. Magom wszystko wydaje się proste. Prostsze niż zwykłym ludziom. Kto jednak zdoła zmusić do marszu zmordowane wierzchowce? Ludziom można wydać rozkaz, a wykrzeszą z siebie resztki sił. Ale zwierzęciu, kiedy ustanie, nie da rady wytłumaczyć, że ma uczynić więcej niż jest w stanie.

Do dwóch bogato odzianych mężczyzn podjechał trzeci.

- Zostało chyba mało czasu – powiedział. – Może za mało...

Brodaty kiwnął głową na zgodę, ale nic nie powiedział. Zerknął na tego, który rozmawiał

przed chwilą z Halimem, jakby jego wywoływał do odpowiedzi. Mężczyzna uśmiechnął

się.

- Miarą czasu – rzekł – nie jest pośpiech za wszelką cenę. Jednak masz słuszość, prawda, Baltazarze? – zwrócił się do brodatego – Musimy cenić czas. Wszak dlatego nie stanęliśmy na nocleg.

Dowódca wrócił do swoich ludzi, czując nieprzyjemne mrowienie z tyłu głowy.

Księżę Melchior zwykł rozmawiać z Babilończykiem w dziwaczny sposób. Odpowiadał

na niezadane pytania, czasem prowadził monolog, jakby dyskutował ze zdaniem maga.

Aż strach z takimi podróżować. Lepiej jechać między żołnierzami, udając przed samym sobą, że dowodzi eskortą karawany złożonej ze zwyczajnych kupców.

- Czy dostąpiłeś, oświecenia, Baltazarze? – padło ciche pytanie. – Czy zdołałeś wreszcie wyczytać, dokąd mamy się skierować po wejściu na judejską ziemię? Czy znaki na niebie wciąż zwodzą cię, pozostają zagadką?

Baltazar nie odpowiedział. Nie musiał. Melchior i tak wiedział swoje. Przecież też potrafił

patrzeć w niebo i czytać w dalekich światłkach.

Kobieta krzyczała w nieopisanej męce. Kobieta... Delikatna skóra, gładkie, niemal dziecięce rysy... Miała piętnaście, może szesnaście lat. Usta wykrzywiła w grymasie bólu.

Dziecko nie chciało się narodzić. Zatroškany mąż stał przy niej, nie wiedząc, co robić.

Pojął

ją niedawno za żonę, a przedtem nigdy nie uczestniczył w narodzinach.

- Boże Izaaka – wyszeptała dziewczyna między jednym skurczem a drugim – Boże Abrahama i Jakuba... dopomóż...

- Panie – kilkunastoletni wyrostek pociągnął za rękaw mężczyznę – znam w mieście jedną akuszerkę. Mnie odbierała i dwóch moich braci. Doświadczona baba, choć całkiem jeszcze młoda.

- Leć po nią, Szymonie!

- Jeno ona bez zapłaty nie przyjdzie... A wy groszem nie śmierdźcie.

- Powiedz, że odrobię pracą rąk wszystko, do najmniejszego złamanego szkła.

Chłopak pomknął, zadudniły tylko bosc pięty. Mężczyzna pochylił się nad kobietą, ujął ją za rękę.

- Niebawem przyjdzie znająca – powiedział miękko. – Wytrzymaj, proszę. Kocham cię.

- I ja ciebie miłuję – uśmiechnęła się przez łzy. Szarpnęła się z bólu. Grube krople potu w jednej chwili pokryły twarz. Krzyknęła, potem cicho jęknęła. – Cokolwiek się stanie, przysięgnij, że zajmiesz się dzieckiem... będziesz je kochał, chociaż nie twoje nasienie powołało je do życia.

- Nieważne. Będę kochał jak swoje. Ale nic się nie zdarzy, moja miła. Jeśli ma cię to jednak uspokoić, przysięgam.

- Dobry z ciebie człowiek, Józefie. Bóg wiedział co robi, stawiając cię na mojej drodze, choć doprawdy nie wiem, czy zasługuję na ciebie.

- Nie mów takich rzeczy. Jeszcze gotów jestem uwierzyć.

Król spoglądał na wróżbitę spod zmarszczonych brwi. Mędrzec mrucał coś do siebie, wpatrzony w pozornie chaotyczny rozkład kamieni na posadzce. Obok, w srebrnej misie, spoczywała wątroba koźlęcia, z której przed chwilą odczytywał znaki.

- Módl się i czynń pokutę – rzekł uroczystym tonem. – Nie żałuj jałmużny, nie czynń krzywdy małuczkiem. Kiedy niebo pęknie i rozleje się na świat błogosławieństwo, bądź

czystego serca.

Król zwarł z traskiem szczęki. Wróż spojrzał nań bez lęku, wręcz hardo i zuchwale.

- Są na świecie mocarze potężniejsi od ciebie...

- Tego mi mówić nie trzeba – warknął monarcha. – Wiem bez twoich magicznych sztuk, zem władcą upadłego królestwa. Jednak nie tak ono małe, by się z nim nikt zgoła nie liczył.

- Pozwól skończyć, panie. Nie ci są bowiem najsilniejsi, którzy żyją. Respekt należy mieć przed takimi, co się narodzą pod twoim bokiem.

- Mów wyraźnie, człowieku! Nie lubię zagadek. Albo usłyszę, coś dostrzegł bez tych ozdobników i tajemniczych pomruków, albo wydam cię oprawcom.

- Barbarzyński to obyczaj zabijać zwiastunów.

- Nie wszystkie barbarzyńskie obyczaje są złe. Mów!

- Jak sobie życzysz. Niebawem przyjdzie na świat ktoś, przed kim uklękną narody, kto uświadomi wielkim i małym tego świata, iż są tylko i wyłącznie ludźmi, kto sprawi, że złoto korony utraci blask.

- Pretendent! – Król uderzył pięścią w kolano. – Natychmiast gadaj, kim jest ten, który ma pozbawić mnie władzy!

Akuszerka przybiegła zdyszana, zła jak osa. Chłopak wyciągnął ją z łóżka, ledwie zdążyła zmrużyć powieki. Nie chciała iść, bo tego dnia przyjęła już trzy porody, ale błagał ze wszystkich sił, przemawiał ze łzami w oczach, usiłował nawet uklęknąć. Gderała całą drogę, odgrażała się, że zażąda podwójnej zapłaty. Jednak kiedy weszła do ubogiej chatynki daleko za miastem, gniew minął. Młoda dziewczyna wyglądała po prostu żałośnie. Widać było, że niewiele jej potrzeba, a bez pomocy zgaśnie nim zdoła urodzić.

- To Estera – wysapał chłopiec wskazując przybyłą.

- Wody gorącej – zarządziła akuszerka. – Tylko szybko! I kubek gliniany, bym mogła naparzyć ziół!

Przystojny, wysoki mężczyzna w sile wieku natychmiast wybiegł na zewnątrz, gdzie płonęło ognisko. Zapobiegliwie zadbał o wrzątek już wcześniej.

- Nie lękaj się, moja droga – Estera położyła dłoń na spoconym czole rodzącej. –

Doświadczenia mi nie brak, a ty młoda jesteś, poradzimy sobie. Pokaż teraz, jak tam wygląda.

Uniosła skraj długiej szaty, spojrzała między rozchylone nogi kobiety.

- Oj, gotowa już jesteś, a maleństwo zaparło się najwyraźniej i nie chce wychodzić..

Nie ma na co czekać. Jak ci na imię, dziecko?

- Maria.

- Posłuchaj uważnie. Musisz wykonać każde moje polecenie. Inaczej będzie trudno.

Zrozumiałaś?

Potwierdzenie wyrwało się z piersi rodzącej wraz z przeciągłym jękiem. Tymczasem Józef i Szymon wtaszczyli spory sagan z gorącą wodą. Estera kazała go postawić obok barłogu, gestem wyгнаła obu na zewnątrz. Zaczepnęła w kubek, rozkruszyła pęczek ziół, wrzuciła je i wprawnym ruchem potrząsnęła naczyniem, nie roniąc ani kropli. Rozszedł

się miły, upojny zapach.

- Wypij – Przyłożyła kubek do warg rodzącej. – Nie szkodzi, że parzy. Musi tak być.

- Zbliżamy się do granicy – rzekł Halim. – To jeszcze wprowadzie prawie dwa dni, ale trzeba już pomyśleć, co uczynić. Judejczycy niechętnie teraz wpuszczają obcych. Odkąd namiestnik cesarza...

- Wiem, wiem – przerwał Melchior – spis ludności. Ale nie będziemy się zanadto martwić. W końcu

prowadzimy pokaźny oddział wojska. Byle celnik nas nie zatrzyma.

- Co słyszę, Melchiorze! – odezwał się brodaty – Chcesz doprowadzić do wojny?

- Nie, ale czas upływa nieubłaganie, a my musimy dotrzeć na miejsce w odpowiedniej chwili, a najlepiej jeszcze wcześniej. Sam o tym mówiłeś.

- A jednak kiedy Kacper nas ponaglał...

- Zawsze był zapalczywy. Pamiętasz podróż do Hellady, kiedyśmy dawno temu po raz pierwszy wyruszyli poszukiwać pomazańca? Wtedy też popędzał. On to czyni z nawyku, nie myśląc nawet. Teraz także pojechał do przodu z żołnierzami. Nie potrafi usiedzieć chwili na jednym miejscu.

- Ale tym razem jesteś pewien, prawda? Przedtem nigdy aż tak nie pośpieszałeś. A znaki przecież były.

- Były... Niewyraźne, ale były. Wiesz przecież, że żadnych nie wolno nam lekceważyć.

Poza tym wtedy niemowlęciu nic nie groziło.

- Mam nadzieję, że tym razem nie jedziemy na próżno. Zmęczony jestem, chcę wreszcie wypocząć. Zazdroszczę Kacprowi niespożytych sił.

- I on ma już dość, przyjacielu, zapewniam cię.

Baltazar zamilkł na chwilę, potem spojrzał w niebo.

- Czytałem dziś gwiazdy – mruknął. – A raczej powinienem rzec, że usiłowałem czytać.

Już od kilku dni nic nie mogę dostrzec. Jakby niebo zamknęło się przed moją wiedzą.

Przydarzyło mi się coś podobnego pierwszy raz w życiu.

- To dobrze czy źle, jak sądzisz?

- Nie wiem. W takich sprawach nigdy nie wiadomo. Jedno, co mogę powiedzieć z całą pewnością to, że stanie się coś niezwykłego. Czy koniec końców narodzi się światłość, czy górę wezmą siły ciemności, nie jestem w stanie stwierdzić.

- Pojadę do przodu – rzucił Melchior – zobaczę, co się dzieje z Kacprem.

Baltazar pozostał sam. Dosłownie sam, bo dookoła żołnierze podrzemywali w siodłach, uciekając od trudów wędrówki tak daleko, jak tylko mógł ich oddalić sen. Uczony z zafascynowaniem spoglądał na rozgwieżdżony firmament. Zazdrościł wojownicemu Persowi Kacprowi wrodzonej beztróski, a przedsiębiorczemu Melchiorowi umiejętności dostrzegania w każdej sytuacji korzystnych aspektów. Prawdziwie kupiecka w nim dusza, ale nic dziwnego, skoro jego przodkowie byli księżętami w Fenicji. Baltazarowi wiedza babilońskich magów ciążyła w takich chwilach szczególnie. Trudno

oderwać się od ciężkich myśli, od rozważania wszelkich możliwości, wyciągania wniosków... Jakże często smutnych wniosków.

Wszyscy są zmęczeni, znużeni wieloletnimi wędrówkami w poszukiwaniu orędownika prawdy, jej uosobienia. Składali cenne dary w ręce królów i wielkich książąt, jednak za każdym razem następowało rozczarowanie, musieli się zderzać z okrutną prawdą, bo żaden z obdarowanych nie okazał się tym, którego pragnęli odnaleźć... Czy tym razem będzie inaczej?

Wiele by dał za chwilę ulgi, możliwość zrzucenia uwierającego brzemienia wiedzy i odpowiedzialności.

Król nie mógł zasnąć. Dręczyły go niewesołe myśli wywołane przepowiednią. Poza tym noc stała się nieoczekiwanie parna. Coś zawisło w powietrzu razem z wilgocią, zupełnie jakby niedopowiedziane, groźne słowa wróżbity mogły nagle stać się rzeczywistością, zaskakującą niespodziewanymi wydarzeniami. Klasnął w dłonie. Niewolnik wkroczył do komnaty.

- Sprowadź natychmiast Alliję – rozkazał.

- Już czeka – skłonił głowę poddaniec.

- Doskonale. Jutro zgłoś się po nagrodę. Znasz potrzeby swego pana bodaj lepiej niż on sam.

Niewolnik wycofał się zgięty w ukłonie, prawie natychmiast jego miejsce zajęła zwiewna postać kobiety. Król nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sługa zamienił się w nałożnicę zanim jeszcze przekroczył próg. Uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczora.

- Witaj, Allija – rozłożył się wygodnie na posłaniu.

- Czy coś smuci mego pana, Heroda Archelaosa, któremu nie masz równych...

- Nie mów słów, w które sama nie wierzysz – chciał jej przerwać, ale dokończyła:

- Któremu nie masz równych w całej Judei i sąsiednich krainach.

- Chyba że tak – mruknął. – Już się bałem, że porównasz mnie do rzymskiego cesarza, a tego bym nie zniósł.

Z goryczą i nostalgią pomyślał o przodkach, którzy podbijali okoliczne kraje po ucieczce z Egiptu, byli prawdziwym postrachem i biczem bożym dla pogańskich ludów.

- Niegdyś wszyscy drżeli przed wojowniczym ludem Abrahama – szepnął bardziej do siebie niż do niej. – Niewielu znalazło się takich, co chcieliby się z nim równać. Nawet faraonowie obawiali się potęgi Dawida i Salomona.

- Tak się toczą dzieje – Allija spoczęła obok króla, położyła mu głowę na ramieniu.

– Jedne królestwa rosną, inne podupadają – ostatnie słowa odezwały się niemiłym zgrzytem w umyśle Heroda. – Ale ty jesteś władcą kraju, z którym liczyć się musi nawet imperator.

- Liczyć – prychnął pogardliwie. – Nie ze mną się liczy, ale raczej z możliwością buntu pospólstwa. W Jerozolimie zawsze czuć wrzenie, a gdyby tu się coś zaczęło, pożogą rozleje się na cały kraj. A jeszcze pogłoski o nadejściu wybrańca, pomazańca czy jak go tam chcą zwać...

- Mesjasza – pomogła wypowiedzieć słowo, którego nie chciał z siebie wyrzucić. –

Mój władca obawia się kogoś, o kim nie wiadomo nawet, kiedy nadejdzie. Może dziś, może jutro, a mogą upłynąć jeszcze długie lata.

- Nie jestem głupcem. Obawiam się nie człowieka, ale legendy, Allija, dobrze wiesz.

Słowa bywają groźniejsze od czynów, a język twardszy do miecza.

- Zatem trzeba uczynić niemożliwym wydostanie się słów z gardła.

- O czym myślisz? – Podniósł się na łokciu. Głowa kobiety zsunęła się na poduszkę.

Herod bezwiednym ruchem wsunął dłoń pod zwiewną szatę, ujął jędrną pierś. –

Zadziwiająco

– mruknął. – Przecież masz już prawie pięćdziesiąt lat, Allija, a ciało trzydziestolatki.

- To dla ciebie, mój panie. Zasługujesz na najlepsze...

- Tak. Cudowne ciało i wielka mądrość. Oddałem ci duszę i czasem mnie to przeraża.

Jednak w takich chwilach wiem, że było warto. Mów teraz, co według ciebie znaczy zdławić słowa w gardle.

- Najprościej, panie, zapobiec takim rzeczom owo gardło podcinając, zanim w ogóle zrodzi się myśl, by wypowiedzieć niebezpieczne zdanie.

Herod wydał wargi.

- A dokładniej?

Maria krzyczała w męce. Dziecko nie chciało wyrzeć na świat. Zioła, które miały przyśpieszyć poród działały nieoczekiwanie słabo. Estera trwała pochylona, z dłońmi między udami rodzącej. Potrzebowała pomocy, zawołała więc męża niewiasty. Był

przerażony, ale wykonywał wszystkie polecenia akuszerki.

- Uciskaj – mówiła – mocno, ale i z wycuciem. Przesuń ręce wyżej, teraz płynnymi ruchami w dół. Trochę mocniej... dobrze. Już myślałam, że pójdzie gładko, ale strasznie uparty ten dzieciaczek.

Mężczyzna przymknął oczy. Robił swoje i modlił się żarliwie. Nadleciały wspomnienia sprzed kilku miesięcy. Dziewczynę wydano za niego prawie siłą, by nie rzec podstępem.

Podobno zakochała się w jakimś młodym legionście. Młodzieńcza miłość jest czymś, co na człowieka spada zniecka, nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. Sam, będąc chłopcem, podkochał się na zabój w dalekiej krewnej ojca. Nie miało znaczenia, że była starsza prawie dwadzieścia lat. Wtedy gotów był w ogień skoczyć, aby ją zdobyć.

Maria spotykała się z żołnierzem potajemnie, z dala od ludzkich oczu. Nie pozwoliła na nic więcej niż niewinne pocałunki. Musieli się strzec zarówno jej ojca, jak i buntowników, gotowych ukamienować dziewczynę, która oddała serce najeźdźcy. Ale kiedy okazała się brzemienna, sprawa pękła. Maria przysięgała, że jest dziewicą, a życia w jej łonie nie zasiał Rzymianin lecz archanioł, wysłannik Najwyższego. Nie chciała też spędzić płodu, choć co dzień słyszała nalegania i rozkazy. Józef widywał ją często. Ze słodkiego stworzenia, rozszczebiotanego ptaszka, w ciągu jednego dnia stała się przygarbioną, zgorzkniałą kobietą. Wreszcie stało się, co się stać musiało. Wieść o rzekomej zdradzie dotarła do niepożądanych uszu. Mściciele zjawili się w dziesięciu, każdy z zapasem starannie wybranych kamieni. Dopadli nieszczęsną i osaczyli kilka kroków od warsztatu Józefa, gdzie narożny mur uniemożliwiał ucieczkę, nie było żadnej osłony. Pierwszy kamień trafił ją w ramię. Odwróciła się do prześladowców tyłem, chroniąc rosnące w niej życie. Józef usłyszał krzyki. Wyrzwał, a to, co zobaczył

sprawilo, iż przed oczami zatańczyły krwawe płatki. „Z żołnierzami wojujcie!”. Z tym okrzykiem wpadł między oprawców, rozdał na oślep ciosy wielkim drewnianym kołkiem.

Popłynęła krew. Obezwładnili go dopiero po kilku chwilach. Dwóch trzymało za ręce, jeden ścisnął w pasie, a przywódca tłukł pięściami po twarzy. Reszta się przypatrywała.

„Co się o nią zastawiasz?” warknął któryś. Uderzenia ustały, czekali na odpowiedź. „Bo dziewczyna nosi moje dziecko, głupcy!”. Tylko to przyszło mu w tej chwili do głowy.

Zapadła cisza. A potem prześladowcy odeszli tak nagle jak się pojawili. Nie zważając na ból, na ruszające się zęby, podbiegł do Marii. Leżała skulona, dłońmi chroniąc brzuch.

Jeszcze do niej nie dotarło, że jest bezpieczna. Józef zaniósł ją do domu. A potem sąsiedzi, którzy patrzyli na kaźń przypomnieli mu, że przyznał się do ojcostwa. Rodzice dziewczyny uczepili się tego oświadczenia, gotowi iść do rabinów i prawników, zwrócić się nawet do jerozolimskiego sanhedrynu ze skargą, jeśli nie poślubi Marii.

- Przeznaczenie – powiedział do siebie, uciskając brzuch rodzącej. – Złączyło nas przeznaczenie.

- Bóg, Józefie – dosłyszła go mimo dojmującego bólu. – On tak chciał.

- Nie gadaj teraz, dziewczyno – fuknęła Estera. – Skup się, oddychaj głęboko... A ty, chłopie, uciśnij

niecو mocniej, nie bój się... tak... właśnie tak!

Maria krzyknęła rozdzierająco, bo mąż sprawił jej ból. W tej samej chwili akuszerka wydała zadowolony pomruk. Wyjęła wreszcie ręce. Spoczywała na nich lekko sina, zakrwawiona istota. Pępowina ciągnęła się i płatała, jakby chciała zatrzymać dziecko przy matce. Zachłysnęło się, wydało pierwszy krzyk.

- Podaj mi go – poprosiła Maria.

- Boże – rzekł Józef patrząc w otwór okna – czy to już dzień? Przecież ledwo po północy.

Niespotykany blask wtargnął do pomieszczenia. Zwierzęta w zagrodzie obok obudziły się, wszczęły ruch.

Baltazar stał na ziemi, trzymając krótko przy pysku przestraszonego wielbłąda.

- Niebo pękło! – usłyszał przerażone głosy żołnierzy. – Uchodźmy czym prędzej, nim spadnie na nas kara niebios!

- Stać! – zawołał wielkim głosem mag. – Stać i nie ruszać się, bo w pierw dosięgnie was mój gniew!

Obawiali się go. Nigdy nie uczynił żadnemu krzywdy, nie rozgniewał się nawet, kiedy nieostrożny wojak rozbił naczynie z jakąś cenną ingrediencją. Ale otaczała go sława wielkiego czarownika. Dlatego zatrzymali się, przestępując niepewnie z nogi na nogę.

- To nie niebo pękło – przemówił łagodnie jak do załęcznionych dzieci. – To tylko jedna z gwiazd wybuchła. Padnijcie na kolana, bo oto narodził się ten, któremu śpieszymy z odsieczą.

Spojrzał w oślepiający blask. Nie przypominał niczego, co dotąd widział. W tej chwili znikły wątpliwości, a pojawiła się nadzieja. Z przodu doleciały krzyki. Pędzili żołnierze przedniej straży, których Melchior z Kacprem nie zdołali powstrzymać. Jednak na widok kłęczących towarzyszy przystanęli, a spokojna twarz Baltazara dodała im otuchy.

Zaraz nadbiegli obaj książęta.

- Widzisz, Babilończyku? – powiedział Melchior – Niebo zamknęło się przed tobą, bo szykowało się do takiego właśnie spektaklu. Halim! – zwrócił się do dowódcy – wyślij paru ludzi, żeby wyłapali wielbłądy! Widzisz? – powtórzył, znów patrząc na maga.

- Widzę – Baltazar ukląkł, zwracając się w stronę, z której dochodził najmocniejszy blask.

Pozostali poszli za jego przykładem. Pochylił się w ukłonie, dotknął wargami piasku. –

Niech moce niebios czuwają nad pomazańcem, zanim doń dotrzemy. I pospieszmy się –

dodał

wstając – jesteście mocno spóźnieni.

- A widzisz? – Kacper spojrzał triumfalnie na Melchiora. – Nawet on...

- Nie gadaj po próżnicy – mruknął Fenicjanin niechętnie – bo wszyscy wiemy, że tobie zawsze się śpieszy, trzeba czy nie trzeba. Spójrz lepiej na nieboskłon. Mówią o podobnych zjawiskach stare księgi, ale nigdy o tak rozległych. Toż dzień się uczynił z nocy.

- Wielka jest moc w gwiazdach – rzekł Baltazar. – Zaś ta musiała być mocarzem wśród mocarzów, skoro rozpuknęła się w takim rozbłysku. W tym musi być palec Boga.

Podobne rzeczy nie dzieją się przypadkowo.

- W drogę więc! – zawołał niecierpliwie Kacper. – Wszyscy pomóżmy ludziom łapać wielbłądy. Inaczej zmarudzimy do dnia.

- Już jest dzień – mruknął Melchior.

- Nie gadaj, tylko chodź – popędził go Pers. – Ty nie, Baltazarze. Najstarszy jesteś, należy ci się chwila wytchnienia. Musimy jak najszybciej znaleźć się na miejscu... a przede wszystkim dowiedzieć się dokładnie, gdzie jest to miejsce. Pałac Heroda? Czy jego potomek okaże się wybrańcem? Ta gwiazda rozpuknęła się gdzieś w tym rejonie nieba –

pokazał na zachód – a tam przecież leży Jerozolima.

Mag znów został sam z myślami. Nadzieja w jego duszy znów zmagala się z wątpliwościami. Przecież w ciągu ostatnich lat wiele razy wyruszali na podobne wyprawy, żadna jednak nie zakończyła się powodzeniem. Rzeczywiście był już w podeszłym wieku, czasem przychodziła ochota rzucić wszystko, osiąść w spokojnym zakątku własnego dominium, oddać się studiom nad naturą rzeczy. Nie wolno jednak lekceważyć prorocstw, a te stwierdzały wyraźnie, że w tych latach na ziemię ma zstąpić pomazaniec. Kiedy i gdzie, tego księgi nie mówiły wyraźnie. Można było znaleźć wzmianki o różnych miejscach i różnym czasie, ale uczone traktaty niezwykle często kłamią w takich sprawach, są równie omylne jak ludzie, którzy je piszą. Spojrzał w niebo.

Oślepiający blask nie stracił na intensywności. W

ostatnim tygodniu gwiazdy zamknęły się przed ludzkimi umysłami, skrywając tajemnice przyszłości zakłute pośród odległych ogników, od dziś nie będzie można niczego odczytać z powodu tego światła. Opuścił wzrok, przymknął oczy. Pod powiekami zatańczyły barwne płatki. Układały się w korowody, łączyły w konstelacje... konstelacje...

zaraz... Baltazar przygryzł wargi. To było niespodziewane i niesamowite – przed oczami miał obraz nieba dokładnie takiego, jakim je znał. Zacisnął mocniej powieki, usiłując jak najdłużej zachować ten obraz. A potem uśmiechnął się triumfalnie.

Król krążył po komnacie niczym rozzłoszczony lew w klatce. Co chwila podbiegał

do okien, obserwował rozjarzony nieboskłon. Allija przycupnęła w kącie. Światłość zaskoczyła ich podczas miłosnych igraszek. Herod pierwszy dostrzegł zjawisko, zerwał

się przerażony, a nabrzmiała męskość w jednej chwili skurczyła się. Władca był zupełnie wytracony z równowagi. To co brał do tej pory jedynie za możliwość, o czym starał się myśleć jako o bredniach oszukańczego wróżbity, nad czym deliberował z Alliją, nie zamierzając właściwie podejmować radykalnych kroków, właśnie stało się faktem.

Nieziemski blask pokonał czerń nocy, rozdarł ciemne zasłony nieba.

- Boże Abrahama – powiedział głośno – dlaczego uczyniłeś to właśnie mnie? –

zwrócił oczy na kobietę. – Przyszedł na świat ten, który ma strącić mnie z tronu. Nowy król żydowski i pan całego świata.

Allija nie odzywała się. Czekwała aż w Herodzie dojrzeje decyzja.

- Mądra jesteś – powiedział, zatrzymując się przed nią. – Jeszcze godzinę temu zrymałem się i nie chciałem wysłuchać do końca twoich mądrych słów. Ale teraz mam zamiar z nich skorzystać.

- Zawsze chętnie usłużę ci radą. – wstała i skłoniła się nisko. A potem na jej ustach zagościł lekki uśmiech: – I nie tylko radą, mój panie.

- Tak – odparł. Poczł nagle narastające podniecenie, jakby to, co postanowił

uczynić, dodało mu męskich sił. – Tym drugim możesz mi usłużyć nawet w tej chwili.

Najpierw jednak wydam odpowiednie rozkazy.

- Tak, panie – znów się skłoniła. – Trzeba działać szybko i zdecydowanie.

- Obawiam się tylko... Mój ojciec, Herod Wielki... Kilka lat temu kazał zabić całkiem pokaźną liczbę spiskowców, wraz z rodzicami i dziećmi. Pamiętasz? Wytykano mu później rzeź niewiniątek.

- Jednak twój sławny imiennik czynił to jedynie z obłądnego strachu. Ubzdurał

sobie, że ludzie ci chcą go zgładzić. Twoje położenie jest inne, bowiem walczysz o swoje w pełni świadom konieczności podjęcia odpowiednich działań. Uczyn, co powinieneś.

Chyba że tak bardzo cię obchodzi, co na to powie potomność.

- Zawsze jest szansa – uśmiechnął się drapieźnie – że przyszłe pokolenia przypiszą moje dzisiejsze uczynki ojcu. Pamięć ludzka bywa bardzo zawodna. Szczególnie jeśli uszy kronikarzy oszołomić

brzękiem złota.

- Czasem przeraża mnie twoja przebiegłość, panie - powiedziała z podziwem Allija.

- To cudownie podniecające.

- Moje kochanie – szepnęła Maria. Dziecko spało pod jej ramieniem, owinięte w miękkie pieluszki. Zapobiegliwy Józef zadbał przed wyjazdem, by na wypadek porodu było w co owinać noworodka. Estera, kiedy już oporządziła chłopczyka, wyraźnie ociągała się z oddaniem maleństwa, jakby chciała zatrzymać je przy sobie jak najdłużej. Maria zauważyła to, uśmiechnęła się wtedy do akuszerki. – Mój skarb największy.

Mężczyzna wraz z pasterzem patrzyli wzruszeni. Estera, zmęczona, usiadła obok.

- Bardzo ładny chłopiec – rzekła. – Będziecie mieli z niego pociechę i wsparcie na stare lata.

Maria skrzywiła się, jakby coś ją nagle zabolalo.

- Nie dla siebie go wychowam – powiedziała cicho. – Nie mnie będzie wspierał gdy nadejdzie starość.

Estera w pierwszej chwili chciała zaprotestować, ofuknąć położnicę, ale napotkała jej smutny wzrok. Rozpacz siłą dorównywała w nim matczynej miłości. Na zewnątrz rozległy się głosy.

- To moi bracia przybiegli – powiedział pasterz. – Musiała ich przerazić myśl, co się stało ze stadem, kiedy niebo pękło na dwoje. Nie wiedzieli przecież, żeśmy zagnali zwierzęta do zagród, gdy Maria zaczęła rodzić.

Po chwili do chaty wbiegło trzech ludzi. Podobni byli do siebie nawzajem i do Szymona.

Stanęli w progu zaskoczeni, onieśmieleni widokiem urodziwego oblicza Marii, rosnącej postaci Józefa i złego spojrzenia Estery.

- Patrzcie, bracia! – zawołał Szymon. – W naszej podłej pasterskiej chałupie przyszło na świat nowe życie. A ledwo się temu światu ukazało, z nieba spłynęła światłość!

Patrzyli z niedowierzaniem, a potem najstarszy runął na kolana.

- Błogosławieństwo na nas i domy nasze – wzniosł w górę oczy. – Głupcy! –

popatrzył surowo na braci – nie widzicie, co się stało? Pan nad panami, król nad królami.

To dla niego Bóg dokonał cudu! Biegnąc widzieliśmy z dala płomień, który szalał nad tym miejscem – wyjaśnił Szymonowi. Byliśmy przekonani, że zaproszyłeś ogień. A potem płomień popłynął ku niebu, zlał się w jedno ze światłością. Na kolana! – powtórzył

groźnie.

Pozostali natychmiast uklękli. Czyżby stare proroctwo miało się spełnić nie w królewskim pałacu, ale w ich ubogiej siedzibie? Chcieli w to wierzyć z całej duszy.

- Królu, nasz, panie świata! – najstarszy z braci skłonił głowę. – Bądź nam łaskaw.

Król królów kichnął i rozplakał się. Jakieś źdźbło słomy podrażniło maleńki nos.

- Witaj na padole łez – rzekł Józef. I on przyklęknął przy żonie. Światłość na dworze, niespodziewany hołd prostych ludzi, jakby zostali natchnieni, ulegli jakiemuś czarowi...

Wreszcie musiał uwierzyć, że Maria mówiła prawdę o niezwykłym pochodzeniu dziecka.

– Witaj, młode życie.

Estera, niespodziewanie dla samej siebie, również złożyła dziecku pokłon. Nie mogła zapomnieć tego uczucia straszego żalu, kiedy odłożyła chłopczyka, gdy dłonie oderwały się od ciepłego, nowego istnienia. Uwielbiała noworodki, ale nigdy jeszcze nie przeżyła czegoś podobnego.

- Zaraz wstanie dzień – powiedział głośno Melchior. Wszyscy doskonale to wiedzieli, chciał jednak przerwać milczenie. Kacper burknął nieprzyjaźnie. Ledwie przed chwilą zdołał zasnąć, ukołyszany jednostajnym marszem wielbłąda. – Ale prawdziwy dzień, ze słońcem i gorącem. Musimy zdecydować, w którym kierunku się udać, gdy wejdziemy do Judei. Chyba jednak do Jerozolimy, bo gdzie indziej miałby przyjść na świat ten, którego poszukujemy?

Baltazar przyjrzał mu się uważnie. Melchior był rozdrażniony. Czyżby niebiańska światłość tak niego podziałała? Książę trzeźwo myślący,omalże po kupiecku, zaczyna się niecierpliwić, ma minę, jakby chciał kogoś ugryźć. Mag uśmiechnął się lekko.

- Tak, w stronę Jerozolimy – powiedział. – Ale nie do samej stolicy.

Melchior zmrużył oczy, machinalnie pogładził wypieszczony, krótki zarost.

- Mów, Babilończyku – rzekł po chwili. – Nie wszystko, co masz do przekazania potrafię odgadnąć bez słów. Do ciebie też niebo ostatnio nie przemawia.

- Przemówiło – Baltazar uśmiechnął się pogodnie. Widział, że na obu książętach zrobiło to wielkie wrażenie. Nie tylko wiadomość, ale przede wszystkim uśmiech. Nie spodziewali się takiego grymasu na zawsze poważnej twarzy. – Przemówiło – powtórzył

– i wiem już, gdzie szukać pomazańca. Znam miejsce. Zobaczyłem je w gwiazdach dzisiejszej nocy...

- Przecież nie było widać światełek! – zdumiał się Kacper – W głowie ci się pomieszało od tego cudu?

- Niepotrzebnie się unosisz, wojowniku – nic nie mogło zmącić pogody Baltazara.

Przymknął oczy. Pod powiekami wciąż trwał obraz konstelacji złożonych z barwnych plamek powidoku. – Bóg zesłał na mnie święte natchnienie.

- Wiedziałem – powiedział Melchior z ulgą – wiedziałem, że to się wreszcie stanie!

Zatem pośpieszajmy!

- Pośpieszajmy – zawtórował Kacper. Skinął dłonią na Halima – Słuchaj, stary.

Ludzi trzymaj w karbach, niech podążają odtąd zwartą kolumną. Tylko dwudziestu wyślij przodem, tyłuż w straży tylnej i czujki po bokach. A reszta, pięciuset, jak ich jest, ma iść w szyku. Skoro idziemy w sukurs wysłannikowi Boga, musimy się trzymać razem. Tak przekroczymy granicę.

- Nie, Kacprze – zaproponował Baltazar łagodnym tonem. – Pójdziemy tylko we trzech, z niewielką świtą. Czy będzie z nami bowiem pięciuset czy trzydzieści tysięcy żołnierzy, orężem niewiele wskóramy. Herod ma własne siły zbrojne, ale przede wszystkim wsparcie Rzymu. Wojsko zostanie po tej stronie granicy. A my ją przekroczymy jak należy, uiścimy opłaty i ofiarujemy celnikom za milczenie należyty bakszysz. Musimy się przemknąć niezauważeni, by wieść o naszym przybyciu dotarła do Heroda jak najpóźniej.

- Nie rozumiem – wtrącił się Melchior. – Po co więc ciągniemy tyle ludzi? I dlaczego chcesz koniecznie unikać władcy Judei? Sam mówiłeś, że...

- Myliłem się – uciął ostrym tonem Baltazar. – Kto powiedział, że przepowiednie są niezawodne?

Kobieta rwała włosy z głowy. Twarz miała zakrwawioną, zrytą paznokciami.

Kłęcząca nad trupem dziecka. Siepacze wtargnęli do domu nim słońce wstało. Wraz z nimi wdarła się dziwna jasność, której niewiasta przez zamknięte okiennice przedtem nie dostrzegła.

- Porodziłaś syna w ostatnim czasie? – spytał człowiek w lśniącym napierśniku.

Kiwnęła głową, nie mogąc wydobyć głosu. Nie zdążyła nic uczynić. Zanim zdała sobie sprawę, co się dzieje, wyciągnięte brutalnie z kołyski ciało zatoczyło łuk. Małeńka główka rozprysnęła się o róg stołu. „Z rozkazu Heroda” mruknął dowódca.

Zmartwiały ojciec dziecka otrzeźwiał w jednej chwili, rzucił się na żołnierza, dźgnął

go nożem. Leżał teraz pod drzwiami martwy, porąbany mieczami.

- Herodzie – zawyła kobieta. – Królu Herodzie! Obyś zgnił za życia! Proszę Boga nad tymi trupami, aby dotknął cię karzącym palcem!

Podpełzła do męża, wlokąc pod pachą synka, wyłuskała z martwej dłoni sztylet.

- Przeklinam cię w godzinie śmierci, rzymski sługusie! – zawyła. – Oby robaki cię zezarły zanim jeszcze zostaniesz złożony do grobu! Niechaj żrą cię nim zdechniesz!

Rzuciła się na ostrze. Gasnącym wzrokiem widziała przez otwarte drzwi biegających ludzi, łunę ognia z domu naprzeciwko, zmieszaną z nieziemskim blaskiem.

Słyszała złorzeczenia i krzyki rozpaczony podobne tym, jakie jej samej przed chwilą wyrwały się z piersi. Odgłosy oddalały się powoli, cichły, wypierał je głuchy szum, narastający w miarę jak upływała krew, a serce pracowało coraz wolniej.

Estera odeszła o dobrym dniu. Ociągała się i oglądała, ale musiała wrócić do domu.

Czekały tam przecież dzieci i niespokojny mąż. Przy Marii czuwał jedynie Józef, zmęczeni pasterze ułożyli się na sianie pod przeciwległą ścianą. Dziecko spało, przytulone opiekuńczą ręką matki. Maria miała oczy zamknięte, błogość na twarzy. Także mężczyźni ciążyły powieki, nie mógł jednak zdrzemnąć się nawet na chwilę, dręczony dziwnym niepokojem. Od Jerozolimy dzieliły ich całe mile, a on miał wrażenie, jakby z tamtej strony dolatywał gwar.

Noworodek poruszył się niespokojnie. Natychmiast dłoń Marii przygarnęła go mocniej.

Józef pokręcił głową. To niesamowite, że kobiety potrafią wyczuć przez sen każdy ruch, wręcz każdy grymas dziecka. Cudowna więź, jakby na dusze rodzicielki i potomka spłynęła niespotykana łaska. Zresztą na pewno jest w tym boży zamysł. Skoro człowiekowi został dany cud narodzin, nie godzi się by nie otaczały go inne, pomniejsze cuda. Jak choćby ten, który stał się jego udziałem kiedy wziął maleństwo na ręce. Prosto w twarz spojrzwały zamglone nieco, wyraźnie próbujące się skupić, błękitne oczy.

Niebawem zapewne pociemnieją, staną się brązowe albo prawie czarne jak u matki, ale na początku wszystkie noworodki mają tęczęwki takiej barwy, jakby w oczach pozostawało wspomnienie nieba. Nie darmo się powiada, iż dziecięce duszyczki, zanim zostaną zesłane na ziemię, przebywają w otoczeniu Pana, radują Go swoim widokiem. To wspaniałe trzymać w ramionach życie zupełnie nie skalane jeszcze grzechem, nie pobrudzone lepka mazią brudów tego świata, obce i odległe codziennej zawiści i nienawiści. Ciepłe, miękkie, bezbronne ciało, wydane na łaskę i niełaskę otoczenia. Tak łatwo je skrzywdzić, zgasić, a jednocześnie zdaje się tętnić niepokonowanym wodospadem mocy. Nie miał nigdy dzieci, nie był stanie powiedzieć więc, co się czuje do owocu własnych lędźwi, ale uczucie nie może być chyba mocniejsze niż to, które poczuł

do chłopczyka, bo to by już zakrawało na szaleństwo. Przywykł do myśli, że będzie ojcem właśnie tego maleństwa. Nauczy go wszystkiego, co sam umie, wyuczy na najlepszego cieślę w całej Galilei. A przede wszystkim pokaże jak należy żyć, by ludzie przez niego nie płakali.

Maria otworzyła oczy, spojrzała na męża i uśmiechnęła się promiennie.

- Spójrz, Józefie. Tak wygląda Syn Boży, którego pasterze nazwali panem świata.

Józef odpowiedział uśmiechem, położył rękę na jej ręce, spoczywającej wzdłuż ciała. Po wysiłku porodu i upływie krwi skóra nie wróciła jeszcze do właściwej barwy, była dziwnie jasna, a na drobnej dłoni nabrzmiałe żyły ułożyły się w nieregularny wzór.

Tymczasem maleńki pan świata zasikał pieluszkę, obudził się więc z podkówką na ustach, gotów dać znać temu światu, że właśnie wydarzyło się coś strasznego.

Delegacja sanhedrynu opuściła pałac króla z niczym. Herod nie raczył ich przyjąć, wysłuchać protestacji przeciwko przerażającemu rozkazowi, przez który połała się rzeka niewinnej krwi. Opornym zagroził nawet batami, nie bacząc na powagę wysokiego urzędu.

Od początku rzezi upłynęły trzy dni, król odwołał rozkaz. Żołnierze przestali grasować po mieście i przedmieściach w poszukiwaniu niedawno narodzonych chłopców.

- Kiedy ma umrzeć lub narodzić się wielki władca – rzekł wróż, wezwany z samego rana

– na niebie pojawia się kometa. Ale to, co widzieliśmy ostatnio, może oznaczać wielki przełom. Zaś kamienie mówią, iż ten, który się narodził, by panować nad światem, nadal jest bezpieczny i ma się dobrze

- Przecież zapewniono mnie, że nie ma już nawet jednego szczenięcia, które można zamordować! Moi ludzie przetrząsnęli wszystko!

- A jednak nie zgasiłeś życia, które miałeś zamiar zgasić. Przemoc nie jest najlepszą z dróg. Powiadam ci, módl się i błagaj Boga o wybaczenie. Pogódź się z wieścią, że przyszedł

na świat wielki król...

- Wynoś się – Herod trząsał się ze złości. Rzucił sakiewkę. – Bierz zapłatę i wyjdź, zanim zmienię zdanie!

Mężczyzna wybiegł z komnaty ściskając w spoczonej dłoni brzęczący srebrem worek.

Niedługo potem pojawiła się Allija. Swoim zwyczajem przysiadła na łożu, podkuliła nogi. Herod usiadł przy niej.

- Wróżbita opowiedział mi o twojej trosce – powiedziała łagodnie.

- Moi urzędnicy i oficerowie twierdzą, że nic się przed nimi nie zdołało ukryć –

odparł przygnębiony – jednak czy mogę ufać ich zdaniu? Czy nie mówią tak tylko ze strachu?

Chciałem w to uwierzyć, ale rozsądek podpowiada, że jest inaczej. Jerozolima jest ogromna.

Przy odrobinie dobrej woli można w niej ukryć cały oddział buntowników, a co dopiero jakieś dziecko. A mamy jeszcze wsie i osady wokół... Proroctwo głosi, że pretendent ma się narodzić w jerozolimskiej dziedzinie. Wiesz, jak wielki teren podlega miejscowej władzy?

Gdybym nawet poprosił o pomoc rzymskie legiony, nie przeczeszą go dokładnie.

- Jest inny sposób – rzekła z zastanowieniem kobieta. - Przyszedł mi właśnie do głowy.

Zechcesz wysłuchać słów mało znaczącej niewiasty?

- Mów, o mało znacząca, której sam władca przychyła ucha!

- Trzeba rozpytać wśród bab, które pomagają przy porodach. Wziąć w obroty wszystkie, nie tylko tutaj, ale we wszystkich miasteczkach w pobliżu. Może one będą coś wiedzieć.

Szczególnie czy przyjmowały dziecko tej nocy, gdy niebo zapłonęło. Należy przeprowadzić śledztwo, a nie działać na oślep. To, niestety, niewiele przyniosło.

- Ale wróżbita ostrzegał i mówił, żebym porzucił przemoc, czynił dobro, pokutował

i oczyszczał się, bo...

- Kieruj się własnym rozumem, panie. Czyż nie poczułeś przestachu właśnie wtedy, gdy nastąpiła w nocy światłość? Czyż nie odeszły cię w owej chwili męskie siły? Czy to nie był

niechybny znak zwiastujący pojawienie się największego wroga?

Herod otoczył ją ramieniem. Wtuliła się w niego z westchnieniem. Pachniała najdroższymi perfumami sprowadzonymi z Persji. Zasługiwała na takie dary.

- Jesteś naprawdę mądra, Allija – zamruczał. – Mądra i przebiegła, na pewno o wiele bardziej niż ja. Czasem zastanawiam się, które z nas powinno zasiadać na tronie.

Przekroczyli granicę tuż przed zachodem słońca. Oficer, który miał w zastępstwie Halima dowodzić pozostawionym oddziałem namawiał, by choć odrobinę wypoczęli, przenocowali w żołnierskim obozowisku, jednak Baltazar strzepnął tylko niecierpliwie ręką.

Nie było czasu na postoje. Kacper z Melchiorem patrzyli zdziwieni na statecznego zawsze towarzysza.

- Wiesz coś, o czym my nie wiemy? Co ujrzałeś w gwiazdach? – padło nieuchronne pytanie.

Mag potrząsnął głową.

- Czuję, że powinniśmy się śpieszyć.

- Powiedz coś więcej.

- Nie mogę, w tej chwili nie potrafię. Ale przecież i wy umiecie czytać przyszłość.

Pobieraliście nauki...

- Nie mów byle czego – parsknął Melchior. – Nasza mądrość przy twojej jest jak płomień świecy w promieniach południowego słońca. Ja całe życie więcej czasu poświęcałem sprawom handlowym, a Kacper wojnie. Jeśli któryś z nas może nazwać się mędrcom, to tylko ty.

Baltazar przymknął oczy. Konstelacje ułożyły się w znane wzory, przemówiły na nowo.

Nad głową jaśniała luna, uniemożliwiała obserwacje, a w jego głowie wciąż odbijał się firmament, gwiazdy podejmowały codzienną wędrówkę.

Kacper spoglądał z niepokojem na nieboskłon. W obcym kraju wolałby poruszać się pod osłoną ciemności.

- Do Jerozolimy już całkiem blisko – zauważył Melchior. - Czy najpierw złożymy wizytę Herodowi, czy odnajdziemy wybrańca? Jak myślicie? Żydowski król jest bardzo czuły na swoim punkcie. Jeśli go pominiemy...

- Co zrobi? – rzucił zaczepnie Kacper. – Wypowie nam wojnę?

- Nie, ale może nam bardzo zaszkodzić, korzystając z rzymskiej protekcji – odparł

Melchior. – Masz ochotę popaść w konflikt z imperium? Muszę ci to tłumaczyć jak dziecku albo tępemu niewolnikowi z podrzędnej łaźni?

- Uspokójcie się – syknął Baltazar, zanim Kacper zebrał się do ostrej odpowiedzi. –

To nie przystoi ludziom królewskiej krwi. Ludzie was słyszą.

Rzeczywiście, eskorta ciekawie nadstawiła uszu, nie chcąc uronić ani słowa z interesującej sprzeczki. Halim słuchał z ponurą twarzą. Od samego początku nie podobał

mu się pomysł pozostawienia silnego oddziału po tamtej stronie granicy.

Maria doiła kozę. Brzuch, obolały po porodzie, ciągnął jeszcze i pobolewał, ale ruszała się na ile tylko było to możliwe. Musiała jak najprędzej wrócić do sił. Nie mogli przecież nadużywać gościnności pasterzy. Dobrzy ludzie codziennie przynosili jedzenie, dbali, by nie zabrakło czystej wody. Józef pomagał im pilnować stada, pracował na równi z nimi, by odwdzińczyć się za gościnę.

Niemowlę leżało na sianie, owinięte w miękkie prześcieradło. Szymon wpadł na pomysł, aby zamiast kołyski użyć świeżo wystruganego żłobu. Dzięki temu dziecko było bezpieczne i osłonięte od

przeciągów. Maria wytarła ręce, stanęła nad synkiem. Zaczął

już patrzeć bardziej przytomnie, wodził oczami za postacią matki. Pogładziła ciepłą główkę.

- Śpij, maleńki, serce moje. Zdążysz jeszcze dokładnie przypatrzeć się światu. A świat tobie...

Józef wszedł, spocony, ale zadowolony.

- Trzeba będzie wreszcie pójść do miasta, zapisać nas do rzymskich rejestrów.

Urzednicy gotowi nałożyć grzywnę za brak stawiennictwa. Znajdę przy okazji Esterę.

Miała przyjść na drugi dzień, a mija już bodaj piąty czy szósty, a jej nie widać.

- Może ma inne rodzaje – Maria ściszyła głos, bo chłopczyk przymknął oczy. – W

Betlejem i Jerozolimie tylu teraz ludzi... z pewnością nie tylko ja zległam.

Józef spojrzała na dziecko. Jakże słodko wygląda takie niewinne życie, kiedy śpi.

Ciekawe czy już coś się śni maleństwu. Może matczyna pierś, nabrzmiała i pachnąca mlekiem? A może zgoła coś innego, o czym dorosły człowiek nie może mieć pojęcia?

- Kiedyś odejdzie – szepnęła Maria. – Pójdzie własną drogą. Pomyśl, wyhodujemy go, wykarmimy, damy mu rodzicielską miłość, a on nas opuści...

- Taka jest kolej rzeczy. Tak właśnie nas stworzył dobry Bóg.

- Jednak to przykre. Już boli...

Parsknął cichym śmiechem.

- Jeszcze nie odrósł od ziemi, a ty już myślisz o odległej przyszłości.

Nie odpowiedziała. Ale miała w pamięci słowa archanioła. Czasem wydawało się, że to był tylko sen, że nic podobnego się zdarzyć nie mogło. Dotykała wtedy blizny na nadgarstku. Była niewielka, miała kształt podłużnego płomienia, a może raczej przypominała ostrze świetlistego miecza. Pojawiła się tej nocy, której przybył posłaniec Boga. Anioł

wycisnął znamię, by przypieczętować przymierze. Tak mówił. W istocie rzeczy chciał

raczej, by miała namacalną pamiątkę, która będzie przypominać, że spotkanie nie było ulotną wizją.

Krew spływała strugą z rozbitych ust na brodę, skapywała w dół szyi, barwiła odsłonięte szczyty piersi. Język kaleczył się o wyłamane zęby. Estera zgięła się wpół, osunęła na kolana, czołem oparła o podłogę. Krew zalała teraz także nozdrza, spłynęła ku oczom.

Zakrzuszyła się. Oprawca kopnięciem obrócił ją na bok. Zadający pytania oficer pałacowej gwardii odsunął kata, stanął nad akuszerką.

- Twarda jesteś, babo – mruknął z podziwem. – Trochę szkoda tak cię bić, bo jeszcze całkiem smaczna z ciebie niewiasta. Mów, gdzie odbierałaś poród w noc światłości! I nie chcę słyszeć kłamstw! Sąsiedzi słyszeli, jak ktoś przybiegł po ciebie, poszłaś z nim, a wróciłaś dopiero w południe. Gdzie byłaś?

Milczała. Im mocniej bili, tym bardziej zacinała się w uporze. Sama nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Czuła po prostu, że nie powinna mówić. Że to mogłoby spowodować straszne nieszczęście. Nie na darmo siepacze Heroda urządzili rzeź

niewiniątek. To gorszy postępek od kainowej zbrodni, bo Abel miał możliwość się bronić, zaś te wszystkie małe istoty...

Oficer czekał cierpliwie na odpowiedź. Milczenie przeciągało się.

- Jak chcesz – powiedział wreszcie nieoczekiwanie łagodnie. – Inaczej zaśpiewasz, kiedy zadamy ci prawdziwe męki.

Zamknęła oczy. Ile jeszcze zniesie bólu? Jak długo zdoła utrzymać tajemnicę w głębi serca i umysłu? Ale niech czynią swoje. Trzeba się postarać... zyskać chociaż godzinę, może więcej. Czuła każdym nerwem, że czas jest teraz najważniejszy.

Kacper jechał, jak zwykle, na początku krótkiej kolumny. Niebo przez ostatnie kilka dni nieco pociemniało, można już było dostrzec najjaśniejsze gwiazdy. Nadal jednak wyglądało niesamowicie. Może nawet bardziej niż pierwszej nocy, bo wdzierające się w blask pasma ciemności sprawiały, iż nieboskłon przypominał stary, cenny gobelin, którego dawno zamazana treść pozostaje tajemnicą, choć oglądający ma nieodparto poczucie, że patrzy na coś bardzo wartościowego. Pers obejrzał się. Bez trudu dostrzegł

sylwetkę Baltazara, jego okazałą brodę i szpiczastą czapę. Podróżowali razem od lat, poszukując tego, którego przyście obwieściły święte księgi i prorocтва. Przemierzali kawał świata, spali pod gołym niebem, często na jednym ciasnym posłaniu w ubogich wiejskich obejściach. Nieraz dojadły im upały, burze piaskowe, wiatry, ulewne deszcze i pustynne pchły. Mimo to babiloński mag zawsze pozostawał dla Kacpra tajemnicą.

Melchior był o wiele bardziej przystępny ze swoją fenicką, otwartą naturą. Obaj z Kacprem mogli się nazwać uczonymi, znawcami myśli filozoficznych, biegłymi astrologami. Jednak przy Baltazarze ich wiedza i umiejętności bladły. Spadkobierca nauk i mądrości Babilonu nigdy się nie wywyższał, ale otoczenie wyczuwało, że nie jest zwykłym człowiekiem. Kilka razy zdarzyło się, że koczownicze plemiona, które napotykali po drodze, oddawały mu boski hołd. Nic dziwnego – wyglądał

niczym uosobienie pradawnego bóstwa, przypominał nieco słynne lwy babilońskie o ludzkich

twarzach.

Kacper spojrział przed siebie. Niby pustynia, niby zwyczajny piach i szare skały, ale widać już, że zbliżają się do ludzkich siedzib. Człowiek jest istotą, która kształtuje świat, stara się go sobie podporządkować za wszelką cenę. To widać nawet w miejscach, gdzie jeszcze powinna panować zupełna dzicz, a jednak wyczuwa się bliskość osad. Dla kogoś, kto przewędrował pół świata, takie znaki są równie łatwe do odczytania, jak treść najprostszej modlitwy.

- Halim – powiedział do żołnierza, który podjechał zobaczyć, czy księżę przypadkiem nie zasnął, nie zmylił kierunku marszu – musisz nas mieć za niespełna rozumu.

Trzech arystokratów włóczących się po świecie, szukających rzeczy i ludzi, o których mówią proroctwa.

Halim nie odpowiedział. Kacper zrozumiał jego milczenie jednoznacznie.

- Tak, na pewno uważasz, żeśmy szaleni. Czasem i mnie się wydaje, że tak jest.

Przemierzyliśmy imperium rzymskie wzdłuż i wszerz, byliśmy w Hiszpanii, Galii, Grecji, Tracji i bogowie wiedzą gdzie jeszcze. Wszędzie szukaliśmy tego jedyne, którego nadejście wieszczą księgi, którego zapowiadali mędrcy. Byliśmy bodaj we wszystkich najważniejszych pałacach, odwiedziliśmy monarchów i dostojników. Kilka razy zdawało się, że to już... że jesteśmy u celu, ale... szkoda słów – machnął ręką. – Tym razem też nie wiadomo, jak będzie. Przecież światłość niebieska to nie wszystko...

Halim był zdumiony. Nie podejrzewał, że księżęta miewają podobne wątpliwości.

Nie powinni, bo przecież nie są zwyczajnymi ludźmi. Zerknął na juki baktriana, na którym siedział Kacper. Wiedział, że są wypchane tajemniczymi przedmiotami, przyrządami do różnorodnych obserwacji. Jedyne długi miecz, przytroczony na wierzchu był czymś, co stary wojak znał doskonale.

- Zostań z tyłu – powiedział księżę – prześpij się. Ja dopilnuję, byśmy nie zboczyli z drogi. I tak nie dam rady zasnąć.

Król wstał bardzo wcześnie. Służba pałacowa była przerażona, gdyż mogło to oznaczać tylko jedno – Herod jest zły jak osa. Poranne wstawanie zawsze było dlań torturą, a przez to stawał się zagrożeniem dla otoczenia. Nie potrafił wtedy opanować złości, najlepiej czynił ten, kto ustępował mu z drogi.

Oficer przesłuchujący Esterę, czekał już na posłuchanie. Władca przegnał

pokojowca, który przyniósł tacę ze śniadaniem. Były pilniejsze sprawy niż zaspokojenie głodu.

- Niewiasta bredzi od rzeczy – oznajmił gwardzista. – Twierdzi, jakoby tamtej nocy przyjmowała poród gdzieś w pasterskiej chacie, zaś położnica to zwykła dziewczyna, zamężna z jakimś prostym

cieślą. Nie chce jednak podać dokładnego miejsca, a zdajesz sobie sprawę, królu, ile podobnych szop mamy w całej okolicy? Zanim przetrząśniemy wszystkie, ci ludzie gotowi dawno odejść.

- Weź na męki męża i dzieci akuszerki. Tego żadna baba nie wytrzyma.

Melchior z niedowierzaniem patrzył na kryty słomą dach chatki.

- To tutaj? – Kacper był równie zdziwiony.

Baltazar roześmiał się.

- Przypuszczaliśmy, że ten, którego nadejście zwiastują prorocy i święte księgi musi przyjść na świat w królewskim pałacu, a co najmniej domu arystokraty. Daliśmy się zwieść blichtrowi ziemskich pojęć o tym, co godne, a co nie. Spójrzcie jednak, jakież to mądre. Ktoś, kto musi być przedmiotem zawiści i mściwości możnych, powinien narodzić się właśnie w miejscu, w którym nie mogą go oni osiągnąć. Przynajmniej nie od razu.

- Jesteś naprawdę pewien, że to tutaj? – Melchior zdawał się go nie słuchać.

Baltazar zamknął oczy. Migoczące plamki, towarzyszące mu przez ostatnie dni, znikły bez śladu. Widać nie były już potrzebne.

- Pewien... A czegoż człowiek może być pewny? Zajrzyjmy po prostu do środka.

Pchnął drzwi.. Wejście było tak niskie, że musiał zdjąć szpiczastą czapę. Za nim wtoczyli się Kacper z Melchiorem. Zalękniona niewiasta tuliła do piersi dziecko. Była sama.

Jednak misy i łyżki złożone na niewielkim stole świadczyły, że bywa tu więcej ludzi.

- Nie bój się – przemówił łagodnie Baltazar - nie chcemy cię skrzywdzić. Jesteśmy wędrowcami, szukamy czegoś... a raczej kogoś...

Ważne okazało się nie to, co powiedział, ale w jaki sposób. W jego głosie Maria usłyszała szczerłość, w ciemnych oczach dostrzegła uśmiech i życzliwość. Odetchnęła z ulgą, złożyła śpiące dziecko w żłóbku.

- Niewiele mogę zaoferować – rzekła, wskazując chleb, ser owinięty w lniane ściereczki i masło w glinianym pojemniku – a i to, co tu mam, nie należy do mnie lecz do dobrych ludzi, którzy dali nam przytulisko. Ale bądźcie sobie radzi jak we własnym domu...

Zamilkła na widok szeroko otwartych oczu brodatego przybysza. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, że mężczyzna patrzy na jej dłoń, zachęcająco wyciągniętą w stronę stołu.

- Znak – powiedział podchodząc bliżej. Nie pytając o zgodę ujął Marię za nadgarstek.

Chętnie by uciekła, jednak nie miała dokąd, a poza tym przecież dziecko... Zaś on zawołał

towarzyszy. – Znak, widzicie? Obcowałeś z aniołem – zwrócił się do niej bardziej ze stwierdzeniem niż zapytaniem.

Nie odpowiedziała. Wyrwała rękę, przycisnęła ją do brzucha. Czego chcą ci dziwni ludzie?

- Jesteśmy wreszcie u celu – rzekł wzruszonym głosem Baltazar. – To dziecko...

chłopiec, nie mylę się? – spojrzał na Marię. – Syn Boga. Kobieto, przybyliśmy złożyć mu hołd.

Czuła jednocześnie niepokój i radość. Obcy może są dziwni, ale wygląda na to, że wiedzą więcej od innych, może nawet od niej. Jej nastrój udzielił się dziecku. Obudziło się, zamachało rączkami.

- Witaj, o panie wszystkiego stworzenia – rzekł z uśmiechem Melchior.

- Gu – powiedział bardzo wyraźnie pan wszystkiego stworzenia.

Z uwagą przyglądał się pochylonym nad nim twarzom. Znów machnął rączkami, nóżki powędrowały w górę, spod miękkiego prześcieradła wynurzyła się różowa stopa.

Kacper, z nieco zawstydzonym wyrazem twarzy, pochylił się i pocałował ciepłutką piętę.

- Nie patrzcie tak – spojrzał na przyjaciół uśmiechając się niepewnie – ile razy w życiu człowiek ma okazję tak się spoufalić z królem królów? A poza tym poczułem się zupełnie jak wtedy, kiedy pierwszy raz pokazano mi pierworodnego.

Maria była szczęśliwa. Przebywanie w towarzystwie tych ludzi stało się nagle cudownym przeżyciem. W tej chwili do chaty wszedł zaniepokojony Józef. Za nim pasterze.

Widok żołnierzy na zewnątrz sprawił, że najpierw chcieli się na nich rzucić z kijami, pewni, iż chcą uczynić krzywdę położnicy i dziecku, jednak zbiły ich z tropu przyjazne gesty, zupełny spokój oraz to, że wojownicy nie byli odziani w szaty gwardii Heroda ani pancerze legionistów.

- Mamy gości – powiedziała radośnie Maria. – Nie wiem jeszcze, kim są, nie wiem, skąd pochodzą, ale przybyli do maleńkiego.

Baltazar przestał wpatrywać się w chłopczyka, spojrzał na stojących przy wejściu mężczyzn.

- Słusznie, najwyższy czas przedstawić się. Ten szeroki w barach, wyglądający na rozbójnika wojownik, to książę Kacper, perski następca tronu. Ów piękniś o twarzy gładkiej i starannie przyciętym zaroście jest syryjskim księciem, przyjacielem większości dynastii panujących na świecie. Jak to zwykle Fenicjanie.

- Przyjacielem jak przyjacielem – uśmiechnął się Kacper. – Na pewno jego przodkowie wszystkim tym dynastiom pożyczali pieniądze, zanim obrośli w piórka i sprowadzili się do Syrii.

Spojrzał na Melchiora z lekkim wyzwaniem, ale ten nie zwracał na niego uwagi, wpatrzony w dziecko. Sprawiał wrażenie, że niewiele do niego dociera.

- A ja jestem skromnym babilońskim magiem – dokończył Baltazar.

- Skromnym – prychnął Melchior, podnosząc wzrok. Jednak słuchał wszystkiego uważnie. Po prostu, wbrew swym zwyczajom, postanowił nie odpowiadać na zaczepki Persa.

- To księżę Baltazar, jeden z największych mędrców. Mógłby być królem w swoim kraju, ale wybrał drogę nauki, postanowił szukać prawdy.

- Razem z wami... – uzupełnił Babilończyk.

- Tak, razem z nami.

Józef skłonił się nisko, przyklęknął na jedno kolano. Pasterze poszli jego śladem.

Głowa wróżbity, zatknięta na włóczni, została wystawiona przed drzwiami pałacu.

Ludzie przechodzili, z niedowierzaniem obserwując obrzydliwy widok. Przywykli do trupów na szafotach i częstych egzekucji. Rzymianie dbali, by zarzewie buntu nie zamieniło się w wielki ogień. Jednak młody władca jeszcze nie zhańbił się, wystawiając podobny koszmar przed własnym pałacem.

Herod, czerwony z wściekłości, wrzeszczał na dowódcę gwardii.

- Co znaczy, że ci nie doniesiono od razu? Otrzymujesz żołd godzien rzymskiego generała za to, byś wiedział wszystko! A jeżeli ludzie wolą brać łapówki od obcych niż donieść tobie co trzeba, należy się zastanowić, czy właściwy człowiek został postawiony na właściwym miejscu!

Oficer był blady, spocony ze strachu. Żałował w tej chwili, że złożył królowi meldunek osobiście. Nie spodziewał się jednak, iż władca wpadnie w tak wielki gniew. W

końcu nie stało się nic szczególnie niepokojącego. Że kilku obcych dostojników wjechało do Judei? Przez kraj często przejeżdżają karawany, nierzadko podróżują nimi arystokraci..

- Zbieraj ludzi – rzucił król. – Ślij po Sykstusa. Trzeba naprawić twoje zaniedbanie.

Uczynimy to w majestacie powagi imperium.

- I co myślisz, mój przyjacielu? – Melchior położył rękę na ramieniu maga. Wyszli z chaty, bo dziecko zasnęło. – Czy już po wszystkim? Możemy wracać?

Baltazar nie odpowiedział, spojrział tylko przeciągle.

- Rozumiem – szepnął ksiązę – to jeszcze nie koniec?

Babilończyk nie musiał odpowiadać. W tej chwili bowiem przybiegł zdyszany Szymon.

Zatrzymał się, niepewny, co robić, czy może podejść do dostojnych osób. Kacper przywołał go niecierpliwym gestem.

- Co się stało, chłopaku? Błady jesteś jakbyś upiora zobaczył.

- Gorzej, panie – wydukał przerażony chłopak. Wskazał na północ. – Od strony Jerozolimy zmierza ku nam wojsko. Cała armia chyba...

- Armia? – Melchior zmarszczył brwi, zerknął na Baltazara. – Więc jednak. Nie trzeba było zostawiać głównych sił w Syrii. Jakże to są oddziały? – zwrócił się do chłopaka. –

Judejczycy? Ludzie króla?

- Tak. Ale Rzymianie też!

Kacper zaklął pod nosem. Baltazar skarcił go wzrokiem.

Estera wpatrywała się w światło płynące z niewielkiego okienka umieszczonego daleko, pod sklepieniem lochu. Nie wytrzymała widoku katowanego męża, choć z początku przysięgała sobie, że wyzna wszystko dopiero kiedy oprawcy zabiorą się do dzieci.

Postawiła jeden warunek – wolność dla rodziny. Jej było już wszystko jedno, mogła umrzeć. Po przesłuchaniach ciało zamieniło się w ruinę, nie była nawet w stanie przeżuć bezzębnymi dziąsłami twardego więziennego chleba. Połamane palce, pozrywane paznokcie, wywichnięte nadgarstki i łokcie... Nie będzie już w stanie pomagać przy porodach. Do tego trzeba siły i sprawnych dłoni. Z jękiem bólu uniosła rękę ku twarzy.

Zadzwończyły kajdany, zabręczał długi łańcuch, którym przykuto ją do ściany.

Drzwi celi zazgrzytały. Do pomieszczenia wsunęła się bezszelestnie niewieścia postać.

Smukła sylwetka okryta była płaszczem z drogiego materiału, twarz schowana za ozdobnym welonem.

- Czego chcesz? – zachrypiała Estera. – Kim jesteś?

Kobieta odsłoniła oblicze. Akuszerka patrzyła zdumiona.

- Pani Allija – szepnęła.

- Tak, Estero. Odbierałaś parę lat temu moje dziecko, kiedy obecny władca wysłał

mnie do Betlejem, bym nie rodziła bękarta w pałacu. Pamiętasz, jak widzę W serce więźniarki wstąpiła nadzieja. Jeśli pierwsza kochanka Heroda składa jej wizytę w tym ponurym miejscu, może przynosi dobre wieści. Może czuje jeszcze wdzięczność za uratowanie życia. Rodziła w zaawansowanym wieku, poródomal nie skończył się śmiercią matki i dziecka. Gdyby nie doświadczenie i sprawność akuszerki, mogło być różnie...

- Dlaczego tak się upierałaś podczas przesłuchań? – Allija rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca do siedzenia. Na próżno. Loch był zupełnie pusty, nie licząc zgniłej wiązki słomy, na której spoczywała skatowana niewiasta.

- Czułam, że tak trzeba – odparła szczerze Estera. Mówiła ledwie zrozumiale, bezzębne usta bryzgały śliną. – Że powinnam ukryć prawdę o narodzinach tego dziecka.

- Dlaczego?

- Cud – szepnęła akuszerka. – Jego narodzinom towarzyszył znak Boga.

Allija parsknęła okrutnym śmiechem. Estera w tej chwili rozumiała, że piękność nie przyszła jej pomóc, ale kpić.

- Cud? Głupia kobieto! To nie był żaden cud. A jeśli nawet, wiedz, iż nie dotyczył owego noworodka. Twoje poświęcenie poszło na marne. Szczeniak już nie żyje.

Czekała aż akuszerka przetrawi wieść. Widziała zawód na jej twarzy, wargi wykrzywione goryczą. A potem z uśmiechem wystrzeliła kolejny pocisk.

- Herod jest bardzo rozgniewany. Tak bardzo, że nie okazał się łaskawy. Głupi upór zaowocował okrutnym wyrokiem. Twój mąż i dzieci wiszą na murach wraz ze schwytanymi ostatnio buntownikami.

Z wyraźną przyjemnością słuchała wycia zrozpaczonej kobiety.

- Szatanie! – Estera zamilkła, zwróciła ku niej przekrwione oczy.

- Zgadłaś – uśmiechnęła się Allija. Jej twarz nagle skurczyła się, rysy uległy zniekształceniu, na chwilę wyjrzała z nich pomarszczona, okropna maska. – Zgadłaś, Estero.

Uniosła rękę. Łańcuch zadzwonił, wyprężył się, a potem zwinął jak długi, żelazny wąż.

Wartownik przed drzwiami, słysząc okropny krzyk, obracał kluczem w zamku, jednak zapadka stawiała niespodziewanie silny opór. Kiedy wreszcie puściła, drzwi otworzyły się gwałtownie na całą szerokość, a mężczyzna wpadł do środka. W tej chwili wrzask urwał

się. Allija stała pod ścianą, blada i drżąca, więźniarka leżała na barłogu. Łańcuch był

okręcony wokół jej szyi, na ustach kipiała różowa piana. Dozorca spojrział pytająco.

- Zadusiła się – oznajmiła spokojnie nałożnica. – Nie wytrzymała smutnych wieści.

Tak bardzo pragnęłam ją pocieszyć, utulić w cierpieniu, a ona odepchnęła mnie tak mocno, że upadłam i na chwilę straciłam przytomność.

- Musiała bardzo chcieć umrzeć – mruknął strażnik. – Jeszcze nie darzyło się tutaj coś podobnego.

- I nie zdarzy – warknęła. – Gdzie byłeś? Dlaczego nie pośpieszyłeś od razu na ratunek?

Surowa kara cię nie minie! Król dowie się o wszystkim.

Dozorca uczynił się jeszcze bardziej blady niż przed chwilą Allija, a potem wyszedł chwiejnym krokiem.

- Witaj, Sykstusie – powiedział z uśmiechem Melchior. – Z chwilą, kiedy Kwiryniusz został zarządcą Syrii, za karę dostał ci się garnizon w Jerozolimie. Wielki wódz nie toleruje w swoim otoczeniu zdolnych konkurentów. Nie przypuszczałem jednak, że chodzisz na pasku tutejszego króla. Królewiatka raczej... – prychnął z pogardą. –

Entarchy zaledwie, bo taką tylko przeciw namiastkę władzy zostawił mu cesarz. Tytułują go królem bezprawnie, tylko na pociechę i ze strachu. Skarlał ród herodowy niepomierne.

Władca zazgrzytał zębami, ale nie odezwał się. Wszak to Rzymianin powinien skarcić czelnego intruza, obronić dobre imię człowieka, z którym stale współpracuje. Stał pół

kroku za Sykstusem, nie widział więc, że nachmurzone podczas całej przemowy czoło oficera wygładziło się przy ostatnich słowach księcia, a na ustach zabłąkał się lekki, drwiący uśmiezek.

- Witaj – odparł lekkim tonem. – Nie chodzę na niczym pasku. Znamy się przecież na tyle długo, żebyś to wiedział. Dlatego pozwól, bym twoje słowa wziął za niewybredny żart. Chciałbym natomiast wiedzieć, co spowodowało, że pojawiło się tutaj trzech dostojników z najznamienitszych rodów. Wiem, że krążycie po całym cesarstwie w poszukiwaniu jakiegoś ucieleśnionego proroctwa, ale czego szukacie w Judei, w tym najbardziej skłóconym na całym świecie państwie?

- Tego samego, co wszędzie. Pomazańca, mesjasza, króla nad królami, pana nad panami, władcy nieba i ziemi.

- Słowem szukacie fałszywego proroka – warknął Herod. – Powinno się was...

- Dla mnie, entarcho – przerwał Sykstus ostrym tonem – wszyscy wasi prorocy są podejrzani, tak jak i cała wasza religia. To niezdrowe wierzyć w jedno bóstwo, a w dodatku sądzić, jakoby nie miało nic lepszego do roboty niż zajmować się małymi ludzkimi sprawami.

U was i szewc, i kowal, rzemieślnik, kupiec czy monarcha, ma taką samą czelność zwracać się z modłami do tego waszego... Jehowy, Adonai, czy jak go tam zwa. To wręcz niesmaczne.

Herod zagryzł wargę, by nierozważne słowa nie wyrwały się na zewnątrz.

- Tak – podjął rzymski wódz po chwili milczenia. Patrzył Melchiorowi prosto w oczy. –

Uganiacie się za czymś bardziej nieuchwytnym niż dym i mgła. Jednak tutejszy władca, Herod Archelaos, jest bardzo zaniepokojony waszą niezapowiedzianą wizytą. A ja muszę dbać, by nie rzucono mu kłód pod nogi, nie dawano pożywki buntowniczym rozruchom, mrzonkom o wolności dla narodu wybranego. Nawet bez tego dość trudno utrzymać w ryzach tutejszą ludność.

- Słowem – znów zabrał głos Herod, wydymając pogardliwie wargi – przybyliśmy po noworodka, jego rodziców i wszystkich, którzy im usłużyli pomocą.

- W tym nas? – spytał kpiąco Kacper. Wystąpił do przodu, położył dłoń na rękojeści miecza.

Sykstus powstrzymał go krótkim ruchem dłoni.

- Opór na nic się nie zda – rzekł ostrzegawczo. – Entarcha ma powody do niepokoju, szczególnie widząc was w tym miejscu. Ponoć zdarzyły się tu jakieś cuda.

- Cuda? - Melchior roześmiał się swobodnie. – Zdarzyły się. Na przykład cud narodzin.

Kacper zbliżył się do Baltazara.

- Sytkstus Publiusz – mruknął – zwany Rzeźnikiem. Wyznaje stoicyzm, jak większość Rzymian. Trzeba z tego skorzystać, użyć logiki, a nie mówić o wierze, litości i innych uczuciach.

Baltazar przymknął tylko oczy, słuchając, co oficer ma jeszcze do powiedzenia.

- Nic więcej? – padło następne pytanie, zadane kpiącym tonem. – A łuna na niebie?

Nic nie zwiastowała?

- Na pewno – odparł Melchior. – Zwiastowała narodziny wielkiego króla. Ale nie z pewnością nie tutaj, przyjacielu.

- Zatem nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żebyśmy tego szczeniaka zarżnęli.

Ot tak, na wszelki wypadek – sapnął Herod.

Skinął na przybocznych. Pięciu zaraz skoczyło do drzwi chaty. Ukazał się w nich Józef i czterech pasterzy. Zagrodzili wejście. Rozgorzała zażarta walka. Pasterskie kije zderzały się z żelaznym orężem. Zaraz pośpieszył w tamtą stronę Kacper. W mgnieniu oka uderzeniami głowicy miecza powalił dwóch gwardzistów. Reszta wycofała się pośpiesznie.

Herod natychmiast wydał rozkaz pozostałym. Zatrzymał ich jednak gniewny krzyk Sykstusa.

- Mocno się zastawiacie o zwykłe dziecko – warknął do Melchiora. – Chcę je natychmiast zobaczyć.

- Ja też – władca Judei stanął obok Rzymianina.

Allija z drapieżnym uśmiechem spoglądała na trupa więziennego dozorca. Po rozmowie z nią poszedł do swojej kwatery na najwyższym piętrze wieży, by rzucić się na miecz.

Słusznie uznał, że lepiej popełnić samobójstwo, wystąpić przeciwko przykazaniom, niż czekać na wyrok Heroda i straszliwą kaźń. Nałożnica przykucnęła przy zwłokach, zanurzyła palec we krwi, a potem włożyła go do ust. Jej ciało przeszył dreszcz rozkoszy.

Sykstus wyszedł z chaty z marsem na czole. Herod niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Nie pozwolono mu wejść. Książęta obawiali się, by nie skorzystał z okazji, by i zakłuć dziecko sztyletem.

- Złoty diadem – rzekł rzymski wódz, patrząc surowo na Melchiora, który mu towarzyszył

w środku – wysadzone kamieniami szkatuły z najdroższymi ziołami. Macie mnie za głupca? Takich darów nie składa się byle noworodkowi, synowi cieśli. Mów natychmiast, o co tu chodzi albo wyślę ludzi, by zrobili swoje.

- Życzysz sobie, szlachetny panie – odezwał się niespodziewanie Kacper – wywołać wielką wojnę?

- O czym mówisz? – czoło Sykstusa przeorała pionowa, głęboka zmarszczka. Uniósł

rękę. Legioniści natychmiast wyciągnęli miecze.

- Będziesz musiał zgładzić także nas – oznajmił spokojnie Pers. – A to oznacza, że upomną się o królewską krew ludy Wschodu. Wywołasz powstanie w całej Syrii, stanie przeciw Rzymowi Persja, plemiona arabskie, Frygia, Tracja... Cała Azja Mniejsza.

Fenicjanie nie pożałują grosza, by pomścić śmierć członka znamienitego rodu. Judejczycy też się ruszą, a wraz z nimi wszystkie okoliczne ludy, w tym zawsze zazdrosny o wpływy i upokorzony Egipt. Cesarz na pewno będzie ci wdzięczny. Skorzystają z rozruchu niewątpliwie Galowie i ich brytyjscy krewniacy, podniosą głowę Germanie. A wszystko dlatego, żeś uwierzył temu szaleńcowi – pogardliwym gestem wskazał Heroda. Władca zbladł z wściekłości, zadrżały mu nozdrza. – On twierdzi, że przyszedł na świat jego konkurent. A kimże sam jest, jakimż to potężnym krajem rządzi, by ktoś chciał się połaszczyć na ten marny strzęp władzy, jaki mu pozostał? Mniej znaczy we własnej stolicy od dowódcy rzymskiego garnizonu.

- Milcz – wycedził Herod przez zaciśnięte zęby.

Kacper zlekceważył go, ciągnął dalej:

- Pomyśl, generale, jak to będzie żałośnie wyglądało. Imperium obawia się jednego niemowlęcia? Drży przed jego nieporadnymi rączkami? A może boicie się, że uderzeniem pulchnej nóżki może zrzucić z tronu samego cesarza? Nie przypuszczałem, iż władza imperatora została zbudowana na tak słabych fundamentach.

Rzymianin parsknął śmiechem.

- Śmiałe słowa. I nie pozbawione racji.

- Posłuchaj, Sykstusie – warknął Herod. – Jednak kiedyś to szczenię dorośnie. Kto zaręczy, że nie stanie się groźnym drapieżnikiem?

- Ale kiedy to będzie? – Kacper machnął lekceważąco ręką. – Za dwadzieścia, może nawet trzydzieści lat? A poza tym... – zasłonił usta dłonią, jakby chciał zdławić niewczesne słowa.

- Co poza tym? – spojrzał czujnie Sykstus. – Co chciałeś powiedzieć?

Kacper milczał, patrząc wyzywająco.

- Już wiem – powiedział powoli oficer. – Wcale nie jesteście pewni, czy dziecko jest tym, którego szukacie.

Milczenie książąt starczyło mu za odpowiedź.

- A jednak na wszelki wypadek chcecie je chronić. Dlatego tu przybyliście? Nie tyle złożyć hołd, ile bronić nowego życia? Nie musicie odpowiadać. Rzym nie jest zainteresowany waszymi mesjaszami i prorokami, dokąd nie wchodzi w drogę jego interesom. A za dwadzieścia lat... kto wie co wtedy będzie?

Herod przypadł do niego, szeptał coś do ucha. W odpowiedzi Sykstus wzruszył

tylko ramionami.

- Pragnę przypomnieć – rzekł głośno w przestrzeń – że działania miejscowych władz, a także przybyszów z innych krajów, nie mogą zakłócić państwowego porządku. Pax Romana ma być wartością nadrzędną. Dla wszystkich bez wyjątku, czy się to komuś podoba, czy nie.

Allija czekała na Heroda pachnąca, gotowa ukoić władcę po trudach całego dnia.

Odrzącił ją jednak szorstko.

- Co się stało? – spytała zaniepokojona.

- Trzeba było wysłać tam po cichu mordercę ze sztyletem albo paru uzbrojonych ludzi.

- Naraziłbyś się, gdybyś nie skorzystał z pomocy Rzymian. Książęta wschodu to nie jerozolimski plebs. Ich należało pokonać w majestacie prawa.

- Rady kobiety – prychnął rozzłoszczony – są niczym wodne kwiaty. Raz wyjmiesz taką roślinę bez wysiłku, innym razem pokaleczysz się albo wytrąci cię z równowagi, pociągnie w toń.

Allija wyduła wargi.

- Mężczyźni – rzekła z pogardą. – Niby jesteście mocni, uważacie się za władców świata, a w istocie rzeczy tchórze z was i głupcy.

Uderzył ją pierwszy raz w życiu.

- Bezczelna nałożnico! Śmiesz tak zwracać się do króla?

- Do entarchy – trzymała się za policzek. – Nie jesteś prawdziwym królem. Pamiętaj o tym.

Nie wiedział, kiedy to się stało. Sprzed oczu opadła czerwona mgła, łomot serca ustał, szum w uszach przycichł. Zobaczył niewiastę leżącą u jego stóp. Kałuża krwi, nóż w piersi. Poruszała wargami, jakby chciała coś powiedzieć. Pochylił się ku niej, przyklęknął.

- Uczyń, co trzeba – szepnęła. – Uczyń tę jeszcze jedną rzecz. Postaraj się. Zabiłeś moje ciało, zdradziecko zerwałeś przymierze. Ale i tak będziesz mój na wieki...

Melchior obejrzał się na ubogą chatę. Halim przyspieszał pochód. Wiedział, że trzeba jak najszybciej oddalić się z tych okolic. Doskonale słyszał każde słowo utarczki książąt z Sykstusem i Herodem. Ten drugi gotów ważyć się na szaleństwo, by pomścić upokorzenie i zniewagi.

- Dobrze się spisałeś, Kacprze – rzekł Baltazar. – Zasiałeś ziarno niepewności, a ono wydało błogosławiony owoc.

- Przynajmniej na chwilę – wtrącił Melchior. – Jak myślicie, Maria i Józef skorzystali już z naszych rad?

Baltazar wzruszył ramionami.

- To nie zależy od nas. Uczyniliśmy, co do nas należało, a teraz... teraz los pomazańca w rękach jego opiekunów... i Heroda.

- Wysłałem gołębia – powiedział Halim. – Pewnie już dotarł na miejsce. Nasi ludzie mają iść ku nam przez granicę nie bacząc na nic, byśmy jak najkrócej pozostawali z tak małą siłą we wrogim kraju.

Melchior raz jeszcze obejrzał się na pasterską chatę.

- Możemy wreszcie odpocząć. Co by się więcej nie zdarzyło, koniec wędrówek.

- Koniec – zawtórował Baltazar.

Kacper milczał. Przed oczami miał piękną twarz Marii. Poczul nagle dojmującą tęsknotę za własną rodziną.

Koło północy Herod wyszedł ze swojej komnaty. W ramionach trzymał zeszywniałe już zwłoki nałożnicy.

- Przygotować ją do pochówku – nakazał. – Obmyć należycie. Tylko prędko. Ma być gotowa zanim strażę dwa razy obejdą pałac.

Służba natychmiast porwała ciało. Nikt nie zadawał pytań, nie ośmielił się wydać najmniejszego dźwięku. Słyszeli wrzaski i wycie króla, złorzeczenia tak straszne, że niebo powinno się otworzyć i porazić gromem bluźniercę.

- Wezwać dowódcę gwardii! Natychmiast!

Płomienie strzelały wysoko w niebo. Stare drewno paliło się intensywnym jasnym płomieniem. Ciała pięciu pasterzy leżały przed wejściem. Od gorąca zaczęły się na nich tlić wełniane płaszcze. Herod z pogardą patrzył na trupy. Głupcy! Postanowili stawiać opór przewadze zbrojnych. We wnętrzu chaty władca znalazł porzucone królewskie dary

– złoty diadem i szkatuły z ziołami. Zbiegowie nie chcieli się obciążać bogactwami. A może to miała być zapłata za gościnę dla pastuchów?

- Wysłałem pościg – gwardzista wyprężył się przed Herodem.

- Bardzo dobrze. A teraz mi pomożesz. Jest rzecz, którą muszę zrobić osobiście.

Wskazał okryte całunem zwłoki. Żołnierz kiwnął głową. Bóg wie, po co wlekli trupa aż tutaj. Herod coraz częściej wykazywał niebezpieczne oznaki szaleństwa, jakie jego ojca nawiedziło pod koniec życia. Dźwignęli ciało. Zwiewna materia zsunęła się. Allija była zupełnie naga. Oficer z pewnym zdziwieniem stwierdził, że nawet jako zimny trup zachowała niezwykły powab. Jakby odcisnęła na niej piętno nieziemska siła. Herod wskazał wzrokiem płonący dom. Podeszli najbliżej jak się dało. Twarze owiał niezwykły żar. Żołnierz z pewnym niepokojem zauważył, że jest o wiele większy niż powinien przy okazji takiego pożaru. W

dotadku dawał się w powietrzu wyczuć delikatny, niepokojący zapach kadzidła.

Zatrzeszczały belki, dach runął do środka.

Rozkołysali zwłoki, cisnęli je w sam środek płomieni, na stos belek. Ciało upadło ciężko, natychmiast skrzywiło się pod wpływem gorąca. A potem... Niespodziewanie Allija usiadła, z twarzą skierowaną prosto w ich stronę. Oczy otworzyły się, prawa ręka zaczęła wędrować ku górze. Oficer umknął przerażony. Herod stał, wpatrując się w martwe, szkliste oczy i wyciągniętą oskarżycielsko dłoń.

- Już mnie nie przestraszysz, szatanie – powiedział. Lęk, który mu towarzyszył od chwili, gdy Allija umarła, minął. – Spłoniesz w ogniu miejsca, w którym narodził się Bóg.

Nie dostaniesz tak łatwo mojej duszy... A gdyby nawet... od tej chwili wszystko mi jedno.

Gestem przywołał dowódcę gwardii. Ten podszedł z lekki ociąganiem, starał się nie patrzeć na siedzące wciąż ciało kobiety, ogarnięte teraz płomieniami po czubek głowy.

- Odwołaj ludzi – rzekł cicho Herod. – Niech dadzą spokój zbiegom.

- Słucham? – oficer nie wierzył własnym uszom.

- Powiedziałem chyba wyraźnie! Zawróć pościg! Wystarczy przelewu krwi i krzywdy.

Zapomnimy o wydarzeniach ostatnich dni. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Serce Żywych Gór

Vallery d'Orenburg usiadł. Właściwie nie tyle usiadł, co zwałił się ciężko na ziemię obok starego sierżanta. Tamten odwrócił głowę. Na pobrużdżonej, pokrytej bliznami twarzy

zagościł krzywy uśmiech. Pułkownik sam dogląda oddziału. Zapewne po całym dniu uciążliwej drogi to męcząca czynność, ale warta zachodu. Troska dowódcy wlewa w żołnierzy otuchę.

- Co powiesz, Viries? – Vallery ziewnął przeciągle, rozprostował nogi. – Zimno.

- Ano zimno. W nocy jak nic będzie przymrozek. Trza strażom rzec, by pilnowały ognia. Rano wojacy obudzą się skostniałi i zziębnięci.

- Wydałem już polecenia.

Stary kiwnął głową. Dowódca nabiera należytego obycia w surowych warunkach.

Staje się prawdziwym górskim wilkiem. A przecież całkiem niedawno przyjechał objąć dowództwo nad pogranicznym garnizonem. Młody oficer, bez doświadczenia, zdawało się, że

przysłano kolejnego koszarowego szczura, który będzie siedział na tyłku w Grindi, wysyłając

podwładnych na patrole. Wyglądał zresztą na takiego – gładki, przystojny, wymuskany żołnierzyk prosto ze stolicy. Owszem, potężne ramiona i sękaty dłoń znamionowały siłę i

wojenne ćwiczenie, ale można było to dostrzec dopiero po dłuższej chwili, a poza tym sama

moc ciała nie świadczy przecież o wartości wojownika. Jednak już po tygodniu pan d'Orenburg dał się poznać nowym podkomendnym z najlepszej strony. Poprowadził w dzikie

góry wzmocniony patrol. Wtedy dopadli ich tubylcy. Wataha Varijczyków, wielokrotnie liczniejsza od szczupłego oddziału, mało go nie rozgniotła. Gdyby nie nadeszła odsiecz z garnizonu... Ale właśnie podczas tej bitwy żołnierze pokochali nowego dowódcę. Stał w pierwszym szeregu rąbiąc z wprawą, jakiej pozazdrościć mogli najsprawniejsi z wiarusów,

dbał przy tym, aby rannych czy osłabionych ewakuowano do środka szczyków. Gdy zdawało

się, że nic ich nie uratuje, kiedy śmierć zajrzała głęboko w oczy, odmówił ucieczki, chociaż

mógł skorzystać z wąskiego przejścia w skałach. A potem sam opatrywał rannych, poił

ich,

słuchał jęków i narzekań z uśmiechem, z pocieszeniem na ustach. Ale rzeczą, która najbardziej zaimponowała sierżantowi, była pokora pułkownika. Pokora i zdrowy rozsądek.

Nim ogarnęli ich napastnicy, zdał ciężar dowodzenia na starego, wiedząc, że z nich dwóch to

właśnie Viries wie lepiej, jak się zachować w górskiej potyczce. Uszanował cudze doświadczenie, a nie własną szarżę. Za takim nie żał iść nawet do piekła... Nawet do piekła,

powtórzył w myślach. Jak teraz.

- Ludzie się niepokoją – mruknął, pochylając się do ucha dowódcy. – Nie wiedzą, co nas czeka. Idziemy tam, skąd mało kto wraca.

- Taki los żołnierza – odparł równie cicho Vallery. – Ban Kaleemy wysłał nas, może na zatracenie, bo nie miał wyjścia, gdy mu sam hrabia Burghiese nakazał. Zresztą wielkich

skrupułów też nie miał, bośmy dla niego mierzwa. Syn hrabiego Darelli najprawdopodobniej

znajduje się w wysokich górach.

- Jeśli jeszcze żyje. Varijczycy mają zwyczaj pożerać jeńców.

- Ale chyba nie takich, po których specjalnie zorganizowali wyprawę. Tu jest coś więcej na rzeczy. Żyjesz w tych stronach od lat. Naprawdę nie wiesz, o co może chodzić?

- Naprawdę – Stary wzruszył ramionami. – Z tymi zbójami nigdy nic nie wiadomo.

Każdego roku ruszają raz albo i dwa na łupież w doliny. Jednak pierwsze słyszę, by jakaś grupa przekradła się w głąb kraju, żeby dokonać porwania. Na dodatek, jeśli wierzyć pozostałym przy

życiu gwardzistom, odzienie mieli barwy czarnozielonej, twarze wymalowane w czerwone pasy. Takie kolory noszą Ellijk, plemię zamieszkujące tereny za

Przekłętą Przełęczą. Rzadko wyprawiają się na tę stronę, bo bliżej im do Garety i tam zwykli łupić. Gorszi są od innych Varijczyków, zupełnie nie znają litości, co dziwne nie jest, bo żyją w straszliwych Żywych Górach. Okrutne warunki wykuwają okrutnych ludzi. Może jednak idzie im o okup? Może w ten sposób zapragnęli uszczknąć bogactw Vereeny?

Pułkownik pokręcił głową. Oby! Ale już to rozważali na wszystkie strony. Powinni przecież przybyć posłańcy z żądaniami. Zaś młodzieniec został uprowadzony i ślad po nim

zagaął. Jeśli górscy rabusie chcą stawiać warunki, powinni to uczynić zanim wyruszyła przeciwko nim zbrojna wyprawa.

Przed świtem rzeczywiście chwycił mróz. Okazał się tym dotkliwszy, że przez pół nocy mżył drobny deszczyk. W rezultacie cały ekwipunek pokrył się warstewką lodu.

Vallery

odrzucił zeszywniałą derkę. Miał wrażenie, że materiał przy tym ruchu ulegnie uszkodzeniu, a nawet połamaniu. Jednak zamarznięta woda skruszyła się, zamieniła w maleńkie ziarenka, spadając na ziemię skrzącą kaskadą. Włosie, pozyskiwane z miejscowych pizmowych koni, miało niezwykle właściwości. Utkana z niego materia zatrzymywała ciepło, a przy tym nie

przepuszczała wody. Nie robiono z niej ubrań, bo była zbyt sztywna i szorstka, ale znakomicie sprawdzała się w charakterze płaszczy czy koców. Podobno niezwykle właściwości zawdzięczała czarnoksiężnikom, którzy wieki temu skrzyżowali miejscowe długowłose koniki z jednorożcami. D'Orenburg, oglądając uważnie mapę, przysłuchiwał

się

rozmowom żołnierzy.

- Dupa mi skostniała na amen.

- Trza się było kocem całemu owinąć.

- A owinąłem. Jenom się w nocy odplątał. Jakem otworzył oczy, przyciskałem rzyć do złodowaciałej skałki. A ty nie zmarześ, Kocurze?

- A jak! – krzyknął gromko kapral, zwany Kocurem z racji charakterystycznych wąsików. – Nogami ledwo ruszam. Zległoby się na dziewce, to by człek kości rozgrzał.

Chociaż... łądzwiami tyż jakoś trudno machnąć – położył dłonie w okolicach krzyża, wygiął się do tyłu. – Zdałoby się kupić derę porządną z runa piżmokonja, a nie mrozić pod zwykłą wełną.

- Kupisz to taką derkę – parsknął któryś – jak cały żołd na karty i ladacznice przepuszczasz! A taki rarytas kosztuje.

- Dowódca i Viries mają, król powinien wszystkim żołnierzom podobny ekwipunek podarować .

Zamilkli, patrząc niespokojnie w stronę pułkownika. Że słyszał to pewne, ale czy nie będzie gniewny? Ale d'Orenburg zdawał się nie zwracać uwagi na paplaninę.

- Sam król na pewno kupi ci, Kocurze, płaszcz z piżmokonja! O niczym innym nie rozmyśla, jeno jak tobie dogodzić.

- Wiem, Mais, wiem. Gdyby nawet kto wpadł na taki szalony koncept, by nieco osłodzić wojakom los, wraz by go Ludwig Burghiese za pióra chwycił i sprowadził na ziemię.

W zapłutym garnizonie Grindi służą sami tacy, co na niełaskę hrabiego zasłużyli. Od szeregowca poczynając na oficerach kończąc – zniżył głos. - Może tylko dowódcę wyznaczają z pewnych ludzi. Chociaż nowy komendant patrzy na porządnego chłopca, takiego, co i Burghiesemu mógł się narazić.

Vallery dosłyszał słowa Kocura. Uśmiechnął się w duchu. Gdybyś wiedział, feldfeblu, za co zesłano tutaj twojego pułkownika! Tylko wysokie pochodzenie uchroniło go

przed stryczkiem. Nie ma dla hrabiego Burghiese gorszych wrogów niż ci, co mu pobruździli

w polityce. Liczy na rychłą śmierć nielubianego człowieka, bo wie, że nie będzie siedział

w

koszarach, ale razem z podwładnymi narazi się na każde niebezpieczeństwo. Tak samo wszechwładny Ludwig postąpił z baronem Pillgrimem, wysyłając go podczas ostatniej wojny

z tylną strażą przeciwko wielokrotnie liczniejszemu siłom przeciwnika. Podobnie rozwiązał

sobie ręce w przypadku Alwena de Morano, zwanego Koniokradem, namawiając króla, żeby

okazał mu łaskę i pozwolił dołączyć do barona na dzień przed walną rozprawą.

Pojawił się Viries. Stary wojak zdążył już wysłać patrol, zlustrować zwinięty na drogę sprzęt, pogonić żołnierza pełniącego obowiązki kucharza, by przyrządził śniadanie.

- Ruszać tyłki – wrzasnął silnym, ochrypłym głosem, nawykłym do wydawania rozkazów w bitewnym zgiełku. – Zjecie w siodle, ofiary losu! Widział kto, żeby królewscy

żołnierze grzebali się niby stare baby? Jak wam tek źle, żeście przyświerkki na biwaku, mogą sprawić, byście następną noc spędzili w marszu! Ruszacie się jak muchy w rzadkim gnoju!

Gdyby nas nynie Varijczycy ogarnęli, łeb położysz jeden z drugim nim zauważysz błysk toporka!

Zwijali się błyskawicznie, nie zważając na krzyki sierżanta. Vallery patrzył z zadowoleniem. Viries pieni się bez powodu, ale przecież i prawdziwej złości w nim się nie

znajdzie. Trzyma podwładnych w ryzach bardziej z nawyku niż potrzeby, ale to dobrze. I tak

go kochają jak ojca. A on, niczym ojciec, pod surowym grymasem od czasu do czasu znajdzie

uśmiech. To doświadczeni ludzie, zżyci, darzący się zaufaniem. Trzymano ich w karnym garnizonie, za nic mając fakt, iż tacy sprawdzą się w każdej potrzebie, nie ulękną nawet doborowych oddziałów wroga. Ale też dlatego trudno im zaimponować, ciężki los czeka każdego dowódcę przysłanego na placówkę królewskim rozporządzeniem. Miał nadzieję, że

jemu udało się chociaż po części zyskać zaufanie żołnierzy. Pewnie tak, bo nie krępowali się

przed nim, jak na początku, kląć na cały świat, a na hrabiego Burghiese ze szczególnym upodobaniem.

Nie minęło wiele czasu, a wszyscy siedzieli na koniach. Natychmiast postawili wysoko kołnierze, chroniąc się przed zimnem i dokuczliwą mżawką.

- Półdupki mi odbije to przeklęte siodło – warknął jeden z młodszych żołnierzy. – Że też wyfasowałem taki śmieć!

- I dobrze, Reiss – odparł ze śmiechem jego towarzysz. – Varijczycy się ucieszą, jak cię chwycą. U nich ludzka rzyć uchodzi za prawdziwy przysmak. Potrafią złapać hożą dziewczkę nie po to nawet, żeby jej tyłek zerznąć, ale właśnie urznąć. Zasię taka jędrna dupeczka jak twoja może im się spodobać, osobiwie, gdy ją w siodle porządnie wygarbujesz.

Jak zaś nie zbóje, to okoliczne potwory będą miały z tobą używanie. Pono taki Człowiek Gór

bardzo lubi kraśnych młodych chłopaczków.

- A żeby się twoje słowa w gówno obróciły, durny puszczyku.

Vallery podjechał do Viriesa. Stary zerknął na dowódcę, powoli skinął głową. Jest dobrze. Mimo trudów ludzie nie tracą ducha, żartują z niewygód, kpią ze swoich słabości.

D'Orenburg nie wyobrażał sobie, żeby przeciętny królewski żołnierz, nawet gwardzista, był

w stanie bez protestów znosić podobne warunki. Co jednak znaczy zaprawa! Jemu samemu

wiele razy podczas ostatnich dni brakowało tchu, choć przecież przedtem służył w pułku kawalergardów, dobieranych z najlepszych i najtwardszych żołnierzy, elicie armii królestwa.

Śnieżycy dopadła ich od razu, kiedy minęli Przekłątą Przełęcz. Vallery z początku krzywił się słysząc pretensjonalną nazwę, ale ujrawszy drogę na drugą stronę, uznał, iż słusznie ją tak ochrzczono. Przeprawa zdawała się czystym szaleństwem. Wysmagane wichrem granitowe skały były niebezpieczne jak klingi mieczy. Koniom, prowadzonym krótko przy pyskach trzeba było owinać pęciny i kopyta szmatami, by się nie poraniły, a oczy

zasłonić, żeby nie popadały w panikę na widok przepaści po obu stronach. A ledwie przeszli, zanim wydyszeli zmęczenie i strach, nadleciały ciemne, burzowe chmury. W dolinach, daleko za plecami o tej porze dnia dogrzewało jeszcze słońce, a w tym przeklętym miejscu lodowaty podmuch ścinał krew w żyłach, kryształki lodu wbijały się w każdy odsłonięty kawałek skóry, wciskały do ust i płuc. Oddychanie było możliwe dopiero po zasłonięciu twarzy chustą.

Każdy żołnierz miał taką w pogotowiu, zawiązaną wokół szyi.

- W takiej nawałnicy – Viries krzyczał prosto w ucho Vallery'ego – duchy górskie porywają nieostrożnych wędrowców! Tak mówią miejscowi!

- Jak by nie było – D'Orenburg miał wrażenie, że słowa więzną bezpowrotnie w naciągniętej na twarz wełnianej materii – trzeba trzymać zwarty szyk! Jedź na końcu, ja poprowadzę kolumnę. Przejrzałem dokładnie drogę na postoju.

- Pamiętajcie jednak, pułkowniku – odkrzyknął sierżant – że nie można do końca wierzyć mapom! Są bardzo niedokładne, sporządzone głównie na podstawie starych przekazów, bo od dawna nikt z nizin nie zapuszczał się tak daleko. Poza tym, jeśli wierzyć

opowieściom, za Przekłątą Przełęczą góry varijskie naprawdę żyją!

Vallery machnął ręką. Przesady! Mapy oczywiście mogą być zawodne. Ale nikt mu nie wmówi, że góry mogą żyć i przeformowywać się w ciągu krótkiego czasu. To po prostu

niemożliwe. A przede wszystkim nierozsądne. Nie wolno brać aż tak poważnie gadek krążących wśród mieszkańców Kalemy. Z mapy wynika, że za przełęczą jest rozległe wypłaszczenie, a następnie wysoki szczyt zwany Kapturem. Było go widać z tamtej strony,

ale teraz zginął w kłębach śniegu. Trzeba jak najszybciej wydostać się z tej płaszczyzny, schronić przed nawałnicą w jakimś zacisznym miejscu u stóp góry.

Ludzie powlekli się pod wiatr, ciągnąc opierające się konie. Każdy krok okupiony był wielkim wysiłkiem. Zupełnie jakby górskie demony uwzięły się na intruzów. Szli długo, mozolnie. Z wyliczeń Vallery'ego wynikało, że dawno powinni dotrzeć pod Kaptur.

Jeszcze

kilka kroków, jeszcze krok... Nawet jeśli mapa jest niedokładna, bałamutnie podaje odległości, na pewno przemierzili już całą drogę.

Nagle burza ucichła. Ciemne zasłony rozstały się równie szybko, jak nadleciały, przez chmury przedarło się słońce. D'Orenburg zasłonił oczy przed niespodziewanym, oślepiającym blaskiem.

- Rany boskie! – doleciało wołanie. – Patrzcie, Kaptur jest tam!

Vallery spojrział we wskazanym kierunku. Jak to się mogło stać? Zostawili szczyt za plecami! Przecież nie szli aż tak długo, nie nadłożyli tyle, żeby go obejść.

- Te góry naprawdę żyją – powiedział głośno żołnierz opodal. – Dam sobie rękę uciąć, że ten przeklęty pagór stoi teraz bliżej przełęczy niż przed godziną!

- Zamknij gębę i nie opowiadaj byle czego – warknął Viries. – Nie raz człowiek w ćmie czy zawierusze pobłądzi i wydaje mu się potem diabli wiedzą co!

Przy tych słowach spojrział wymownie na d'Orenburga. Ten wzruszył tylko ramionami. Wojacy, nawet najdzielniejsi, bywają przesądni niczym stare baby. Ale ma rację

stary, takiemu gadaniu należy położyć kres, zanim się zacznie na dobre. A najlepiej uczynić to dając ludziom zajęcie.

- Sprawdzić stan oddziału – rozkazał. – Konie zaobroczyć, ludziom dać po kubku gorzałkiowsa, a potem w drogę. Młody Daniel Darelli czeka na ratunek.

- Panie pułkowniku – po chwili nadbiegł Kocur. – Brakuje żołnierza! Jana Naliego!

- Bierz trzech i wracajcie go szukać! Może utknął w jakiejś zaspie!

Leżał na boku pokrwawiony, zmasakrowany. W straszliwych ranach ziały bielą zgruchotane kości. Prawe udo leżało obok ciała, oderwane od tułowia. Zostało dokładnie ogryzione, szpik wyssany. Potężne pazury rozerwały solidny kirys, a wywalone i rozwłócone wnętrzości wyglądały na nieskazitelnej bieli niczym upiorne, zamarłe węże.

- Coś go zawlekło aż tutaj – powiedział Viries. – Musiało być silne i wielkie. Nali to był kawał chłopca, byle co nie dało mu rady.

- Duch Gór – szepnął Mais, który wprosił się na poszukiwania. Jan był jego przyjacielem. Teraz patrzył pustym wzrokiem na zwłoki druha. Pułkownik i Viries przybyli

na miejsce chwilę temu. – To musiał być on!

- Nie gadaj! – ofuknął żołnierza Viries. – Duch nie zostawia śladów. A tutaj dookoła pełno tropów! To był śnieżny niedźwiedź. Albo raczej niedźwiedzica z młodym, bo widzę też

ślady mniejszych łap. Pewnie ma gdzieś w pobliżu gawrę! W zawierusze chłop zboczył z drogi i wpadł w jej łapy, bo z kolumny na pewno go nie wyrwała.

Vallery patrzył ze współczuciem na sierżanta. W głębi duszy stary uważał, że jest odpowiedzialny za tę śmierć, że nie dopilnował wojaka. Jakże miał jednak go ustrzec, skoro

w zadymce ledwie dawało się dojrzeć plecy towarzysza? Ale rozsądek rozsądkiem, a serce

sercem. Viries był przywiązany do swoich ludzi. Po pamiętnym starciu z góralami długo oglądał każdego trupa. „Żołnierz jest nie tylko po to, żeby sprawnie zabijał, ale też, by pięknie

umierał”, zwykł mawiać nowoprzybyłym ludziom. Ale zawsze mocno przeżywał śmierć podwładnych. Prawdziwy podoficer starego chowu, szkoły która ukształtowała także sławnego barona Pillgrima. Krew jest cenniejsza od wody, należy ją toczyć oszczędnie i tylko

w wielkiej potrzebie, a w żołnierzu najpierw trzeba dostrzegać człowieka, a dopiero potem maszynę do walki. Tak bywało w armii niegdyś. Przyszło nowe i dowódcy zaczęli widzieć w podkomendnych tylko szarą masę, której nie należy specjalnie żałować.

- Znajdźmy bestię! – zasyczał Kocur. – Damy jej popalić!

- Chcesz się mścić? – spytał spokojnie d'Orenburg. – Na kim, a raczej na czym? To bezrozumne stworzenie. Zarżniemy niedźwiedzicę i co nam to da?

Kocur zamilkł. Po chwili rozłożył na śniegu płaszcz, przy pomocy sierżanta i Maisa ułożył w nim ciało wraz z rozrzuconymi szczątkami. Wzięli w dłonie czekany, żeby wyrąbać

choćby płytki grób. Vallery przyłączył się do nich. Bez słowa uczynili mu miejsce. Tylko Kocur łypnął zdumiony. Pierwszy raz w długim już przecież wojskowym życiu widział, żeby

pułkownik brał się do kopania mogiły zwykłemu żołnierzowi. Żeby w ogóle wziął się do podobnej roboty.

Atak nastąpił niespodziewanie, równie nagle i bez zapowiedzi jak przedtem śnieżycą. Wysłany przodem patrol niczego nie zauważył, nie doniósł o ruchach przeciwnika.

Nawet tak doświadczeni i zaprawieni w górskich walkach ludzie nie mogli się równać znajomością terenu z miejscowymi. Dali się zwieść. Varijczycy wysypali się ze wszystkich

stron, atakując swoim zwyczajem luźnymi grupami, okrążając przeciwnika. Jednak przeliczyli się, stawiając na zaskoczenie. Viries tylko krzyknął komendę, a już żołnierze skupili się w najeżony lancami krąg. Arkebuźnicy zeskoczyli z wierzchowców, wyciągnęli z

uprząży pod siodłami broń palną. Zaraz zagrzmiały i zadymiły ciężkie lufy, wśród górali sygnął się trup. Kolejna salwa znów poczyniła spustoszenie. Ci żołnierze, którzy zostali na

koniach, szyli z małych kusz, wprowadzając dodatkowy zamęt w szeregach wroga. Ale i z

drugiej strony poleciały pociski. Strzały z mocnych łuków zadzwoniły po pancerzach, zakwiczały ranione wierzchowce.

- Zanim nas ogarną, trzeba się przegrupować! – Vallery wskazał kilkadziesiąt kroków wolnej przestrzeni z tyłu, gdzie było mniej napastników, skąd atakowała grupa, która

nie połączyła się jeszcze z głównymi siłami. – Odwrót nic nie da. Trzeba ich pokonać!

Zostań

tu ze strzelcami, a ja wykonam manewr!

Stary skinął głową. Nie czas na rozmowy. Jeśli zostaną okrążeni, będzie równie ciężko, jak podczas pamiętnej zasadzki w wąwozie. Ale tu na pewno nie nadejdzie odsiecz.

- Dajcie jeszcze salwę tam! – pułkownik wskazał kierunek.

Varijczycy zalegli na chwilę pod ogniem. To wystarczyło. Po chwili zdumieni patrzyli na szarżującą w ich kierunku jazdę. Było ciasno, obok siebie jechać mogło tylko czterech, pięciu ludzi. Specjalnie tak wybrane zostało miejsce zasadzki, żeby utrudnić wrogowi odwrót. Ale kto mógł się spodziewać, że szaleńcy poprowadzą konny atak właśnie

tędy? Na pewno nie liczyli się z takim rozwiązaniem półdzicy mieszkańcy gór.

Tymczasem

Vallery przejechał po zaskoczonych wrogach. Dał sygnał. Zwierzęta zaryły kopytami, oddział stanął w miejscu, nie łamiąc szyku. W mgnieniu oka doświadczeni żołnierze odwrócili się,

pułkownik pognął na czoło. Nie minęły dwa lub trzy uderzenia serca, a pędzili z powrotem, w

kierunku gęstniejącej ciżby wokół sił dowodzonych przez Viriesa. Atakujący go Varijczycy,

pewni, że część wojsk wroga pierzchła, a reszta ich tylko osłania, zawyli triumfalnie.

Ostrzegawcze krzyki towarzyszy z tyłu ginęły we wrzawie. Szarżujących dostrzegli w ostatniej chwili, a właściwie nawet nie w ostatniej chwili, lecz w momencie, kiedy było za późno. Krew bryznęła pod niebo, jeźdźcy wbili się w gęstwę niczym żelazny pług. W tej chwili właściwie było po bitwie. Zamieniła się w rzeź. Górale padali gęsto, gdyż nawet w tak

dużek liczbie, ale bez osłony skał, nie byli w stanie sprostać regularnemu wojsku. Ale trwali uparcie, nie zważając na nic. Dopiero gdy zostało ich niewiele więcej niż żołnierzy, rzucili się do ucieczki.

Vallery zakazał pościgu. Poleciał za to policzyć zabitych i rannych, ustawić w szeregu wziętych do niewoli. Przez cały czas nurtowało go jedno pytanie. Ale mógł na nie odpowiedzieć jedynie któryś ze schwytanych.

Starty nie były wielkie, przynajmniej wśród ludzi, bo od kąśliwych strzał chroniły ich pancerze. Dwóch zabitych, pięciu ciężej i siedmiu lekko rannych. Jednak sporo koni zostało poranionych, a kilkanaście należało dobić. D'Orenburg spojrział na piętrzący się przed

nimi masyw. I tak w pewnej chwili musieliby zostawić zwierzęta. Na wysokości będą bezużyteczne, nie mówiąc o problemach z wykarmieniem. Po ataku Varijczyków sytuacja wyjaśniła się już teraz. Skinął na sierżanta.

- Rannych odeślemy razem z końmi do garnizonu. Przekażą wieści. Niech major przyśle nad Przekłątą Przełęcz oddział z trzydziestoma luzakami – Przygryźł wargę. –

Mam

nadzieję, że to nie będzie nadto.

Z sześćdziesięcioosobowego oddziału zostało mu niespełna pięćdziesięciu ludzi.

Dokładnie czterdziestu dziewięciu, bo spośród lżej rannych trzech nadawało się do dalszego marszu. Skierował kroki w stronę jeńców.

- Mówi któryś po naszemu? – spytał. Cisza. – Na pewno chociaż jeden rozumie vereeńską mowę! Jeśli się przyzna, nie zrzucimy was wszystkich ze skały.

Varijczycy słuchali z kamiennymi twarzami. Trudno zresztą odczytać emocje z oblicza pokrytego skośnymi czerwonymi pasami. Albo rzeczywiście nie rozumieli, albo pragnęli okazać pogardę dla śmierci.

- Ja trochę znam varijskie narzecze, panie pułkowniku – przed d'Orenburgiem stanął młodzieńcy Reiss. Spod przewiązanej wokół głowy opaski sączyła się strużka krwi. –

Wychowałem się na przedgórzu. Jeśli mówią podobnie jak ci z pogranicza, dogadam się.

- Spytaj ich, dlaczego napadli nas właśnie w tym miejscu. Mogli poczekać aż zagłębimy się w jakiś wąwóz gdzieś tam – wskazał piętrzące się szczyty. To było właśnie pytanie, które nie dawało mu spokoju - Dlaczego zaatakowali na płaszczyźnie, gdzie nie można wykorzystać zboczy dla zrzucenia na przeciwnika lawiny kamieni, ukryć się w skalnych szczelinach i załomach, ostrzeliwać wroga z ukrycia?

Reiss zlustrował jeńców. Wreszcie wybrał jednego, przystrojonego w naszyjnik z pazurów niedźwiedzia.

- To ktoś na kształt naszego sierżanta – wyjaśnił.

Przez chwilę przemawiał chrapliwym, twardym językiem, dziwnym, ale przyjemnym dla ucha. Varijczyk milczał chwilę, zdawało się, że nic nie powie, ale w końcu przemówił.

- On twierdzi – tłumaczył żołnierz – że tam się nie da. Jest zbyt niebezpiecznie. Są wąwozy i inne miejsca nadające się na zasadzkę, ale w głębi Żywych Gór nie wolno zastawiać wojennych pułapek. Tamtejsze duchy nie lubią, gdy się w ich krainie przelewa krew.

- Duchy nie lubią przelewu krwi i to wystarczy? – zdumiał się Vallery. – Tak powiedział? Upewnij się.

Reiss kiwnął głową, zadał kilka pytań jeńcowi. Pułkownik zauważył, że chłopakowi trzęsą się ręce.

- Tak – rzekł po chwili żołnierz. – Tam, gdzie zamierzamy wejść, nie wolno używać broni. Nie wiem czy dokładnie zrozumiałem, ale on mówi coś dziwnego – Przez chwilę rozmawiał z Varijczykiem. – Tak, dobrze pojąłem. W tych górach nie wolno wziąć broni do

ręki. Każdy, kto pogwałci mir, zostanie ukarany. Oni nazywają ten masyw Spokojnym.

Nie

chcieli dopuścić, żebyśmy się tam zapuścili, dlatego urządzili zasadzkę.

- Nie wierzę – parsknął Vallery. – Jeśli naprawdę wierzą, że każdy, kto sięgnie po broń zostanie ukarany, wystarczyło nas po prostu przepuścić.

Reiss znów zaczął rozmawiać z górale. Tamten zamachał gwałtownie rękami.

Musiał być silnie wzburzony, skoro porzucił maskę spokoju.

- Oni boją się, że kara spadnie także na nich. Chcicie zakłócić spokój Panu Gór. Tak nazywają władcę panującego wszystkim istotom w Varijji. Teraz nie wolno tam wchodzić.

Dzieje się coś... Nie rozumiem – rozłożył bezradnie ręce.

- Powiedz mu, że chcemy tylko zabrać porwanego młodzieńca.

Ledwie tłumacz skończył mówić, Varijczyk zaczął krzyczeć patrząc wprost na d'Orenburga. Wśród pozostałych jeńców także zaczęło się poruszenie. Pilnujący ich żołnierze

musieli użyć drzewców lanc, żeby zaprowadzić porządek.

- Nie wolno – Reiss wyglądał na zdezorientowanego. – Nie możemy tam wejść. To święte miejsce, a my chcemy je skalać.

Vallery uśmiechnął się. O co by nie chodziło, z zachowania jeńca wygląda, że są na dobrej drodze. Święte miejsce. Być może. Ale dla tutajszych. Królewskich ludzi ich przesady

nie dotyczą.

- Powiedz mu, że będzie naszym przewodnikiem – powiedział, wskazując Varijczyka.

Ten zaprotestował gwałtownie. Młody żołnierz do niego przemawiał, a on uparcie kręcił głową.

- Jeśli pójdzie – dodał pułkownik - oszczędzimy jego ludzi. Wypuścimy ich.

Jednak góral nie chciał dać się przekonać. Cały czas patrzył na Vallery'ego. Ten pokazał masyw i wymownym gestem przeciągnął palcem po szyi. Varijczyk podniósł

dumnie

głowę.

- Nadar – warknął. D'Orenburg już zdążył się zorientować, że to znaczy „nie”. –

Nadarami, gherni varraki!

- Nie – tłumaczył z rozpędu Reiss. – Nigdy, przeklęty bluźnierco.

A mieszkaniec gór niespodziewanie poderwał się do biegu. Jednak nie próbował się przedrzeć przez strażników. Pognał tam, gdzie nikt nie pilnował, gdzie ziała przepaść.

Odbił

się, rozłożył szeroko ręce, jakby chciał poderwać się do lotu. Na mgnienie oka zawisł w powietrzu, a potem runął w otchłań. Pozostali jeńcy patrzyli za dowódcą. Vallery pokręcił

głową.

- Spytaj tego, czy nas poprowadzi – wskazał pierwszego z brzegu, wyglądającego na zalęknionego.

Reiss przemówił, a Varijczyk bez słowa podążył śladem poprzednika. Nie zdołał

jednak dobiec krawędzi, podcięty końcem lancy. D'Orenburg westchnął ciężko. Wśród prymitywnych plemion zabobony bywają silniejsze od rozsądku.

- Puścić ich - machnął ręką. – Musimy sobie radzić sami.

- Puścić? – Żołnierze byli zaskoczeni. Pierwszy raz widzieli, żeby wypuszczać całych i zdrowych dzikusów, których nie uważali za istoty w pełni ludzkie. – Trzeba ich zepchnąć ze skały, rozsiec, zastrzelić!

- Spokój – warknął Vallery. – Nie wiem, jakie macie zwyczaje, ale nie pozwolę mordować bez powodu nikogo, a bezbronnych jeńców w szczególności!

Varijczycy odchodzili ociągając się. Jeszcze nie wierzyli, że za chwilę nie usłyszą wystrzałów, nie dogonią ich mordercze pociski. A potem rzucili się do ucieczki, pędem przebiegli przewężenie drogi, by zniknąć wśród skał.

Ociepliło się. Czy to dlatego, że zesli z wystawionych na porywy wiatru przełęczy i wypłaszczeń, a weszli między skały, rozgrzane jeszcze wspomnieniem lata, gdzie docierały

tylko słabe podmuchy, czy też w ogóle pogoda uległa zmianie. Masyw Spokoju przypominał

bardziej wielkie, zbudowane przez olbrzymów miasto niż typowe pasmo górskie.

Przecięty

był wzdłuż długim, zdającym się nie mieć końca wąwozem z kamienistą drogą, która wcale

drogą nie była, ale raczej skutkiem wielu tysięcy lat pracy spływającej ze skał wody.

Niewielka stróżka biegła samym środkiem.

- Wygląda, jakby kiedyś rwała tu prawdziwa rzeka – powiedział Viries przyglądając się śladom na stromych zboczach. – To dziwne, bo jesteśmy wysoko i cała woda przecież powinna od razu spływać gdzieś niżej. Widywałem już podobne cuda w Varijji, ale nie tak

ogromne, jak ten przełom. Co tu dużo gadać. Nie słyszałem też, by ktoś zapuścił się tak daleko, jak ninie my. Mam nadzieję, że idziemy w dobrą stronę.

- A kto to może wiedzieć? – uśmiechnął się Vallery. – Ale, sądząc po poruszeniu jeńców na samo wspomnienie o młodym Danielu, obraliśmy słuszną drogę.

Sierżant nie odpowiedział. Szedł zasepiony. Pokonali bez przeszkód strome podejścia, potem piargi i osuwiska, na których można połamać nogi. Wspinaczka po skałach

zajęła prawie cały dzień, nocowali bez ognia, tylko o suchym prowiancie i wodzie, a od samego rana

idą tą przygnębiającą drogą wśród surowych skał. I tutaj nie zanosi się, żeby było z czego zrobić chociaż małe ognisko. Nawet obytych z górami wojaków wszechobecna szarość staje się trudna do zniesienia. Najmniejszego źdźbła trawki, śladu kosodrzewiny czy choćby wszędobylskich ostów. W takim otoczeniu nie uchowa się żadne

stworzenie, nawet sprytny i zwinny świstak. Próżno też by szukać gniazd sokołów czy orłów.

Prawdziwa pustynia. Gorsza nawet od tych daleko na południu, które Vireis odwiedził w młodości. Rozprażony słońcem piach bywa bardziej przyjazny niżli ten koszmarny wąwóz,

który trudno nawet nazwać wąwozem tak jest długi i rozległy.

- Panie pułkowniku –dobiegło z tyłu, gdzie na końcu grupy jechał Kocur. – Panie pułkowniku! Sierzancie!

D'Orenburg dał znak, ludzie stanęli.

- Co się stało, feldfeblu? – spytał surowo Vallery, podchodząc do wołającego. –

Dałem chyba rozkaz, żeby nie wrzeszczeć bez potrzeby.

- Bez potrzeby tak – odparł cicho Kocur. – Jeno mi się zda, żeśmy wszyscy w nagłej potrzebie. Spójrzcie tam. Widzicie?

Vallery rzucił okiem we wskazanym kierunku.

- Nic nie widzę. Ściana jak ściana...

- Właśnie, panie pułkowniku. Ściana. Jeszcze przed pół pacierzem jej tam nie było.

Na moich oczach skały się zarosły – podniósł głos, ale natychmiast przycichł. Nie chciał bez

porozumienia z dowódcą zawiadamiać żołnierzy. – Na moich oczach – powtórzył z naciskiem. – Te góry naprawdę żyją. Nie kłamią ludzkie gadki, nie skłamał tamten zbój.

D'Orenburg machnął ręką w kierunku oddziału. Żołnierze ruszyli naprzód. Sam niespiesznie podszedł do ściany. Czasem tak bywa – minie człowiek zakręt i zdaje mu się, że

za nim wyrosła lita skała. W miarę jak się zbliżał, serce biło coraz mocniej. Boże, tylko nie

to! To nie może być prawda! Góry przecież nie mogą żyć, poruszać się, zwierzać z boczy!

Nie

mogą? Przez mgnienie oka miał ochotę krzyżeć. Powrotna droga zniknęła. Spod skalnej ściany,

sięgającej nieba, sączyła się jedynie strużka wody. Z niedowierzaniem dotknął

omszałej powierzchni. A nuż to tylko iluzja? Płonne nadzieje! Zimny, chropowaty kamień.

Wygląda, jakby stał tu od prawieków. A przecież tak niedawno...

Wrócił do żołnierzy, zatrzymał pochód. Zgromadzili się wokół niego, wiedząc, że zaraz padną ważne słowa.

- Dzieje się coś dziwnego – zaczął, z wysiłkiem opanowując drżenie. – Za nami, gdzie jeszcze niedawno było przejście...

Słuchali go z zapartym tchem. To było coś, co nie mieściło się w głowie. Może gdzieś w krajach magii, ale nie tutaj! Pułkownik skończył mówić, zapanowała cisza, zakłócana jedynie delikatnym szumem strumyka.

- Co robimy? – spytał bezradnie Mais – co teraz?

- Idziemy naprzód – Vallery obejrzał się z pewną obawą na ścianę. – Nie mamy wyboru. Zresztą poruczono nam misję i musimy ją wykonać.

- Wolałbym wrzask rozwścieczonych górali niż tę ciszę – mruknął Kocur. – Jest stokroć gorsza od wycia i gradu strzał.

- Mogliśmy usłuchać tamtego samoubijcy – rzucił ktoś z boku.

- A ty się przymknij. Choćby o żelaznym smoku powiadał, nam i tak trzeba iść.

- Formować kolumnę marszową! – włączył się Viries. – Dość gadania! A komu strach, niech go schowa w buty, bo droga przed nami jedna.

Ludzie natychmiast karnie ustawili się trójkami. D'Orenburg skinął z uznaniem głową. Jeden w drugiego, każdy to doskonały żołnierz. Nie dyskutują, nie wpadają w panikę,

ale wykonują rozkazy. Nie wyobrażał sobie, żeby zbieranina, którą przyszło mu dowodzić pod koniec wojny nie rozpierchła się po mniej przerażających wieściach.

- Tam! Patrzcie tam! – wrzasnął żołnierz z czoła kolumny. – Varijscy zbóje!

Rzeczywiście, z groty czy wnęki - trudno to było ocenić z tej odległości - wyłoniła się kudłata głowa. Natychmiast huknął strzał. Głowa zniknęła, pocisk wykrzesał kilka iskier z

kamienia, z jękiem odbił się kilka razy od skał. Vallery zmarszczył brwi. Nie powinni używać

kul odlanych z żelaza. Nie o cenę i marnotrawstwo nawet idzie, ale takie pociski dobre są do

walki w szyku, w okrążeniu, bo potrafią przebić nawet dwóch albo trzech ludzi czy solidną

zbroję.. To zresztą wynalazek miejscowych wojaków, zmuszonych walczyć nie tylko z półdzikimi góralami, ale także dobrze uzbrojonymi i opancerzonymi grasantami czy zuchwałymi zagończykami. Ale wśród gór, szczególnie w zamkniętej przestrzeni, zbyt łatwo

o rykoszety. Już miał wydać polecenie, by rozładowali broń i włożyli w lufy miękkie ołów, kiedy rozległ się suchy trzask, przechodzący w grzmot.

- Lawina!

Rozpierzchli się, odskakując i kryjąc pod ścianami. Viries uważnie obserwował

mknące z wielką prędkością głązy. Widział w życiu dziesiątki, a może nawet setki lawin i śnieżnych, i skalnych. Jednak po raz pierwszy spotkał się z tak przedziwnym zjawiskiem.

Wszystkie kamienie uderzały dokładnie w to samo miejsce. W rezultacie uformowały się w niewielką, nieregularną piramidę. Na samym jej dole, w szczelinach między głazami pojawiła się krew.

Nadbiegł Vallery, za nim kilku ludzi. Milczeli. Pytania były zbędne.

- Nieszczęsny Bennon – pierwszy odezwał się Mais. – Wszystko spadło na niego...

Jakby się te kamole uwzięły.

- Może się uwzięły – rzucił Reiss. – Jeniec mówił, że tutaj nie wolno używać ani nawet dobyć broni, żeby się nie narazić na gniew duchów. Może w tym coś jest?

- Milcz – uciął Viries. – Nie opowiadaj byle czego.

- A wy, sierzancie, nie widzieliście, co się stało?

- Wiedziałem, szczeniaku, lepiej od ciebie.

- I co o tym sądzicie?

- Moja rzecz!

- Nawet go grześć nie potrzeba – powiedział Kocur w zadumie. – Sami byśmy nie usypali lepszej mogiły. Zatknij no który kord, co tam pod skałą po Bennonie leży, by wiadomo było, iż wojak tu spoczął. Jeno z pochwy go nie wyjmuj na wszelki wypadek –

dodał ciszej, nie bacząc na karcące spojrzenie sierżanta.

Następny zginął Riban, spokojny na ogół chłop, którego do służby w armii zmusił

zły los i zjadłość podłego rządcy. Ekonom smagnął krnąbrnego młodzieńca nahajem o jeden raz za dużo, więc nie zdążył nawet mrugnąć okiem, a leżał na ziemi bez połowy zębów.

Riban

miał przed sobą tylko jedną drogę – uciec do wojska, zanim zapadnie wyrok. Wojny nie lubił, od obozowych bitek, które znudzeni żołnierze urządzali w wolnych chwilach, stronił, mimo iż

siły i biegłości na pewno mu nie brakowało. Viries, stojąc nad krwawym ochłapem, który pozostał z potężnego, grubokościstego mężczyzny, wspominał, jak Riban mawiał, iż najchętniej zająłby się hodowlą bydła. Na ten cel odkładał każdego miedziaka. W Grindi też

znalazł się przez sztywny kark i zatarg z przełożonym. Jak zresztą większość obecnych tu żołnierzy. W większości formacji oficerowie i podoficerowie nie potrafią jakoś zrozumieć, że

innego konia zaprzęga się do wozu, a na innym rusza do szalonej szarży. Dzielnego żołnierza trzeba trzymać krótko, ale pod żadnym pozorem nie wolno próbować odbierać mu godności.

Kto straci szacunek do samego siebie, nie sprawdzi się w polu.

Żołnierze przeczesywali teren w poszukiwaniu następnych pułapek, ale Viries przeczuwał, że nic nie znajdą. Vallery stanął obok zamyślnego sierżanta.

- Co, stary? Trzeba coś wymyślić. Wszyscy jasno widzą, że to nie przypadek.

- Varijczycy będą tak prowokować – syknął Viries – Chcą, żeby te przeklęte góry same nas przetrzebiły.

- Wiesz coś o tym?

- Nie. Ale czuję się dziwnie, jakbym już kiedyś coś podobnego przeżył. Wydajcie rozkaz, żeby ludzie nie wyjmowali oręża!

Vallery zwarł szczęki. Nie miał zamiaru kłócić się z sierżantem. Nawet on, graf d'Orenburg, w porównaniu ze zwykłymi żołnierzami wykształcony i światły, musiał

wreszcie

przyznać, że dzieje się coś niesamowitego, a te przeklęte góry... naprawdę żyją? Rozsądek wzdragał się przed taką konkluzją. Ale jeżeli nie żyją, jak można określić to inaczej?

Przed paroma minutami mógł się znów o tym naocznie przekonać. Przeklęty góral wypadł nie wiadomo skąd, przemknął tuż przed nosami idących, wrzeszcząc i wymachując

rękami. Najszybciej zareagował Riban. Jednak w chwili, gdy wyjął miecz, padł martwy z roztrzaskaną głową. Omszały głaz zwałił się na nieszczęśnika znikąd, jakby spadł z nieba.

Zaś, co najdziwniejsze, nie poturbował stojących bardzo przecież blisko towarzyszy nieszczęśnika. Zostali jedynie obryzgni krwią. - Trudno żołnierzowi utrzymać miecz w pochwie, kiedy zaskoczy go niebezpieczeństwo. Musielibyśmy chyba zupełnie porzucić broń,

żeby tego uniknąć.

Viries kiwnął głową. Opanowało go dziwne przecucie. Coś się wydarzy. Musi się wydarzyć coś, przy czym dotychczasowe niesamowitości zbledną.

- Uważacie, panie - zaczął ostrożnie – że te góry, to wszystko co się dzieje...

- Nie wiem, co powinienem sądzić, przyjacielu. Wszystko jest dziwne i niespodziewane. Wyruszyliśmy na zwyczajną wyprawę, odbić więźnia albo upewnić się, że

nie żyje, a jeśli to możliwe, zamienić patrol w karą ekspedycję. Tymczasem czuję, jak sprawy

wymykają się spod kontroli. Czuję to od chwili, kiedy minęliśmy Kaptur, chociaż powinniśmy rozbić o niego nos. Im dłużej myślę, tym bardziej dochodzę do przekonania, że

ta przeklęta góra rzeczywiście przesunęła się ładny kawałek. Chciałbym, żeby było inaczej,

ale obawiam się, że nie popadliśmy wszyscy naraz w obłąd.

- Tak – Viries pochylił się nad ciałem. – Obłąd... To byłoby chyba o wiele lepsze...

Co robimy?

- Idziemy dalej – pułkownik wzruszył ramionami. – Drogi odwrotu nie ma. Skały za nami zrastają się, ledwie odejdziemy kilkadziesiąt kroków. Może coś lub ktoś nas prowadzi

ku jakiemuś miejscu.

- Może ku śmierci?

-Boisz się? – na twarzy Vallery'ego zagościł krzywy, lekko drwiący uśmiech.

Sierżant spojrzał mu prosto w oczy.

- Jak wszyscy diabli, panie pułkowniku. A pan?

- Musiałbym być naprawdę szaleńcem – odparł poważnie. – Ale jeśli nas dwóch ogarnia strach, co musi się dziać w sercach prostych żołnierzy?

- To samo – powiedział Viries zdecydowanie. – Sam ich wyszkoliłem, znam każdego lepiej niż

własne palce. Boją się, ale pójdą za komendą tam, gdzie ich pan zawiedzie. To dumni ludzie. Karki mają twarde, a w sercach nie znajdzie się miejsce na przeniewierstwo.

Wszyscy zgłosili się na ochotnika, w wysokie góry. A przecież bywali w Varijji. Może nie tak daleko, ale bywali. Wiedzieli, że czeka tutaj ciężka przeprawa.

- Wiem, ale strach bywa silniejszy od poczucia obowiązku.

Sierżant nie odpowiedział. Za żołnierzy dałby sobie głowę uciąć, ale i dowódca może mieć rację. Dobrze jednak, że sam pułkownik wyruszył na poszukiwania.

Pozostałym

oficerom zabronił. W garnizonie muszą zostać doświadczeni dowódcy. Obyci w walce z zagonami Varijczyków. A tutaj... samo wojenne obycie nie wystarczy. Trzeba czegoś więcej.

Właśnie tego, co ma d'Orenburg – zdrowego rozsądku i umiejętności opanowania w obliczu niewytłumaczalnego. Następne słowa wypowiedziane przez Vallery'ego utwierdziły tylko Viriesa w tym przekonaniu.

- Musimy od tej pory słać ludzi przodem, by sprawdzali czy górale gdzieś się nie kryją, by urządzić kolejną niespodziankę. Oczywiście będą chodzić bez broni. Tamci też najwyraźniej nie mogą jej użyć. Pochód się spowolni, ale trudno, coś za coś. I tak nie wiemy,

gdzie i po co mamy dojść. Przy oszczędnym gospodarowaniu spyży wystarczy jeszcze na kilka dni, woda płynie pod nogami. Coś się wreszcie musi zdarzyć.

Reiss z Kocurem i dwoma żołnierzami szedł w szpicy. Przeczesywali dokładnie teren, zaglądali za każdy wyłom w skałach, wdrapywali się wyżej, by zaglądać do jaskiń i nisz. Męczące zajęcie, lepsze jednak od chodzenia w ociążu. Lepiej się zmęczyć bobrując z

przodu niż patrzeć bezradnie, jak za plecami ściany zwierają się bezgłośnie.

- Skoro tutaj można spotkać takie cuda – powiedział do zdyszanego po wspinaczkę Kocura - to co musi się dziać w krajach magii, gdzie ponoć każdy, nawet najpodlejszy żebrak

para się czarami.

- A właśnie podobno niewiele się tam takich rzeczy dzieje. Embargo mają, czy jak tam to się nazywa, na niektóre uroki. Znaczą ograniczenia. Właśnie żeby się różne cuda nie

działy. Ci, co tam byli powiadają, że nawet najwięksi mistrzowie, jeśli chcą zrobić jaki większy czar, muszą pytać o pozwolenie.

- Kogo? Przecież nie mają królów.

- Znać, żeś wychował się na zadupiu i o świecie wiesz tyle, co brudu za paznokciem.

Czarnoksiężnicy władcom nie hołdują, ale mają radę, co ich zastępuje i pilnuje, by nie czynili głupot. Jednakowoż kiedyś inaczej bywało. Bawili się magią, robili co chcieli. Do czasu.

Dawno, wieki temu, niektórzy zaczęli się ze sobą zreć. Jak to wśród ludzi. Doszło do tego, że stronnictwa magów wypowiedziały sobie wojnę. I, powiadam ci, sławetna charatanina, którą

zakończył traktat w Maeving jest niczym w porównaniu z tym, co się działo, kiedy wielcy magowie zaczęli się przekomarzać. O tym też nigdy nie słyszał, że tak gały wybałuszyłeś?

- Zgłupiałeś? Każdy zna tę opowieść. I nie na ciebie wytrzeszczam oczy. Tam spójrz.

Kocur popatrzył we wskazanym kierunku. A potem wybełkotał coś niewyraźnie i pognął w stronę oddziału. Nigdy dotąd Reiss nie widział, żeby kapral tak szybko przebierał

nogami. Zresztą wcale mu się nie dziwił. Sam po chwili dognał Kocura, słysząc za sobą tupot pozostałych.

Tkwili zamknięci między przepaścistymi ścianami. Lita skała z przodu i z tyłu.

- Może jednak spróbować wspiąć się na któreś ze zboczy? – rozważał głośno kapral.

Starał się nie dać poznać po sobie strachu, ale głos mu się trząsł.

- Jak chcesz się wdrapać? – warknął Viries – toż to ze trzysta łokci skalnej gładzi.

Podejdiesz najwyżej tam – wskazał niewielką półkę. – A dalej? Liny nie przerzucisz, bo nie znam takiego gardziny, co by cisnął hak tak wysoko.

- To co mamy robić?

- Na razie zawrzyj pysk i daj pomyśleć mędrszym od siebie. Lepiej by Oman coś zaśpiewał, skoro i tak jesteśmy w matni i musimy siedzieć na tyłkach.

Żołnierz o smagłym obliczu, pokrytym zmarszczkami i bliznami przymknął oczy.

Popłynęła pieśń w nieznanym żołnierzom języku. Oman wbrew posępnemu krajobrazowi, do którego pasowałaby tęskna, smutna melodia, wybrał coś, co kojarzyło się raczej z zabawą.

Wybijał na udach skomplikowany rytm.

Iria sarda dusha veltirijo

Iria sarda issa neredija

Naria massar urda nesirijo

Iria nassa idar vederija

Żołnierze słuchali najpierw ze zdumieniem, a potem z coraz większą radością.

Niektórzy próbowali naśladować rytm podawany przez Omana. Są jak dzieci, pomyślał

d'Orenburg. Wystarczy oderwać ich na chwilę od smutnych myśli, żeby poczuli się szczęśliwi. Ale to dobrze. Tak powinno być. Wojak zawsze musi być gotów na trzy rzeczy –

spanie, jedzenie i zabawę. To pomaga pogodzić się ze śmiercią, radzić sobie w takich chwilach, jak ta. Szkoda, że jemu wojacka beztroska nie może się udzielić, nie potrafi pomóc.

Co dalej? Wyruszyli, by ratować życie synowi hrabiego Darelli, a tymczasem sami muszą zadbać o swój los. Dlaczego? Myślał intensywnie. Zaszli już tak daleko. A przecież w każdej

chwili droga mogła się zamknąć. Jednak coś zdecydowało, że mają się zatrzymać właśnie tutaj. Przywykł już do myśli, że znaleźli się w żyjących górach. Człowiek potrafi się przystosować do każdej sytuacji. Ale trzeba znaleźć jakieś wyjście.

Oman tymczasem wykonywał następną pieśń, tym razem znaną wszystkim. Chór głosów wzniósł się pod niebo.

Nie będzie moim domem

ciepła matczyna chałupa

na wroga spadną gromem

niech drży mu ze strachu dupa

Niewybredne słowa i podłe rymy zwykłej wojskowej piosenki. Vallery uśmiechnął

się. Wrzeszczał z całych sił, nie zważając na nic. Potrzebne żołnierzom takie wytchnienie, jakby zuchwałością chcieli odczarować zaklęty świat dookoła. Viries zbliżył się, odciągnął

dowódcę na bok.

- Reiss szepnął mi przed chwilą, że może spróbować wejść po stromiznie. Chłopak wychował się pod samymi górami, ma obycie.

- Nie widzę innego wyjścia. Niech próbuje.

Po chwili pieśń się urwała. Wszyscy w napięciu śledzili poczynania młodego żołnierza. Zwój cienkiego powroza przywiązał do pasa na plecach. Kiedy wejdzie na górę,

zrzuci koniec, towarzysze przywiążą grubsze sznury, a on je wciągnie. Uda się. Musi się udać. Wspinał się sprawnie aż do linii skalnych półek i niewielkich osuwisk. Tam stanął, obserwując uważnie stromą ścianę. Choćby nie wiadomo jak gładka, musi być gdzieś spękana, dać oparcie palcom i stopom. W dzieciństwie wiele razy podkładał się do niedostępnych gniazd sokołów. Wtedy też się zdawało, że to niemożliwe. Splunął w dłonie,

skoczył w górę, zawisł na samych opuszkach. Buty zaszurały bezradnie. Zeskoczył, zdjął

obuwie. Pewnie się pokrwawi, ale na bosy znajdzie lepsze oparcie. Znów zawisł, jednak tym

razem znalazł nagimi palcami stóp nierówność. Zaczął się piąć.

- Szczwana bestia – rzekł z podziwem Kocur. – Lezie niby wiewiór po gładkim buku. Jakby pazurami się czepiał powietrza.

Nadzieja wstąpiła w serca. Ludzie zaczęli między sobą szeptać, bojąc się, iż głośniejszy dźwięk może wytrącić Reissa z rytmu. Był już w jednej trzeciej wysokości.

Jeśli

nie opadnie z sił, dojdzie na pewno...

- Uważaj! – rozdarł powietrze krzyk. Wysoko nad głową śmiałka skała pękła bezgłośnie. Rozszerzająca się szczelina pomknęła w dół, prosto w jego kierunku. –

Uciekaj!

Rada była tyleż spóźniona, co bezwartościowa. Nie miał drogi ucieczki, nie mógł

wykonać ruchu. Szczelina zbliżała się nieubłaganie. Reiss zamarł, czekając, aż oparcie wyrwie mu się z rąk. Jednak wtedy pęknięcie przestało się powiększać. Po chwili zablizniło

się równie szybko, jak powstało.

- Wracaj! – zawołał d'Orenburg.

- Może jeszcze spróbuję? – doleciała odpowiedź.

- Złaż natychmiast! Nie rozumiesz? Góry nie pozwolą dojść na szczyt!

- No to jesteśmy ugotowani – Kocur usiadł na ziemi. – Co za koszmar!

Jednak prawdziwa groza miała dopiero nadejść. Zaczęło się niedługo przed zachodem słońca. Głęboki cień zaległ w ich pułapce, więc nie od razu spostrzegli, co się dzieje. Pierwszy zorientował się Danerg, jeden ze starszych żołnierzy.

- Tego tu nie było – powiedział flegmatycznie, wskazując ścianę przed sobą. –

jeszcze chwilę temu tego nie było. Zawiadam pułkownika – rzucił do kamrata.

Tamten wrócił po chwili z Vallery, Viriesem i Kocurem. Danerg wskazał tylko palcem. D'Orenburg wciągnął głęboko powietrze. W skałach ziała wielka dziura.

Wyglądała

na wejście do jaskini. Ostrożnie podszedł, pokonując stojący na przeszkodzie piarg.

- Rozpalcie jakąś pochodnię!

Po dłuższej chwili żołnierz dostarczył drąg owinięty płonąca nasmołowaną materią.

Vallery zajrzał do środka.

- Wygląda, że wewnątrz jest korytarz – wszedł dwa kroki dalej. Ktoś stanął za nim. Z

początku myślał, że to żołnierz, który przyniósł pochodnię. Już miał go odesłać, kiedy w migotliwym blasku poznał twarz sierżanta. – Co myślisz, stary?

- Nic nie myślę, panie pułkowniku. Ale trzeba to sprawdzić. Weźmy liny, więcej pochodni i...

- Ty nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz przy ludziach. W razie czego musi ktoś dowodzić.

- To niech pan zostanie. Pułkownikowska głowa cenniejsza.

- Pociągniemy losy.

Zawrócili. Jednak ledwie Vallery wyszedł przed jaskinię, ziemia zadrżała. Cofnął się odruchowo i wszystko się uspokoiło. Znow wyszedł i znow poczuł mocne wstrząsy.

Mimo to

próbował pokonać piarg.

- Ściany, ściany się zsuwają! – usłyszał rozpaczliwy krzyk. Na głowę posypały się kamienie. Skoczył do jaskini. Ledwie zniknął w jej wnętrzu, ruch ziemi ustał.

- Coś lub ktoś najwyraźniej nie chce, żebym wyszedł – rzekł. – To nam rozwiązuje sprawę losowania. Idź i przynieś potrzebne rzeczy.

Szli ciasnym korytarzem, Viries przodem, Vallery prawie depcząc mu po piętach.

Okazało się, że Viries także nie może opuścić wnętrza jaskini. Co więcej, kiedy chciał do nich dołączyć dzielny Reiss, znów zaczął się piekielny taniec skał, a ściany ruszyły ku sobie.

Poszli więc we dwójkę.

- Mów, stary – powiedział do pleców sierżanta. – Mów, co wiesz.

Viries milczał dłuższą chwilę. Nagle przystanął. Vallery wpadł na niego. Stary twarz miał ściągniętą w świetle pochodni wyglądał dziesięć lat starzej.

- Niewiele. Góry żądają ofiar – powiedział grobowym głosem. – Wszak jeśli martwe góry je pochłaniają, żywe muszą łaknąć stokroć bardziej. Byliśmy skazani odkąd przekroczyliśmy Przekłętą Przełęcz.

- Wiedziałeś?

- Skądże. Dopiero teraz do mnie dotarło... Co zresztą za różnica. I tak musielibyśmy iść. Życie młodego panicza Darelli więcej jest warte niż garstki żołnierzy. A tak naprawdę co innego ma większą wartość.

Tak jest coś ważniejszego od czyjegokolwiek życia. Duma hrabiego Darelli, bliskiego przyjaciela Ludwiga Burghiese, nie zniesie, żeby jakieś dzikusy więziły jego syna.

Już by pewnie wolał, by młodzieniec nie żył. Trudno to zrozumieć zwykłemu człowiekowi, ale przecież arystokraci Vereeny bywają bodaj bardziej bezwzględni niż varijscy górale.

Na

dodatek wszechwładny Burghiese liczy, iż znenawidzony przezeń d'Orenburg położy głowę na tej wyprawie. Tym razem może się nie przeliczyć.

- Uważasz, że to my zostaliśmy wybrani na ofiary? – Vallery'ego przeszył

nieprzyjemny dreszcz. Czym innym jest napotkać śmierć na polu bitwy, a czym innym poczuć jej lodowaty oddech w głębi groźnych, ciemnych korytarzy.

- To wielce prawdopodobne – Viries otarł kropelki potu z czoła. Zastanawiał się, jak zostaną uśmierceni. Najgorszym, co mógł sobie wyobrazić to, że kamienne ściany zaczną się

zsuwać, by nieśpiesznie zmiążdżyć niepożądanych gości. Otrząsnął się ze złych myśli. –

Chodźmy lepiej.

- Chodźmy – odpowiedział jak echo pułkownik.

- Chodźcie – rozległ się niespodziewanie głos tuż przed nimi.

Vallery drgnął, odruchowo sięgnął do pasa. Namacał powietrze. Broń została przed jaskinią. Viries wznosił pochodnię, by oświetlić intruza. W niepewnym blasku ujrzeli Varijczyka podobnego z ubioru do tych, z którymi walczyli przed wejściem w Masyw Spokoju.

- Chodźcie – powtórzył góral. – Jesteście o krok od serca.

- Jakiego serca? – spytał Vallery.

Przybysz nie odpowiedział. Szedł już przed siebie, znalazł się poza zasięgiem światła, nieomylnie odnajdując drogę w ciemności. Chcąc nie chcąc, ruszyli za nim.

Czego

mają się spodziewać na końcu drogi? Kto lub co na nich czeka? A może to tylko pułapka?

Może Varijczyk prowadzi ich ku jakiejś przepaści? Lepsze jednak to niż poprzednia niepewność. Co robią żołnierze na zewnątrz? Czekają biernie czy próbują coś zdziałać, żeby

wyjscie z obieży?

- Teraz na kolana – powiedział Varijczyk twardo akcentując głoski. – Do miejsca, do którego zdążamy idzie się z pochyloną głową.

- Sam padnij na kolana, jak chcesz – warknął Viries. – My nie psi, by łązić na czworakach.

- Jak chcesz, vereeński bandyto – syknął góral. – Jeśli nie chcesz usłuchać mnie, ukorzy cię ktoś potężniejszy. Ale ostrzegam, uczyn tylko krok, przestąp bezbożną stopą święty próg, a spadnie na ciebie kara.

- W rzyć sobie schowaj takie rady! – w sierzanta jakby diabeł wstąpił. Vallery nie poznawał opanowanego zawsze podoficera. Ale zgadzał się z nim. Żeby paść na kolana, trzeba mieć dobry powód, a nie tylko słowa jakiegoś człowieka. – Nie widzę żadnego progu i

wejścia, tylko ciasny korytarz.

- Nie wszystko da się dostrzec gołym okiem – przewodnik przyklęknął. – Radzę wam...

W tej chwili rozzłoszczony Viries postąpił naprzód, odtrącając Varijczyka. Vallery dostrzegł jasny błysk, chciał złapać sierzanta, pociągnąć go tył, ale nie zdążył. Poczuł

słabość,

mdlącą słodycz w ustach. Wszystko rozplynęło się w oślepiającym blasku.

Pod szarymi, kamiennymi ścianami dostrzegł znieruchomiłych ludzi. W różnych strojach, w różnym wieku. Dużo ich. Patrzą w przestrzeń szklanymi oczyma, jakby w wiecznym zamyśleniu nie potrafili dostrzec niczego poza wewnętrznymi wizjami.

Dziwnie

ich widać. Czy to świat stał się taki krzywy, czy... Vallery zdał sobie sprawę, że leży na boku, z policzkiem przyciśniętym do jakiegoś kamyka. Podniósł się z trudem, próbował wstać, ale nagły zawrót głowy rzucił go z powrotem na ziemię. Tym razem był ostrożniejszy.

Usiadł.

Rozejrzał się. Wbrew oczekiwaniu nie znajdował się w jakiejś wielkiej jaskini. Nad głową miał niebo. Ciemnobłękitne, takie jakie bywa o poranku, zanim słońce pozbawi go ostatnich

ciemnych śladów po miękkiej piesszczocie czulej kochanki – nocy. Skalne ściany dookoła tworzyły koło. Pośrodku... Dwóch ludzi. Sędziwy starzec z długą brodą i dwudziestoletni może chłopak. Obaj w białych habitach, lamowanych czerwono złotym wzorem, z jakim d'Orenburg jeszcze nigdy się nie spotkał. Nieokreślony, z tej odległości przywodził na myśl

promienie słoneczne skąpane w płatkach róż.

Viries! Ta myśl sprawiła, że poderwał się nie bacząc na słabość. Gdzie stary? Tam, w korytarzu... Leżał o dwa kroki, nieprzytomny. Vallery przypadł do niego, położył palce na

szyi. Jest puls! Pochylił się. Oddech krótki, urywany. Niecierpliwymi ruchami rozpiął

rzemienie kirysu, płat blachy z brzękiem padł na kamienne podłoże. D'Orenburg rozchylił

koszulę na piersi sierżanta. Viries odetchnął głębiej.

- To chwalebne, że zatroszczyłeś się wpierw o towarzysza, zanim pomyślałeś o własnym bezpieczeństwie – odezwał się starzec. Miał silny, głęboki głos. – To bardzo chwalebne. Nie lękaj się, on żyje. Ale na razie pozostanie nieprzytomny. Bywa zbyt porywczy, mógłby narobić szkody.

- Nigdy – wychrypiął Vallery. Odchrząknął. – Nigdy taki nie był. To miejsce...

- Nie miejsce – przerwał starzec. – A w każdym razie nie do końca. Ty się wszak nie zmieniłeś. To on, w nim narodził się niepokój, a ja znam przyczynę. Ale o tym później.

Vallery wstał, zachwiał się, ale tym razem przemógł słabość, stanął na szeroko rozstawionych nogach. Stary człowiek patrzył na niego niepokojąco zielonymi oczami.

Boże,

przeleciało przez głowę pułkownikowi, stoi ode mnie dobre piętnaście kroków. Jak mogę widzieć, jaką ma barwę oczu... Jednak widział. Podobnie dostrzegał wywrócone białka oczu

ludzi stojących dookoła, choć byli jeszcze bardziej oddaleni. Młodzieniec siedzący u stóp starca, w samym środku ułożonego z gładkich, mieniących się kamieni, miał zamknięte oczy,

zdawał się duchem równie odległy jak sklepienie nieba. Płomiennorude włosy, pokryta piegami jasna cera... tak, bez trudu widać rodzinne podobieństwo.

- To jest Daniel Darelli – d'Orenburg wyciągnął oskarżycielskim gestem palec. –

Porwany z rodzinnego domu. Mam obowiązek zabrać go do ojca!

Stary wznosił oczy w górę, rozłożył ręce. Szerokie rękawy szaty ułożyły się na podobieństwo rozpostartych orlich skrzydeł.

- Słyszycie? – zawołał. – Przybył tutaj mały, mdławny człowiek i chce odebrać waszą własność! Bezczelny robak gotów wszcząć walkę z waszą niezmierną mocą!

- Do kogo przemawiasz, kapłanie? – Vallery domyślił się już, że znajduje się w jakiejś świątyni nieznanego bóstwa.

- Do gór. Do Żywych Gór.

- Góry cię nie słyszą. Nawet żywe.

- Nie słyszą – Starzec znów wlepił wzrok w d'Orenburga. – Ale czują. Jeszcze się nie domyśliłeś? Jesteś w samym środku Żywych Gór. W świątyni zwanej Sercem.

- To jest Serce Żywych Gór? Ten plac pośród skał?

- A czego się spodziewałeś? Wielkiej katedry? Podziemnego pałacu?

- Czegoś w tym rodzaju.

Kapłan zaśmiał się.

- Jeśli nie wierzysz, że to wyjątkowe miejsce, rozejrzyj się po otaczających nas ludziach. Śmiało, może odnajdziesz w nich coś interesującego.

Vallery zerknął na Viriesa. Leżał bez ruchu, pogrążony w nieświadomości. Potem przeniósł wzrok na postacie wokół. Varijczycy, ale tylko na pierwszy rzut oka. Między sylwetkami półdzikich

wojowników można dostrzec barwny strój kupca z Halary. Obok lumijska amazonka, nie dwie amazonki. Dalej znów szereg górali i bura sukmana chłopca z

przedgórza Kaleemy. Odwrócił się i krzyknął cicho. Mundury! Znajome uniformy. Rzucił się

w ich kierunku. Nie wierzył świadectwu własnych oczu. Jan, zabity i poturbowany przez niedźwiedzia. Markus i Hennar, dwóch poległych w potyczce pod Masywem Spokoju, przysypany przez lawinę, Bennon, zmiażdżony głazem Riban... i... Reiss o młodej, prawie dziecinnej twarzy. Już domyślił się, że ma przed sobą ofiary gór.

- On też? – spytał - Dzielny Reiss, ulubieniec Viriesa?

- Był dzielny – przytaknął starzec. – Próbował mimo wszystko sforsować ścianę, wejść na jej grzbiet. Musiał umrzeć. Żywe Góry nie darują zuchwalstwa nawet najodważniejszym.

W duszy pułkownika rósł żal. Każdy z tych ludzi był mu drogi, choć znał ich dość krótko, dwa miesiące zaledwie. Jednak wspólne trudy zbliżają. Szkoda takich żołnierzy na

bezsensowną śmierć.

- Dlaczego? – spytał bezradnie.

- Weszliście, gdzie nie powinniście wchodzić. Przybyliście odebrać górom ich własność – wskazał młodzieńca. – Wydrzeć serce...

- Przyszliśmy jedynie po tego chłopca.

- O tym mówię.

Vallery zbierał myśli. Gdyby mógł mieć pewność, że oszalał, a to wszystko dookoła jest tylko zwidem chorego umysłu, na pewno byłoby lżej. Stanowczo lepiej popaść w obłąd

samemu, niż żeby świat aż tak zwariował.

- Co on ma do twoich Żywych Gór?

- Moich? – uśmiechnął się starzec. – Raczej naszych. To wspólne dziedzictwo Vereeny, Halary, Lumii, Hegranu i innych państw. Żywe Góry są dziełem rąk ludzkich, a nie

boskiego zamysłu. Jesteś zdumiony? Nie dziwię się. To jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic. Ale skoro już tu jesteś... Chcesz wysłuchać opowieści?

D'Orenburg odwrócił wzrok od żołnierzy. Powoli zbliżył się do kapłana.

- Nie [próbuj przestąpić tego kręgu – ostrzegł kapłan, wskazując kamienie otaczające młodzieńca. To

by się wiązało z wielkim niebezpieczeństwem. W tej chwili nawet nie dla ciebie, ale w przyszłości dla całego świata.

- Czym jest ten krąg?

- Ciszą i spokojem. W nim wybrany może dostąpić stanu, w którym stanowi jedność z Żywymi Górami. On zapewnia ład i porządek. Jeśli wykażesz odrobinę cierpliwości, powiem, jak do tego doszło.

Straszne zmagania czarnoksiężników. Starzec opowiadał tak wspaniale, jakby widział to na własne oczy. Vallery miał wrażenie, jakby przed przesuwały się przed nim obrazy z tamtego czasu, sprzed wielu wieków.

Rozgniewane oblicze Brunona Wielkiego, najślawniejszego z czarnych magów, naprzeciw niego Gotfryd Olbrzym, przywódca buntowników z Hegranu, frakcji sprzeciwiającej się nadużywaniu mocy chaosu i brudnym praktykom nekromantów. Stali się

wrogami w chwili, gdy Brunon zaprzagnął obwołać się cesarzem wszystkich czarowników.

Szlachetny gniew Gotfryda nie był jednak tak szlachetny, jak się zdawało. Sam pragnął

podobnej godności. Mimo wielkiej mądrości nie rozumieli, że coś podobnego nie może się

udać, a co więcej - doprowadzi do nieszczęścia. Zaślepiła ich żądza władzy. Ich i zwolenników, potężnych czarnoksiężników.

Pojedynek postanowili odbyć w odludnym miejscu, w górach varijskich. Starli się w straszliwym boju. Powietrze pociemniało od zwalczających się wzajemnie potężnych zaklęć,

niebo przykryły chmury, a błyskawice biły równie gęsto jak rześisty deszcz. Każdemu z przywódców służył pomocą zastęp najznakomitszych magów. Próbowali się przemóc długo,

tak długo, że wielu zabrakło sił, padło w śmiertelnym zmaganiu. Ziemia drżała, skały zamieniały się w gorącą lawę i zimny lód na przemian. Jednak zbyt wielka była zarówno w

Brunonie, jak i Gotfrydzie moc, aby mogli się pokonać korzystając z dozwolonej magii.

Kto pierwszy rzucił zakazane zaklęcie Heerdi, Zapętlonego Czasu, nie wiadomo.

Przeciwnik odpowiedział tym samym, ale też uczynił więcej. Zaatakował siłą Mirdrem, zaklęciem wywołującym gniew najpotężniejszych sił natury. Wtedy niespodziewanie zrobiło

się zupełnie cicho. Upłynęła dłuższa chwila, zanim magowie zdali sobie sprawę, co się wydarzyło. Heerdi i Mirdrem spowodowały, iż świat wokół zaczął się przekształcać, ożył

bezrozumnej furii jął siać zniszczenie. Gdy tylko pojęli, do czego doprowadziła ich zajadłość, zjednoczyli siły, by zapobiec nieszczęściu. Gotfryd Olbrzym bez wahania poświęcił się, by wspomóc moc dotychczasowego wroga. A Brunon objął magiczną, żelazną kłamrą spłacheć terenu, zanim zaklęcia zdołały rozprzestrzenić się na cały świat. Ale, nawet wsparty siłą niedawnego wroga, nie potrafił zawrócić z drogi przywołanych mocy.

- Tak powstały Żywe Góry - zakończył kapłan. - Powstały, trwają i trwać będą, wciąż próbując się uwolnić. Albowiem można zepchnąć do otchłani demona, okiełznać nieczyste siły, bo są rozumne i poddają się działaniu umysłu. Ale nikt z ludzi nie potrafi cofnąć skutków tego, co się wtedy zdarzyło. Można jedynie pilnować, by magiczna kłamra

szczelnie spinała przeklętą ziemię.

- Chcesz powiedzieć, że ten młodzieniec... - Vallery pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Tak, on jest spadkobiercą Gotfryda i Brunona. Wielki czarnoksiężnik stał na straży ponad dwieście lat, starając się odkupić winy. Jednak powoli tracił siły i musiał znaleźć kogoś, kto podejmie straszliwe brzemię. Trzeba ci wiedzieć, że niezmiernie rzadko rodzi się

ktos zdolny podołać takiemu zadaniu. Jednak Gotfryd znalazł kandydata, daleko, za morzem.

Wysłał zagony Varijczyków, by go sprowadziły. Po pewnym czasie i jednak i ten stracił moc.

Tak to trwa od wieków. Na każdego przychodzi czas. Musiałem znaleźć ucznia.

Wolałbym,

żeby to było chłopskie dziecko, nie pańskie. Jednak przeznaczenie nie wybiera. Wysłałem ożywieńców przybranych w barwy mieszkańców wysokich gór.

- Czy to dlatego nie zostały po nich trupy? Nie można ich zabić?

- Można - uśmiechnął się kapłan. - Jednak nie mocą oręża. Każdy, kto znajdzie się w Żywych Górach w chwili przemienienia, kto zakłóci spokój kapłana świątyni Serca, musi zginąć. A że góry te są niezwykle, także śmierć wygląda tu inaczej. W korytarzach prowadził

was nie kto inny jak jeniec, który rzucił się w przepaść.

- Więc tutaj rozegrała się ta straszliwa batalia, o której opowiadają legendy - szepnął

Vallery. - Jednak dlaczego to aż taka tajemnica?

- Ludzie nie dojrżeli, by o tym wiedzieć. Zbyt potężne siły tu drzemią, zbyt mogłyby się okazać kuszące dla żądnych władzy. Weź chociażby hrabiego Burghiese. On już próbował

kiedyś zniewolić czarnoksiężnika, nie zważając na niebezpieczeństwo. Tacy wazą się na wszystko, będą przekupywać, jątrzyć i starać się dopiąć swego. Strażnik nie miałby spokoju.

Każde wtargnięcie tutaj zagraża wytrąceniem go z błogosławionego stanu. Nawet takie jak

wasze. Gdyby weszła armia... nie chcę o tym myśleć. Jest taki czas, właśnie wtedy, gdy trzeba

powołać nowego strażnika, że Serce Żywych Gór staje się podatne na ciosy. Zwyczajnie świątynia jest ukryta, tak jakby znajdowała się poza czasem, a to znaczy i poza ludzkim poznaniem. Ale nadchodzi co pewien czas groźna pora zmiany. Adept jeszcze nie nauczył

się

w pełni panować nad swoją dziedziną, nie potrafi zamknąć wejścia do niej. Jest niewprawny,

nieporadny, góry słuchają go, ale popełnia błędy. Dlatego żyjecie. Dlatego i czegoś jeszcze...

Kapłan zamilkł. Vallery znów spojrzał na swoich ludzi. I znowu poczuł ukłucie żalu.

Zrozumiał już, że młody Darelli nie opuści tego miejsca, chyba, żeby...

- Tak - odezwał się starzec. - Możesz próbować zabrać go siłą. Co więcej, może ci się nawet udać wytrącić młodzieńca z transu.

- Czytasz w moich myślach?

- Nie potrzebuję. Jesteś wojownikiem, nietrudno zgadnąć, nad czym się zastanawiasz. Jesteś dość silny, by zabierać Daniela. Góry nie staną na przeszkodzie. Bez swego przewodnika zapewne najpierw popadną w bezruch. Dopiero potem zapanuje chaos.

Ale czy jesteś gotów wziąć na siebie odpowiedzialność za uwolnienie straszliwych sił?

Opanują świat, sprawią, że nie da się na nim żyć...

- Powiedziałeś, że jest coś jeszcze. Co sprawiło, że nie zostaliśmy zgniecieni przez skały?

- Nie tylko co, ile kto. W waszym oddziale wyczułem człowieka, który ma w sobie tę moc, co i młody hrabia. Może nie aż tak potężną, ale wystarczającą. To niesamowite, by dwie

osoby o takich zdolnościach pojawiły się w jednym kraju, w jednej jego części. Ale dla Boga

nie ma rzeczy niemożliwych. Zaś człowiek jest ułomny, o czym niech świadczy, iż zaabsorbowany

panem Darelli nie zwróciłem uwagi na tego drugiego. Dopiero, gdy pojawił

się za Przekłątą Przełęczą... Żeby nie przeciągać sprawy, bo czas jest mi równie drogi jak tobie, a może nawet bardziej, jest możliwe, by młodzieniec powrócił do ojca. Nie będzie nic

pamiętał. Jednak... - zawiesił głos.

- Jednak - dokończył Vallery - w jego miejsce musi pozostać ten, kto owe zdolności posiada. Niech tak będzie. Bierz mnie, a Viries niech zabierze chłopca. Dochowa tajemnicy.

- Jak zawsze duma i honor, pułkowniku - starzec uśmiechał się, ale w jego głosie nie był drwiny. - Duma, honor i poświęcenie. Nie zastanowiłeś się nawet przez mgnienie oka.

Ale

na tak szybko, wojowniku. Sprawa jest bardziej skomplikowana. Musisz podjąć decyzję trudniejszą niż przypuszczałeś.

Vallery patrzył na nieprzytomnego sierżanta. Nowina, jaką przed chwilą usłyszał

jeszcze odbijała się w głowie przykrym echem. To Viries jest drugim wybranym... Nie pułkownik, ale sierżant. Słusznie powiedział kapłan. Decyzja jest trudna... straszliwie trudna.

Obowiązek czy braterstwo broni? Rzecz jasna, powinien zwyciężyć obowiązek. Jednak czy wolno składać w ofierze nie życie człowieka lecz duszę? Czym innym jest posłać żołnierzy w ogień walki, szafować krwią, zaś inną rzeczą decydować o dalszym życiu, nie śmierci.

- On chyba też powinien mieć coś do powiedzenia w tej sprawie - d'Orenburg wskazał sierżanta.

- Obaj wiemy, co byśmy usłyszeli. Duma, honor i poświęcenie. Ale to też byłoby zbyt proste. Ty go przywiodłeś do świątyni Serca, ty wreszcie zabierzesz chłopca lub jego.

Decyzja należy więc do ciebie.

- Czy to jakieś prawo gór?

- Nie ma jakiegoś mitycznego prawa gór - Starzec machnął lekceważąco ręką. -

Prawo stanowią tylko ludzie. Ale powinno być tak, jak mówię. Ja sprowadziłem tu pana Darelli, zdecydowałem o jego losie. Sierżant przyszedł z tobą, więc ty bierzesz za niego odpowiedzialność. Przybyliście właśnie po tego młodzieńca. Mnie jest wszystko jedno.

Ponieważ zaś jest wybór, nie widzę przeszkód, by go dokonać. Nim się jeszcze namyślisz, podejdź.

Dam ci przedmiot, który pozwoli tobie i pozostałym wrócić bezpiecznie, uniknąć

pułapek Żywych Gór. Z Varijczykami poradzicie sobie sami.

Vallery zbliżył się posłusznie. Kapłan wyciągnął dłoń grzbietem do dołu, rozchylił palce. Mały kamień, połyskujący identycznie jak te z kręgu otaczającego młodego hrabiego.

- To pieczęć Żywych Gór - oznajmił uroczyście starzec. - Ona otworzy wam drogę.

D'Orenburg, biorąc przedmiot, spojrział głęboko w zielone oczy. To, co w nich zobaczył, sprawiło, iż znieruchomiał.

- To ty, prawda? - wyszeptał. - To musisz być ty!

Nieludzkie, potworne zmęczenie osiadło głęboko na dnie źrenic kapłana. Źrenic głębokich i przepastnych, jakby sięgały do samego środka piekła. Taki ciężar nie może być

dziedzictwem jednej, choćby najdłuższej ludzkiej egzystencji. Przygnębienie i beznadzieja owszem, ale nie tak wielkie zmęczenie.

- To ty - powtórzył. - Brunon Wielki!

- Ja – skinął głową starzec. – Dostrzegłeś to w moich oczach. Wrażliwy z ciebie człek jak na żołnierza. Słusznie postąpiłem dopuszczając cię aż tutaj.

- To twoja kara? – Vallery wskazał szerokim gestem krąg świątyni.

- Moja i Gotfryda. On cały czas tutaj jest. We mnie i tym chłopcu. W tych górach. W

wodzie i ludziach stojących kręgiem dookoła nas. Nie wiem czy nadejdzie chwila, kiedy zostaniemy uwolnieni. Nie wiem – powtórzył cicho, z ogromnym, niewyobrażalnym smutkiem. – Najwięksi wrogowie we wspólnym jarzmie. Jednak aby je ciągnąć potrzebujemy

tego chłopca albo twojego sierżanta. Musisz wybrać.

- Dlaczego? – spytał z rozpaczą d'Orenburg. – Dlaczego mi to robisz? Zadajesz torturę.

- To nie jest tak – odparł starzec tym samym smutnym tonem. – Od chwili, gdy pojawił się drugi wybraniec, myślałem o tym. Powinieneś też wiedzieć, że jeśli zostanie tu

Viries, jego życie przedłuży się niepomiaralnie.

- Jednak czy chłopiec nie gwarantuje dłuższego okresu spokoju? Jest młody...

- Rzecz nie w wieku, ale w wewnętrznej energii... Widzisz, młodego hrabiego obserwowałem od urodzenia, od dwudziestu lat. Dlatego przeoczyłem pojawienie się Viriesa.

Kiedy przybył do garnizonu?

- Z tego, co wiem, ponad dziesięć lat temu.

- Właśnie. Zauważyłem jakiś czas temu nagły przypływ mocy, ale byłem przekonany, że to chłopiec zyskał siły. Z tamtej strony, po której w zwykłym czasie znajduje

się świątynia, świat wygląda nieco inaczej.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie. Dlaczego ja mam wydać wyrok?

- Bo jesteś człowiekiem. Dobrym człowiekiem. Nie potrząsaj głową! Jesteś dobry.

Myślisz, że nie widziałem, jak zakazałeś mordować jeńców? Jak dbasz o ludzi? Lepszy jesteś ode mnie, więc podejmiesz właściwą decyzję. A na pewno lepszą...

Skąła rozstąpiła się bezszelestnie, kiedy tylko zbliżył się z połyskującym kamykiem.

Wojacy, wychudli i poczerniali, z ulgą opuścili pułapkę. Vallery był zdumiony, dowiedziawszy się, ile przebywał w świątyni Serca Żywych Gór. Pięć dni... Żołnierze stracili

nadzieję na ratunek. Przygotowywali się do śmierci. Pułkownik był zdumiony, jak podobne

napięcie może wyczerpać silnych ludzi. Przecież nie dopiekł im jeszcze głód, a słaniali się na

nogach. Kocur z przerażeniem opowiadał, jak ciało rozbite Reissa, które zawisło na niedostępnej półce, zniknęło bez śladu.

Jednak osłabienie nie przeszkodziło oddziałowi przebyć drogi przez wąwóz prawie biegiem. Z ulgą zostawili za plecami Masyw Spokoju. Na otwartej przestrzeni wstąpiła w serca otucha. Tylko ten Viries...

- Boczysz się na mnie, stary? – Vallery zatrzymał się obok sierżanta. Dopiero teraz miał okazję porozmawiać z nim z dala od uszu żołnierzy.

- Powinniście mnie tam zostawić, panie pułkowniku. Posłano nas po Daniela Darelli.

To idąc w sukurs jemu, nie mnie, zginęli nasi.

- Wiesz, co się stało tam w... – zwiesił głos. Nie powinien wymawiać nazwy tego miejsca.

- W świątyni Serca – dokończył Viries. – Leżałem bez czucia, ale widziałem i słyszałem wszystko... i więcej.

- Ty byś pewnie mnie zostawił?

Sierżant zamyślił się. Dopiero po dłuższej chwili drgnął, spojrzał przytomniej.

- Nie wiem. I cieszę się, że nie musiałem być na pana miejscu. Ale...

- Ale co? Wydusisz to czy nie!

- Kiedy moja dusza wędrowała, obserwując wszystko, co się działo... jakby to powiedzieć... otarłem się o umysł panicza Darelli. Przez krótką chwilę poczułem to, co on.

Znów pogрузzył się w myślach. Vallery nie poganiał go, cierpliwie czekając aż znów wróci do rzeczywistości.

- Tego się nie da opisać – odezwał się wreszcie Viries. – Ale to jest piękne uczucie mieć taką władzę nad potężnymi górami, wodą, ziemią, nawet powietrzem...

- Żałujesz, że cię tam nie zostawiłem? – Vallery położył rękę na ramieniu sierżanta.

- Chyba nie – potrząsnął głową podoficer. – Na pewno nie. Nie dla mnie podobny spokój. Tak przynajmniej myślę... Ale to naprawdę było piękne. Mam do czego tęsknić.

Milczeli, idąc ramię w ramię. Mais odwrócił się, chciał coś do nich powiedzieć, ale na widok zamyślonych twarzy zrezygnował.

- Trzeba będzie coś powiedzieć ludziom – odezwał się po jakimś czasie Viries. –

Tylko co?

- Na pewno nie prawdę – roześmiał się Vallery. po raz pierwszy od wielu dni poczuł się wolny i beztroski. – I tak by nie uwierzyli.

Ujarzmić miasto

Jechał ulicą Złotników, rozglądając się ciekawie z wysokości siodła. Bogate kamienice kusily ozdobnymi portalami. Ech, westchnął w duchu, gdyby można wpaść tu z

kompanią, przeczesać łykom piwnice, strychy i skrytki! Toż by dopiero była i zabawa, i zysk!

Jednak nie na Wrocław podobne marzenia. Przypomniął sobie strażników przy bramie: jak to

podejrzliwie oglądali książęce pieczęcie na glejcie! Gdyby im kto szepnął słówko pozwolenia, wraz zapakowaliby przybyłego w sak i zawlekli do lochów.

Patrzył hardo w oczy mijanym ludziom. Spuszczali wzrok, jakby od pierwszego wejrzenia wiedzieli, że z czarno odzianym przybyszem nie należy szukać zwady, bo to jeden

z tych, co mogą przebić mieczem za jedno zuchwałe spojrzenie, przy stu nawet świadkach, w

samym środku miasta, nie bacząc na nic.

- Patrzaj – szepnął kupiec w ciemnoniebieskim płaszczu do towarzyszącego mu kancelisty – to rycerz Niclas Dehr! Ma czelność przyjeżdżać do grodu niby sam ksiązę, jakby

był u siebie?

- Pewni jesteście, panie Adamie? – spytał równie cicho urzędnik.

- Na krańcu świata poznam człeka, który obrał mnie z towarów! W piekle czy niebie wypatrzę złe oczy i krzywy uśmieszek!

- Możecie mieć słuszość, że to on. Ponoć otrzymał list żelazny...

- Taki zbrodzień! Toż on diabła gorszy! Raubritter przeklęty!

- Nie sierdźcie się. Nic nie poradzicie na władzę ksiąząt i panów z rady – kancelista otarł pot z czoła. – Chodźmy lepiej do jakiego szynku, zimnego piwa się napić, bom uznojony

po całym dniu.

Niclas Dehr tymczasem wypatrywał apteki. Powinna być gdzieś tutaj, przy wylocie Kurzego Targu. Kurzy Targ... uśmiechnął się do siebie, a drapieżne rysy wygładziły się na

chwile. Stamtąd tylko kilka kroków na Oławską, gdzie...

Niewiele myśląc skierował wierzchowca w lewo. Panowie rajcy i ich przyjaciele mogą poczekać. To im zależy na potkaniu, nie jemu. Smagnął zad zwierzęcia krótkim pejczem, zmuszając je do galopu. Stukot kopyt poniósł się wzdłuż ulicy, ostrzegając zmierzających w różnych kierunkach ludzi. Za pędzącym rycerzem poleciały złorzeczenia,

ale on na nic nie zwracał uwagi. Osadził konia przed okutą, dębową bramą. Pochylił się, wydobył czekan i załomotał w żelazo kołatki.

- Kogo diabli niosą? – rozległ się gruby głos z drugiej strony. – Dobijasz się, bracie, jakby ci było spieszno do piekła!

- Może i spieszno – rzucił Niclas w uchylone okienko. – Jeno tobie może się okazać pilniej, jeśli skoro nie otworzysz wrót, cerberze!

- To wy, panie? – głos stał się jakby mniej tubalny, wyraźnie zabrzmiał w nim strach.

- Już wam otwieram, w tej chwili!

- Prowadź do Judyty – Rycerz zeskoczył z konia, rozejrzał się po niewielkim dziedzińcu. Nic się tu nie zmieniło od ostatniej wizyty, może tylko powiększyły się zacieki na

północnej ścianie. – Spieszno mi, a chcę dziewczki zażyć choć ze dwa pacierze – rzucił

lejce

pachołkowi. – Napoić go i przetrzeć! Tylko należycie. Inaczej mogę się zwałnować, a wtedy marny twój los.

Odźwierny popędził służebnego niecierpliwym gestem, potem podrapał się po głowie.

- Do Judyty, powiadacie, rycerzu? Ano dobrze. Jeno pierwej obaczcie się z panią Hedwigą. Ma wam pewnie co do powiedzenia.

- Prowadź, nie zwlekajmy!

Pan Reinhard Gensch stukał palcami w blat stołu. Rzeźbione krzesło o miękkiej, atlasowej poduszce zdawało się palić żywym ogniem. Kwatera kanonika Michaela Weinberga

urządzona była ze smakiem godnym wielkiego pana, a nie wysokiego bądź co bądź ale tylko urzędnika kościelnego.

- Jesteście pewni, wasza przewielebność, że to dobry wybór?

- Uspokójcie się, panie rajco – kanonik podniósł wzrok znad brewiarza. – To jedynie słuszny wybór.

- Chcecie korzystać z usług rabusia?

- Nie jest zwykłym rabusiem, ale raubritterem.

- Jakbyście go nie nazwali, ortyle za nim wydane od lat i tylko poparcie oleśnickich książąt zdołało go uchronić od kleszczy kata.

Kanonik wstał, przeciągnął się aż zatrzeszczały kości.

- Tyle są warte wasze wyroki. Rajcy z Oleśnicy mało sto razy upraszali panującego im księcia, by go odsunął od łask. Ale on tego nie uczyni, dopóki nasz przyjaciel może się przydać.

- Ufam w wasz rozum, boście uczeni więcej niżli ja.

- I bardzo słusznie, że ufacie. A na wasze wątpliwości odpowiem tak: to, co może nam dać ów rycerz zbyt jest cenne, by pamiętać o powszednich przewinach. Pan Niclas Dehr

wart jest mszy – Kanonik milczał przez chwilę, a potem dodał – Czarnej mszy.

Pana Reinharda przeszedł dreszcz.

- A ten drugi? Ów Czech? Co o nim wiecie?

- Prawie nic. Ale król Jerzy mu ufa, nazywa powiernikiem, a to powinno wystarczyć i mnie, i wam.

Rajca pokręcił głową. Cały czas miał wątpliwości. Jednak dzisiaj chyba już na to za późno. Podjął grę i musi ją doprowadzić do końca. Jeśli się teraz zawaha, może prędzej trafić

na szafot niż z powrotem do Ratusza. Strach ogarnia, kiedy o tym wszystkim pomyśleć.

Kanonik zmarszczył brwi. Pan Gensch jest zbyt niepewny, nękają go wątpliwości.

To ktoś, kogo trzeba mocno chwycić w garść i pilnować, żeby nie przeciekł przez palce.

Ale

skoro nie ma lepszych sprzymierzeńców wśród miejskich patrycjuszy, musi być i taki.

Hedwiga siedziała na kolanach Niclasa. Jedną ręką obejmowała rycerza za szyję, drugą gmerała w odsznurowanej taszce spodni. Przymykała oczy, czując jędrną, nabrzmiewającą męskość. Dehr nie pozostawał dłużny. Potężna prawica ginęła aż do łokcia w

fałdach sukni, palce wykonywały energiczne ruchy.

Nagle wstał, zrzucając kobietę na podłogę.

- Nie zawracaj mi tu głowy swoim przywiędłym ciałem, kądziółko! – warknął. –

Gdzie Judyta? Sowiecie zapłaciłem, żebyś trzymała ją tylko dla mnie!

- Nie było was bodaj od roku, panie... – jęknęła struchlała, nie podnosząc się z ziemi.

- Na dziesięć lat złota by starczyło!

- Wyroki na was straszliwe wydano... Nikt by nie pomyślał, że się jeszcze we Wrocławiu pokażecie...

- Gdzie ona?! – Chwycił właścicielkę zamtuza za suknię na piersi, poderwał jednym ruchem na równe nogi. – Mów, inaczej zaduszę niby kocię!

- Na górze – wyszeptła przerażona. – Jest u niej pewien zamożny kupiec...

Nie słuchał już dalej. Cisnął Hedwigą o ławę, aż zatrzeszczały deski i pognał na piętro. Po chwili rozległy się stamtąd łomoty, przerażone krzyki, w końcu szczęk stali.

Hedwiga przeżegnała się i zaczęła głośno modlić.

Jerzy z Podiebradów, król Czech, spożywał wczesną wieczerzę w towarzystwie księcia Konrada oleśnickiego. Zajazd, w którym stanęli, mógłby służyć za schronienie raczej

włóczęgom i podejrzanym indywiduom niż wysoko urodzonym, jednak miał jedną wielką zaletę – nikt się tu nikim nie interesował. A za sztukę złota gospodarz gotów był zadźgać nożem każdego, kto zacznie zadawać zbyt wiele pytań. Jerzy w zamyśleniu kroił sztukę mięsa. Wołowina już dawno ostygła, ale król nie spieszył się do jedzenia. Zbyt był

zaprzątnięty myślami. W odróżnieniu od niego, Konrad pochłaniał wszystko, co przynoszono na stół.

- Nadspodziewanie smacznie dają zjeść w tej zakazanej tawernie – rzekł z policzkami wypchanymi mieszanką mięsiwa i warzyw.

Król Jerzy spojrział nieobecny wzrokiem. Oleśnicki książę postarał się jak najszybciej przełknąć kęs.

- Martwisz się, mój panie? – spytał z troską.

- Nie nazywaj mnie swoim panem – mruknął Podiebrad. – Wasze Śląsko nie chce we mnie widzieć suwerena.

- Śląsk tego uzna władcą, na kogo wyrażą zgodę wrocławscy panowie i patrycjusze.

- O tym mówię, przyjacielu. Wrocławianie zaparli się, nie chcą uznać husyty. Dla nich jestem gorszy od parszywego psa. Patrz choćby teraz: przybyłem do miasta incognito,

jako zwykły wędrowiec. Gdyby mnie ktoś rozpoznał, pewnie byśmy nie uszli z życiem.

- Wiem – Konrad kiwnął głową. – Wszystko wiem. Widzę też, jak wielką wagę przykładacie do objęcia tutaj rządów, skoroście się puścili na taki hazard. Czy aby nie za wiele ryzykujecie? Czy Śląsk naprawdę jest aż tak istotny?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi, Konrad zresztą jej nie oczekiwał. Tyle już razy rozprawiali na ten temat. Śląsk stanowi drzwi do reszty Europy, a Wrocław jest kluczem, którym owe wierzeje można otworzyć. Bez niego trudno będzie pognębić Habsburgów, okiełznać Macieja Korwina, ubiec niemieckich panów. Poza tym przecież to nie wszystko

–

jest jeszcze ważniejsza sprawa. Dlatego król Jerzy ważył się na szaleństwo, jakim było pozostawienie spraw czeskich na barkach wiernych doradców i daleka, samotna wyprawa. W

Pradze niewtajemniczeni są przekonani, iż wyruszył przeciwko Węgrom. On tymczasem przybył pod Wrocław, żeby uczynić coś, przed czym wzdragała się bogobojna dusza.

Uczyni

to dla dobra swoich następców, dla dobra Czech.

- Ten człowiek, wasz... – Konrad zawiesił głos, nie bardzo wiedząc jakie najbezpieczniej wybrać słowa. – Wasz...

- Mój czarownik? – uśmiechnął się Podiebrad. – Mag, alchemik, czarnoksiężnik...

Nazywaj go jak chcesz. Mnie bez różnicy. Nie urażą takie słowa kogoś, kto postanowił

zdać

się na łaskę czarów.

- Ale... – Książę znów nie wiedział, jak wyrazić myśli, żeby nie dotknąć Jerzego. Dla husyty sama myśl o zabobonach, gusłach i czarach powinna być bezgranicznie wstrętna, najzupełniej obca, niedopuszczalna.

- Wiem, przyjacielu, co ci chodzi po głowie. Zastanawiasz się jak ktoś wyznający prawdziwą wiarę, walczący z przesadami pokutującymi w łonie Kościoła, może zechcieć korzystać z usług czarnych mocy. Nie zaprzeczaj, widzę to w twoich oczach. Jednak mam do

Stefana pełne zaufanie. Wiernie trwa przy mojej osobie od bardzo dawna. Pamiętam dzień,

kiedy go napotkałem na drodze, wynędzniałego, z hardym spojrzeniem, gotowego rzucić się do gardła każdemu papiście. To było równo dziesięć lat po bitwie pod Lipanami, a kiedy teraz

o tym myślę, zdaje mi się, że może nawet o tej samej godzinie, kiedy... – przygryzł wargę na niechciane wspomnienie.

Konrad nie dociekał. Doskonale zdawał sobie sprawę, co wtedy zaszło.

- Każdy z nas ma w duszy jakiś cień – powiedział miękko.

Podiebrad odetchnął głęboko. Nie czas wspominać przeszłość. Trzeba działać tak, jakby jej nie było, odegnąć precz powracające uparcie duchy!

- To jutro – rzekł, żeby nie ciągnąć bolesnego tematu.

- Ano jutro – podchwycił z ulgą Konrad. – Mam nadzieję, że wiecie, co się ma wydarzyć?

- Mam takie samo pojęcie, jak ty, mój drogi. Ufam w wiedzę i mądrość Stefana. To człowiek, któremu niestraszne ciemne moce. Gdy się rozstawaliśmy, rzekł, iż dobro może działać na różne sposoby, potrafi wykorzystać do swoich potrzeb nawet siły ciemności.

Konrad przymknął oczy. Podejmują ryzykowną grę. Oby było warto.

W aptece pachniało ziołami i mocnym alkoholem. Mistrz Albert warzył właśnie dekokt przeciw skrofułom dla brzeskiego księcia. Rajca Peter Hoeller z zaciśniętymi wargami

obserwował poczynania aptekarza. Opodal siedział tajemniczy przybysz, chuderlawy człowiek o niepokojących, przenikliwych oczach. Wielkie źrenice zdawały się pałać wewnętrznym ogniem. Ściągnięta wiecznie twarz przypominała pysk czujnego wilka.

- Kiedy wreszcie przeklętnik przyjdzie? – warknął rajca. – Powinien być już od godziny! Mamy czekać całą noc?

Mistrz Albert wzruszył ramionami, zajęty odczytywaniem z wielkiej księgi kolejnych punktów przepisu. Przyjdzie to przyjdzie, a nie to nie. Diabli z nim tańcowali.

Niczego nie pojmował z tego, co przedsięwzięli spiskujący patrycjusze. Może nawet nie tyle

brakowało mu rozumu i możliwości rozeznania spraw, co wołał też ich za bardzo nie zgłębiać. Nigdy nie wiadomo, czym się to skończy. W roku pańskim tysiąc czterysta osiemnastym, niecałe pół wieku temu, lud miasta wtargnął do ratusza, wyrzucając przez okno

jednych rajców, innym obcinając głowy. Co z tego, że parę lat później wszyscy sprawcy dostali się na szafot? Ojciec Alberta doskonale pamiętał grozę tamtych dni. Nie należy pchać

się między wojujących panów, bo to zawsze groźne dla zwykłych ludzi.

- Ten wasz człowiek – odezwał się, żeby coś powiedzieć – pewny jest? Z tego, com słyszał, wielki zeń swawolnik.

- Pewny? – Wzruszył ramionami Peter – a do kogo w dzisiejszych czasach można mieć zaufanie? Pan Niclas Dehr siedzi na książęcej łasce i niełasce. Tylko od Konrada Czarnego zależy, czy jego zamku na wodzie nie oblegną wojska. Wrocławianie już dawno

oferowali Oleśniczanom swoje drużyny, by ukrócić drapieżność raubrittera. Jenó zawsze jeśli

nie książę Czarny to jego brat, Konrad Biały, wybronią gwałtownika. Ale gadać mogę wiele,

choćby i do rana. A raubritterska dusza niepokorna jest i groźna. Zaś o duszy więcej chyba

może powiedzieć nasz drogi gość, prawda panie Stefanie?

Zagadnięty drgnął, wyrwany z zamyślenia.

- Pan Dehr – powiedział głosem nieoczekiwanie niskim jak na szczupłą postać –

narobi sobie poważnych kłopotów, nim tu dotrze. Już ich sobie narobił. Już go strażę miejskie ścigają za nowe przewiny.

Mówił po niemiecku biegle, chociaż zabawnie przeciągał i zmiękczał głoski. Od pierwszego słowa można było odgadnąć czeskie pochodzenie.

- Skąd wiecie? – Zaniepokoił się rajca. Poczł dreszcz przebiegający wzdłuż pleców.

Głos Czecha niósł coś więcej, niż zwykły nieś głosy innych ludzi. Jakby posiadał klucz do wielkich tajemnic.

- Trochę się wywiedziałem o tego człeka – odparł Stefan. – On po prostu inaczej nie umie. Całe życie spędził na krawędzi między szafotem a pomstą skrzywdzonych. Dlatego właśnie posadził kasztel na jeziorze, z dala od wielkich grodów. Wypelza stamtąd tylko na

rabunek, lubo wezwany, gdy otrzyma czasowe zawieszenie kar.

- Doprawdy potrzebne nam usługi takiego gardziny?

- Potrzebne, Mistrzu Albercie. Bowiem prócz okrutnej duszy ma on wielkie zdolności, bez których trudno byłoby nam się obyć.

Peter Hoeller zmiął w ustach przekleństwo. Mają za swoje i on, i Reinhard, i wszyscy patrycjusze, którzy postanowili usłużyć królowi Czech, dopomóc mu objąć rządy

nad stolicą Śląska. Jednak nie pora cofać się teraz, kiedy sen króla Jerzego może się ziścić, a

przy nim wszak także wierni sprzymierzeńcy dostąpią łask. Sam do końca nie rozumiał, co

ma się jutrzejszego dnia zdarzyć, na samą myśl chodził mróz po krzyżach, ale przyjaciel króla, Stefan, zdawał się być pewien swego. W dziwny, niepokojący sposób ten milczek potrafił budzić zaufanie. To było dziwne uczucie. Jakby obcować z kimś nie z tego świata,

wiedzącym więcej od innych, udającym tylko, że nie wie wszystkiego. Rajcy przychodziło do

głowy tylko jedno określenie – anioł. Tak... anioł, jednak czy aby nie upadły?

Rozmyślenia przerwały Peterowi odgłosy dobiegające z sieni.

- Prowadź mnie zaraz do panów! – zagrzmiął chrypliwy, niski głos, nie tak jednak głęboki jak u Stefana. – I zawrzyj drzwi, niecnoto! Połowa miejskich pachołków za mną lata!

Konia nawet musiałem zostawić na przepadłe!

- Mówiłem – odezwał się Stefan. – Pan Dehr nie potrafi przeżyć jednej doby, by nie zdrzeć z

prawem. Najważniejsze jednak, że już jest.

W progu izby stanął potężny mężczyzna. Uważnie przyjrzał się obecnym.

- Witam, wasze miłości – rzekł. – Nie uwierzycie, com przeżył.

W tej chwili rozległ się łomot do drzwi wejściowych, a zaraz potem głośne okrzyki.

- Uwierzymy bez trudu – rzekł kwaśno rajca Hoeller. – Spławcie ich, mistrzu Albercie – rzucił aptekarzowi. – A wy siadajcie, panie Dehr. Zanim wyjdą na was nowe ortyle, przynajmniej do pojutra możemy was ochronić.

- Do pojutra pono wystarczy – zaśmiał się głośno Niclas. – Byłem potem wrócił do mojej Jemielnej, nikt mnie nie zdoła ruszyć. Dajcie teraz wina, chleba i mięsiwa, byle dużo.

- Teraz – odezwał się Stefan – zjesz coś lekkiego, popijesz wodą i pójdziesz spać. Na jutro musisz być całkiem trzeźwy. Miałeś też stronić od dziewczek, a nie kierować pierwszych

kroków do burdelu! – widząc, że Dehr nie bardzo zwraca uwagę na jego słowa, podniósł głos.

– Nynie spożyjesz, co ci dadzą, a zaraz potem udasz się na spoczynek!

Niclas obrzucił chudego mężczyznę lekceważącym spojrzeniem.

- A tyś kto, żeby mi rozkazywać?

Stefan zamiast odpowiedzi wlepił w raubrittera wielkie oczy. Przez długą chwilę zmagali się wzrokiem. Zapadła cisza, w której słychać było dobiegający od wejściowych drzwi gniewny głos aptekarza, odprawiającego miejskie strażę, ciskającego gromy na niedowiarków, którzy mają czelność wątpić w jego uczciwość i podejrzewać o przechowywanie przestępców. Wreszcie Niclas drgnął, zatoczył się i usiadł na stołku pod ścianą, jakby pchnęła go tam niewidzialna siła.

- To ty – szepnął. – Już cię nienawidzę...

- I bardzo dobrze. Nie masz mnie darzyć miłością, ale słuchać! Gdy książę cię zwolni z danego słowa, pójdziesz w swoją stronę. Na razie jesteś w mojej mocy.

Rycerz nie odpowiedział. Czarne oczy zapłonęły okrutnym blaskiem. Niech cię Bóg chroni, Czechu przebrzydły, żebyś napotkał na swej drodze pana Niclasa, kiedy będzie po wszystkim. Zawieśniesz nogami w dół na gałęzi, a pan Dehr każe pachołkom przypiekać cię

ogniem i drzeć pasy. Długo... bardzo długo będziesz krzychał...

Mistrz Albert wrócił, czerwony jeszcze na twarzy i wyraźnie poruszony.

- Ten człowiek – wskazał znieruchomiącego Niclasa – tak jak rzekliście, panie Stefanie, już poswawolił co niemiara! Nie dość, iż wdarł się do przybytku rozkoszy przy ulicy

Oławskiej, nie dość że zakłócił spokój goszczącym tam mieszczanom, wybił zęby mateczce

Hedwidze, to jeszcze wyrzucił przez okno bratanka samego burmistrza!

- Moją dziewczką się kontentował, łyk obrzydły! – warknął Dehr. – Krocie zapłaciłem właścicielce, żeby mi różni Judyty nie paskudzili!

Rajca Peter kręcił z niedowierzaniem głową. I to ten człowiek ma być tak ważny dla powodzenia spraw?

- Teraz – powiedział rozkazującym tonem Stefan – pan Niclas uda się do wyznaczonej komnaty. Dajcie, mistrzu Albercie, naszemu przyjacielowi jakiego dekoktu na

twardy sen, żeby go nie nosiło po nocy.

- Z przyjemnością – mruknął aptekarz. – Zadam mu takiego ziele, żeby nie ruszył się do samego rana!

Dehr zmełł w ustach obraźliwe słowa. W obecnym położeniu nie mógł sobie pozwolić na nieposłuszeństwo. Inaczej cisnąłby im pod nogi złoto i poszedł precz.

Zawsze to

samo! Zawsze uczyni coś, co zamknie drogę wyjścia, pozbawi wolności wyboru! Teraz jest

na łasce ludzi niskiego urodzenia, którzy doskonale wiedzą, iż gdyby tylko samowolnie wychylił łeb za odrzwia apteki, natychmiast ucapią go zbrojni pachołkowie i zawloką przed

oblicze srogiego hutmana! Niechętnie wychylił kubek z parującym, gorzkim płynem.

Kanonik Michael Weinberg z zamkniętymi oczami przesuwiał między palcami paciorki różańca. Zdumiewająca jednak to była modlitwa. Łacińskie słowa płynęły nieprzerwanym strumieniem, dziwne jednak, niezrozumiałe i groźne, jakby pochodziły z innego świata. Siedzącemu z boku rajcy Reinhardowi kojarzyły się tylko z jednym –

potężnymi egzorcyzmami. Podobno w czasie wypowiedzenia ich formuł, przysłuchujących się ogarnia lęk, jak jego w tej chwili.

Na stole płonęła tylko jedna świeca. Za oknem zamarło życie, od czasu do czasu dobiegało jedynie nawoływanie nocnych wacht. Kanonik uchylił powieki, wyraz skupienia na

pobrużdżonej twarzy nie zmienił się. Przez kilka uderzeń serca obserwował okrągłe oblicze

rajcy.

- Idźcie spać, Reinhardzie – rzekł. – Widzę, żeście zmęczeni. Mnie i tak czeka bezsenna noc. Muszę się należycie przygotować do jutrzejszego nabożeństwa.

Rajca przeciągnął się. Rzeczywiście, czuł w kościach trudy ostatnich dni, pełnych bieganiny i ciągłych narad. W dodatku teraz, gdy kanonik wypowiedział ostatnie słowa, ogarnęła go wielka senność, jakby uświadomienie stanu znużenia przez kogoś drugiego powiększyło je niepomierne. Weinberg klasnął w dłonie. Drzwi uchylły się bezszelestnie,

weszła służka, młodzianka zakonnica o niewinnej, dziecięcej twarzy.

- Już czas – Kanonik wskazał Reinharda – zaprowadź naszego gościa do gościnnego pokoju. Nanieś mu tam gorącej wody, jedzenia i napitku. Dopilnuj, aby mu niczego nie zabrakło. Niczego! – powtórzył z naciskiem. – Czy to jasne?

Zakonnica bez słowa skłoniła się, stanęła przy drzwiach, czekając, aż rajca wstanie.

Ten podniósł się ciężko, ponaglony niecierpliwym gestem duchownego.

- Macie mniszki do osobistych posług? To chyba rzadko spotykane... Ale rozumiem.

Łaska biskupa.

- Nie gadajcie byle czego – parsknął kanonik. – Pełni obowiązki zwykłej służby!

Idźcie już, nie mam czasu ni chęci wysłuchiwać waszych złościwości.

Rajca machnął ręką, kierując się w stronę wyjścia. Zakonnica poprowadziła go ciemnym korytarzem w głąb rezydencji.

Weinberg uśmiechnął się krzywo. Miłych snów, panie Gensch. I zapamiętajcie, co się wam przyśni na nowym miejscu. A przede wszystkim wbijcie sobie w pamięć to, co się

wcale nie przyśniło.

Począł aż ucichną odgłosy kroków. Narzucił płaszcz, bezszelestnie otworzył drzwi i zbiegł na dół. Noc końca lata niosła już zapowiedź nadchodzących chłodów. Zza załomu muru wyłoniła się zakapturzona postać.

- Jesteś – szepnął kanonik. – Chodźmy zatem do Świętego Marcina. Czas odprawić mszę.

Młody ksiądz skinął głową. Święty mąż z tego kanonika. Nie dość mu codziennych nabożeństw, modlitw i brewiarza, zapragnął jeszcze przywitać jesienne przesilenie mszą o północy.

Zgiełk bitwy niósł się po polu. Szczęk oręża i krzyki ludzi wypełniały powietrze tak intensywnie, że zdawały się równie namacalne, jak ziemia czy stratowana trawa dookoła.

Z

lewej strony nadciąga silny oddział piechoty taborytów. Trzeba stawić im czoło.

Pułkownicy

każą wnieść sztandary, chorągwie gotują się do uderzenia. Ciężka będzie sprawa z zakutymi w żelazo wojownikami, co z niejednego już pieca chleb jedli! Jeszcze nie tak dawno rozmawiali i pertraktowali, a dzisiaj przyszło rozstrzygnąć rzecz na polu walki.

Piechocińcy

maszerują z pochylonymi pikami, palą z arkebuzów, wrzeszczą co sił w płucach, wzywając

Boga i przeklinając przeciwnika. Ruszyła jazda, by zmieść zagrożenie. Jeszcze chwila, jeszcze kilka uderzeń serca, a zetrą się w śmiertelnym tańcu.

Jerzy przymknął oczy, kiedy czoło kawalerii uderzyło w ścianę piechoty. Taboryci ugięli się, przystanęli, jednak szyki nie pękły. Zakwiczały ranione, przerażone konie, zadzwoniły mordercze klingi, rozległ się trzask łamanych drzewców kopii kawalerzystów i

pik pieszego wojska. Bitwa zaczynała się przechylać na stronę wojsk taboryckich. Wbrew przewidywaniom, nie dali się zaskoczyć koalicji katolików z utrakwistami. Jerzy poczuł

dławiającą kulę podchodzącą do gardła, łyż żalu i upokorzenia cisnęły się do oczu. Husyci walczą z drugimi husytami, ku radości wrogów... Dlaczego? Wszak czynią to na chwałę tego

samego Boga, z imieniem tego samego Jana Husa na ustach...

Zmagają się na polu, skłębieni niczym wściekłe psy gryzące się o ostatnią kość, trudno którejs z stron zyskać przewagę... Lecz cóż to? Tabor się otwierają, a ze środka wypływa fala jazdy. Błąd, błąd! Dokonali wypadu w złym momencie, nie wiedząc, że katolicy zastawili zasadzkę. Gotowe do czynu oddziały natychmiast skorzystają z okazji, żeby

wtargnąć do obozu. Fatalna pomyłka taborytów. Gdyby nie to...

Gdyby nie to...

Nie to i...

... i przede wszystkim...

ZDRADA!

Błysk i przebudzenie w ciemnościach.

Król Jerzy usiadł na łożu, mokry od potu. Bitwa pod Lipanami rozegrała się tyle lat temu, a on wciąż po nocach przeżywa ją od początku... przesuwiają się przed oczami obrazy

straszliwej, bezlitosnej rzezi, którą spadkobiercy Husa zgotowali sobie nawzajem. Opadł na

poduszki, zmęczony koszmarem. Starał się zasnąć, ale tej nocy nie pomagały nawet modlitwy.

Młodziutki ksiądz wznosił kielich, z wielką wewnętrzną radością wypowiadając słowa Zbawiciela. Cudowne uczucie, dla którego warto znosić wyrzeczenia, jakie są udziałem

kapłana. W chwili, gdy skłaniał się wewnętrznie, świątynię niespodziewanie wypełniły głośno wypowiedziane słowa:

- Exsurgent mortui, et ac me veniunt.

Ksiądz zmartwiał. Kto to powiedział? Kto ośmielił się przerwać akt przemienienia przekłętą formułą? Przecież w kaplicy powinien przebywać tylko kanonik... celebrant odwrócił się od ołtarza, szukając bezczelnego intruza. Jednak przecież nikogo więcej być nie

mogło! W mdłym świetle świec ujrzał nieoczekiwanie bliski, złośliwy uśmiech Weinberga.

Stał dwa kroki przed nim, jego oczy jarzyły się dziwnym, zimnym światłem.

- Dzięki, młody przyjacielu, przysłużyłeś mi się dzisiaj wielce. Żegnaj albo do zobaczenia, to już jak zechce los, Bóg albo szatan.

Znieruchomiały ksiądz odprowadzał wzrokiem przełożonego. Skrzypnęły drzwi.

Został sam, przerażony, z nagłą pustką i rozpaczą w sercu. Padł na twarz, drapiąc w rozpacz

kamienną podłogę, łamiąc paznokcie, ciągnąc krwawe smugi ze startych opuszków. Nie czuł

bólu, w głowie kołatała się tylko jedna myśl. Świętokradztwo... okrutne, straszliwe świętokradztwo, do którego przyłożył rękę... nieważne czy świadomie to uczynił, czy nie!

Co

teraz? Jak dalej żyć? Czy dobry Bóg wybaczy, jeśli do tej zbrodni doda następną?

Tymczasem kanonik szybkim krokiem zmierzał na malutki cmentarz, na którym chowano zmarłych duchownych i zasłużonych dla diecezji świeckich.

- O Panie mój – zawołał na cały głos – przybądź i natchnij mnie swym nieśmiertelnym duchem! –

Zamilkł na chwilę, a potem dodał – Jeżeli ten, na którym mi zależy, znajduje się w waszej mocy, zaklinam imieniem władcy świata, by mi się ukazał

na

każde żądanie! – Podjął garść ziemi, rozrzucił ją tak, jak chłop rozrzuca ziarna na polu. –

Niech ten, kto jest jedynie prochem, zbudzi się z grobu, wyjdzie z popiołów i niech odpowie

na zarzuty, jakie mu postawię, w imię Ojca wszystkich ludzi!

Przyklęknął na jedno kolano, wydobył z zanadru dwie kości i ułożył je w znak krzyża. Długo klęczał, wpatrując się w symbol.

- Martwe w martwym – zamruczał. – Gdy rzucę was na pierwszą napotkaną świątynię, ześlijcie na mnie wiekuiłą mądrość. A z pierwszym blaskiem słońca nastanie czas

cudów.

Padł na twarz, lekko uderzał czołem w ziemię. Mamrotał pod nosem formuły w chrapliwie brzmiącym, twardym języku.

Wracał wolnym krokiem, dzierżąc piszczele w prawicy. Cisnął je na dach katedry i nie oglądając się poszedł dalej. Ile czasu spędził na cmentarzu? Sporo. Patrzeć tylko, a noc

zacznie ustępować przedrannej szarudze. W oknach starego kościółka pod wezwaniem świętego Marcina, w którym odbyła się msza, tliło się niewyraźne światełko z dogorywającej

gromnicy. Przed samym wejściem zamajaczyła niesłychanie wysoka postać. Kiwała się na

boki, jakby chciała przywabić nocnego wędrowca. Kanonikowi uczyniło się gorąco.

- Jeszcze cię nie wzywałem – wymamrotał. – Czego chcesz?

Postać uparcie przywoływała go w zupełnej ciszy. Z wahaniem, czując na całej skórze mrowienie przerażenia, podążył w jej kierunku. Zbyt był doświadczony i obyty, żeby

liczyć na ręce nogi w spotkaniu z wysłannikiem sił, do których niedawno się zwracał.

Przed

zjawami z tamtego świata nie sposób uciec... Podchodził powoli, ostrożnie, gotów w każdej

chwili wyszarpnąć zatknięty za pasem krzyż i zedrzeć wiszący na rzemieniu pod odzieniem

pentagram, aby dać odpór duchowi. Dzieliło go od wysokiej postaci jedynie kilka kroków. Za

wszelką cenę starał się odgadnąć upiorną twarz, wyczytać z niej zamiary...

Przesunął się jeszcze trochę i nagle roześmiał z ulgą.

- Aleś mnie, bracie, nastraszył! – powiedział cicho. Podszedł blisko, pchnął tajemniczą postać. Zakołysała się mocniej. – Mało mi serce nie wyskoczyło z piersi!

Swoją

drogą, miękki był z ciebie człek, niezdatny do poważnych spraw. Chciałem ci wynagrodzić, coś musiał dziś przeżyć, ale skoro wzięłeś sprawy w swoje ręce i uczyniłeś, co uczyniłeś, oszczędziłeś mi czasu i fadygi.

Odwrócił się obojętnie wzruszając ramionami, poszedł do swoich kwater. Za plecami zostawił młodego księdza, wiszącego na stule. Nieszczęśnik zaczepił ją o hak zgasłej latarki nad drzwiami kościoła. Długi płaszcz spadł z ramion, zwisał na sznurkach kapturem

do dołu, sprawiając wrażenie, jakby stanowił przedłużenie nóg kogoś niesłychanie wysokiego.

Młody pomocnik mistrza Alberta wpadł zdyszany do apteki, nim jeszcze słońce dobrze wzbiło się nad horyzont.

- Na Młyńskiej musieli zaniechać pracy! – wypalił od progu, nie bacząc, iż pryncypał

oczy ma jeszcze zasnute przerwany marzeniem sennym. – Oba młyny stanęły, i

„Maria”, i

„Boże Ciało”! Rzeka przy nich zabarwiła się na czerwono, jakby w niej krew, nie woda płynęła, a mąka z żaren wypada brązowa albo i czarna, pozlepiania w obrzydliwe, pokryte flegmą grudy! Ponoć to znak gniewu Bożego! W kościołach modły od samego świtu. Są tacy,

co powiadają, iż to kara za krnąbrność naszych rajców względem króla Jerzego.

Mistrz Albert poderwał się natychmiast, pobiegł na tyły domu, budzić Stefana.

- Zaczęło się – powiedział spokojnie Czech, wysłuchawszy nowin. – Nasi sprzymierzeńcy działają jak należy. To nie koniec cudów na dzisiaj. Więcej powiem.

Początek zaledwie. Potrzebuję inkaustu i pióra, przyjacielu.

Aptekarz z kwaśną miną poszedł do pracowni po sprzęty. Brzeski książę będzie musiał poczekać dzień lub dwa na leki. A to z pewnością odbije się na zapłacie.

- Wynagrodzę ci wszelkie straty – rzekł Stefan. – Nie bądź krzyw. A jeśli wszystko się powiezie,

twoje dochody zwiększą się niepomiaralnie. Król nie zwykł zapominać ni zasług, ni krzywd.

- Ni krzywd – powtórzył do siebie, kiedy Albert wyszedł. W niskim głosie zazgrzytały groźne tony. – Nie on jeden zresztą...

Rajca Reinhard ocknął się dręczony potwornym bólem głowy. Jęknął przeciągle, przewracając się na plecy. Zatrzymał się w pół ruchu, na moment zapominając o cierpieniu,

gdyż trafił niespodziewanie na miękki opór. Niewątpliwie ludzkie ciało. Nie jest sam?

Kto

może obok niego spoczywać w łóżu należącym do samego kanonika? Przez głowę przeleciała

nagła myśl, ale zaraz ją odpędził. Różnie powiadają o prowadzeniu się i upodobaniach jego

wielebności, ale przecie nie trzyma prostytutek w kwaterze pod bokiem biskupa!

Ostrożnie odwrócił głowę. Kątem oka dostrzegł gładki różowy policzek i drobny nosek. Szturchnął energicznie nieproszonego gościa.

- A ty co tu robisz?

- Nie pamiętacie, panie? – spytał natychmiast melodyjny głos.

- Nic a nic...

- Napiliście się wina i nabraliście ochoty na...

No dobrze. Coś zaczęło świtać w skołatanej głowie. Możliwe, iż po napitku wzięła go chuć. Jeno jak zdołał ją zaspokoić w domu duchownego? Przecież musieliby mu sprowadzić dziewczkę z miasta! Nagle dostrzegł przy łóżku kłęb odzienia. Jego barwne szaty

i... obok nich leży coś ciemnego... czy to nie...

- Habit – szepnął, czując jak włosy podnoszą się na głowie. – Jak to?

- Jego przewielebność nakazał spełniać wszystkie wasze życzenia.

Czy coś było w tym trunku, że pamiętał wydarzenia jak przez mgłę? Wracały jednak, chociaż bardzo powoli. Przebijały się przez umysł zasnuty oparami bólu i wina. Poruszył

się

niespokojnie. Objęło go szczupłe, gorące ramię. Zrzucił je z odrazą. Mieć stosunek z mniszką! Może niektórzy to lubią, ba – są tacy, co chwalą się podobnymi wyczynami, ale przecie w nim zakonnice

nigdy nie wzbudzały żądz. Przynajmniej do wczoraj.

- Ubieraj się i odejź!

Nie patrzył na zbierającą się dziewczynę. Raz tylko obrzucił ją wzrokiem, kiedy wpełzała w habit. To przelotne spojrzenie wystarczyło, aby poderwał się z łoża, nie bacząc na

ciążącą głowę. Ile lat może liczyć to dziecko? Przecież nie ma jeszcze nawet piersi!

Wiedziony strasliwym podejrzeniem podskoczył, zerwał materiał, nie zważając na protesty.

A potem patrzył długo na nagość młodego ciała. Wreszcie puścił habit, cofnął się chwiejnie,

usiadł na łożu. Ukrył twarz w dłoniach.

- Wynoś się – powiedział bezradnie. – Nic nie zmaże mojego grzechu.

Niclas Dehr ocknął się rześki, z niespodziewanie jasnym umysłem. Skrzywił się na myśl, jakich usług dzisiaj od niego zażądata. Pewnie jutro, jak zwykle przy takich okazjach

nie będzie niczego pamiętał, ale zbudzi się śmiertelnie zmęczony, żeby kilka dni dochodzić

do siebie. Jednak po raz pierwszy ma się przysłużyć komuś więcej niż księciu czy poleconemu przez Konrada dostojnikowi. Rzecz jasna, nie wyjawili mu, o co będzie chodziło,

ale sprawa wyglądała na poważniejszą niż zazwyczaj. Tęsknie pomyślał o swoim zamczku,

otoczonym ze wszystkich stron wodą, o towarzyszach, z którymi zwykł zasadzać się na kupców, a po rabunku upijać do nieprzytomności. Nawet ospowata, pokryta szerokimi bliznami twarz starego mordercy Johena wydała się w tej chwili miła w porównaniu z surowym Stefanem. Wstrząsnął się na myśl, że ten człowiek ma go dzisiaj poprowadzić w miejsce, do którego być może jeszcze nie dotarł podczas tajemnych wędrówek. Ale też nie

miał dotąd podobnego przewodnika. Na dworze Konrada książęcy alchemik bardziej był

oszustem niż uczonym, choć niewątpliwie posiadał pewne umiejętności.

Skrzypnęły deski podłogi pod drzwiami, zazgrzytał klucz. Rycerz zaklął pod nosem.

Nie wystarczyło, by aptekarz podał mu dekokt na sen, musieli go jeszcze na dobitkę potraktować niczym zwykłego więźnia! Opadł na poduszkę, zamknął oczy.

- Witaj, panie Dehr – rozległ się głęboki głos Stefana. – Nie udawaj, wiem, żeś już się przebudził.

- Czego chcesz? – warknął wściekle Niclas. – Wynoś się, chcę zostać sam.

- Bardzo jesteś nieuprzejmy – odparł bez złości Czech. – A ja przyniosłem jadło i napitek, byś się wzmocnił.

Rzeczywiście, po izbie rozszedł się zapach pieczystego. Ślina napłynęła rycerzowi do ust. Jednak zamiast wstać, odwrócił się twarzą do ściany.

- Zachowujesz się niby zagniewany chłopczyk albo dziewczka, co przed godziną zbyła cnoty za sprawą kompanii wojaków. Wstawaj! Nie czas na gniewy! Musisz solidnie zapracować na łaskę księcia i kogoś więcej! Samego króla, człowieku! Nie patrz na mnie jak

na szaleńca. Dziś zasłużysz się samemu królowi! Jutro będziesz wolny i zrobisz ze sobą, co zechcesz. Ale od tej chwili musisz słuchać mnie i tylko mnie.

Książę Konrad prędkim ruchem wychylił kubek gorzałki. Miał we zwyczaju każdy poranek rozpoczynać tą ukradkową czynnością. Bez niej cały dzień chodził rozbity, nie mógł

skupić myśli. Począł, aż gorąco spłynęło do żołądka, westchnął głęboko, a potem opuścił

ciasny, brudny pokój i zszedł na dół. W pustej karczmie córka gospodarza warzyła śniadanie.

Konrad zasiadł za stołem, czekając na polewkę. Obserwował krzątanicę dziewczyny.

Miała

szerokie biodra i olbrzymie piersi, wylewające się z ciasno zawiązanego stanika. Byłaby nawet warta zainteresowania, ale z oblicza zbytnio przypominała ojca. Po chwili dołączyła do

niej matka, kobieta drobna, wręcz chuda, o podkrążonych z niewyspania oczach. Chciwy karczmarz zmuszał ją nocami do obsługi gości zainteresowanych łóżkowymi rozrywkami. Wczoraj próbował naraić żonę wpierw Konradowi, a potem Jerzemu. Na koniec

posłał ją jakimś łazędze na tyle podpitemu, by wysupłać ostatni srebrny denar, zapewne łup z kradzieży albo rozboju.

- Słyszałaś, co się dzieje na mieście? – spytała dziewczyna.

- Nic nie słyszałam – odparła znużonym głosem karczmarzowa. – Kiedy niby?

- Na targu aż huczy od wieści! Wszystkie młyny w mieście stanęły. Przekleństwo jakieś na nie spadło. Ale to nie wszystko. Ponoć w południe słońce ma przystroić się w czarną

szatę – matka przeżegnała się, mamrocząc krótką modlitwę przeciw urokom, a córka paplała

dalej. – W zamku nocą wszystkie okna zaświeciły sinym blaskiem, a nad katedrą niedługo po północy wzbila się blada luna! Zaś rano znaleziono powieszzonego księdza. Możliwe, że sam Zły przywiódł go do samobijstwa.

- Daj spokój – szepnęła karczmarzowa. – Strach słuchać!

- A bo wreszcie panowie rajcy daliby wsparcie królowi, miast go ustawicznie zdradzać i spiskować. Tak wołał pewien mnich, a ludzie pilnie słuchali.

Konrad uśmiechnął się w duchu. To się nazywa skuteczne działanie. Nie minie dzień, a lud stolicy Śląska pójdzie pod Ratusz upominać się o prawa należne Jerzemu. Zaś jutro... rozmarzył się. Od lat wraz z bratem sprzyjają Podiebradowi, obstają za nim, nie zważając na przeciwności losu i knowania wrogów. Od początku wojen husyckich książęca

Oleśnica dwa razy płonęła. Wreszcie nadchodzi czas, gdy prócz strat, można zacząć liczyć korzyści.

- A cichaj już – fuknęła starsza kobieta. – Nie powtarzaj wszystkiego, co usłyszysz!

- Ale – zaprotestowała córka – ten zakonnik miał takie jasne, szczere oczy. Znać było, że Duch Święty wychodzi przez jego usta.

Burmistrz przechadzał się po sali posiedzeń rady. Byli z nim jedynie kupiec Franz Wahlberg i kancelista. Rajcy, którzy mieli stawić się na nadzwyczajne posiedzenie, zawiedli.

Padł na nich blady strach. Tym bardziej, że w południe, jak to zapowiadali liczni kaznodzieje wyrosli nagle jak spod ziemi, słońce rzeczywiście pociemniało, jasny blask stał się dziwnie przydymiony. Oczywiście zjawisko było jak najbardziej wytłumaczalne, a stryj burmistrza, który zajmował się obserwacją gwiazd, przewidział je już dawno. Jednak prostym umysłem wystarczało, żeby rozpoczęło się wrzenie.

Co robić? Jak zapobiec nieszczęściu? Nawet przez mgnienie oka, jeszcze do dzisiejszego ranka, nie zdawał sobie sprawy z nadchodzącego niebezpieczeństwa. Widać zwolennicy przebrzydłego husyty, utrakwisty z Podiebradów są silniejsi i sprytniejsi niż można było przypuszczać.

- Posłaniec do was, panie – wartownik wsunął się do połowy przez uchylone drzwi.

Jeszcze wczoraj nie odważyłby się okazać takiego lekceważenia! Stałaby w progu wyprostowany, z

oczami wlepionymi nad głową ojca miasta, a nie wtykał jeno pryszczatą gębę, jakby oznajmiał swojej babie, że idzie z kamratami do winiarni.

- Dawaj go tu!

Do sali wszedł niepewnie młodziutki chłopiec, rozglądając się ciekawie.

- Ktoś ty? – Zmarszczył brwi burmistrz.

- Pomocnik mistrza Alberta, aptekarza. Mam dla was pismo, panie.

Burmistrz bez słowa wyciągnął rękę. Szybko przebiegł wzrokiem rzędy liter. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie i osłupienie. Przeczytał list jeszcze raz, i jeszcze...

- Wiesz, co tu napisano? – spytał chłopca.

- Nie, szlachetny panie. Czytać nawet nie umiem.

Szlachetny panie, też coś! Patrycjusz o mało parsknął śmiechem. Głupi chłopak, nawet nie wie, jak zwracać się do człowieka pochodzącego z kupieckiego rodu. Jeszcze raz

odczytał ważniejsze ustępy z pisma.

- Co tam stoi? – spytał wreszcie Franz Wahlberg. – Bardzoście się zalterowali.

Burmistrz zacisnął wargi w wąską kreskę, zmiął papier w pięści.

- Jeśli to prawda, mamy straszliwe kłopoty. Jeśli zaś leż, mamy bodaj nie mniejsze!

Jedno przynajmniej pewne – musimy zacząć działać, bardziej czy mniej na ślepo, ale nie ma co czekać, jeśli chcemy uratować nie tylko władzę, majątki i wpływy, ale przede wszystkim życie!

Spojrzał uważnie na posłańca, z obojętną miną przysłuchującego się rozmowie.

- Straż! – wrzasnął nagle. – Wsadzić otroka do wieży i pilnować jak oka w głowie!

Diabli wiedzą, co za jeden, nie możemy sobie pozwolić na lekceważenie najdrobniejszej sprawy.

- Jak mogłeś to uczynić, wasza przewielebność? – Reinhard Gensch stał wzburzony przed kanonikiem. Ten ze znudzoną miną obserwował muchę rozbijającą się o szklane gomółki w oknie. – Jak mogłeś zrobić coś podobnego?

- Nie smakował wam Rupert? – Weinberg oderwał wzrok od zrozpaczonego owada, zimne oczy

zdawały się przenikać rajcę na wskroś. – Z jego opowieści wywnioskowałem, jakby było wręcz przeciwnie. Wykazaliście się podobnie niespotykaną jurnością.

Wymęczyliście chłopaka jak się patrzy.

- Czego mi zadałeś, klecho, zem postradał rozum? Nigdy nie ciekiał za chłopakami, bez jakowejś trutki nigdy bym się nie połakomił na pacholika.

- Jak każdy gozdzien szacunku obywatel – odparł drwiąco duchowny – jesteś przekonany o swych upodobaniach w tym względzie. Tymczasem w każdym z nas czai się

bestia, gotowa w chwili słabości wyleźć na wierzch. Choćbym nie wiem czego kazał

dodać

do wina, nie rzuciłbyś się w wir rozkoszy z chłopcem, gdybyś skrycie od dawna tego nie pragnął.

Rajca spuścił głowę. W miarę upływu czasu przypominał sobie coraz więcej szczegółów nocnych zajęć. Najgorsze zaś w tym wszystkim, iż samo wspomnienie obcowania

z rzekomą zakonnica nie było wcale tak przykre, jak mu się zdawało o poranku.

- Jednak nie rozumiem... – urwał, nie wiedząc, jak dokończyć myśl.

- Dlaczego obudziłem w was niezdrową chuć? – pomógł kanonik. – To proste, panie Gensch. Wczoraj ogarnął was lęk przed spełnieniem zobowiązań danych mnie i królowi.

Nie

mogłem wam pozwolić zniszczyć dzieła nieopatrzonym słowem czy choćby tylko nagłym odejściem. Trzeba was było przytrzymać. A nic tak mocno nie wiąże ludzi, jak wspólny grzech. Ja popełniłem swoją część podsuwając Ruperta i miłosne wywary w winie, wy swoją,

korzystając z mojego daru. Nie czujecie, żeśmy prawie jedno? Nie wydaje wam się cała nasza

awantura czymś o wiele prostszym niż jeszcze wczorajszego wieczora? Czym jest bowiem

spisek w porównaniu z odkryciem nowej komnaty w duszy? A może nawet nie komnaty jeszcze, ale prowadzącego do niej mrocznego korytarza...

Reinhard wstrząsnął się, czując dreszcz przerażenia. Jednak w tej samej chwili zdał

sobie sprawę, że kanonik może mieć słusność... nawet na pewno ją ma.

Król Jerzy wstał z klęczek. Kiedy wreszcie nad ranem zdołał zamknąć oczy, spał

twardo i długo. Tak długo, że przespał Anioł Pański. Zmówił więc zaległe modlitwy, zapragnął nagle

wypowiadać się. Dobrze byłoby zrzucić ciężar zalegający w sercu.

Jednak

wiedział, iż żadna spowiedź tutaj nie pomoże. Nie da się zmasać czegoś, co ma dopiero powstać. Zamiar to tak mało i tak wiele jednocześnie.

Pukanie do drzwi. To mógł być tylko jeden człowiek.

- Wypaliście się, najjaśniejszy panie?

- Nawet za bardzo, Konradzie.

- To dobrze. Czeka nas pracowita noc. Przed chwilą otrzymałem wieść, że wszystko gotowe. Świątynia za miastem już czeka.

- To dobrze... – Jerzy zamyślił się. – Chociaż – dodał po chwili – nie wiem, czy dobrze. Straciłem rozeznanie, co jest białe, a co czarne, słusznie czynimy, zali nie...

- Szare jest wszystko, panie. Ale wy chcecie w tej szarości odnaleźć barwy życia. Jak dawniej, gdy byliście młodzieńcem. Nie wyrosliście z tego do dzisiaj, choć widać wam siwe

nitki we włosach.

- Z tego się nie wyrasta. Ale i nie jestem tym samym człowiekiem, którym byłem gdyśmy się poznali. Wtedy za żadne skarby nie ważyłbym się na to, co dziś.

- Musicie zaufać Stefanowi, jeśli nasze zamierzenia mają się powieść.

- Muszę i ufam mu bez granic. Ale to nie umniejsza wątpliwości.

Burmistrz zlustrował uważnie rosłą postać hutmana.

- Słuchajcie, imię Jurgenie – odezwał się w końcu. – Postawiliśmy w gotowość miejskie oddziały, które niniejszym oddaję wam pod rozkazy. To dobrzy, doświadczeni żołnierze. Wiecie, boście sami tam służyli.

- Ano służyłem, Herr Bürgermeister!

- Podzielicie siły według swojego uznania i rozeznania. Zabezpieczycie rogatki, wzmocnicie patrole straży. Ja się wtrącać nie będę, bo gdy ruchawka wisi w powietrzu, dowodzić musi jeden według własnego widzimisię. Zrobicie dla mnie jeszcze pewną rzecz: z

najlepszych ludzi dobierzecie setkę takich, co gotowi są na śmierć w każdej chwili i zostawicie ich do mojej osobistej dyspozycji.

- Na co wam to, panie? – zdumiał się hutman. – Was lepiej wyekspediujęm ciupasem z miasta pod dobrą strażą, by się cennej osobie jaka krzywda nie stała. Jeno do tego wystarczy

przydać ze dwóch dziesiętników z wybranymi ludźmi. Cała rota zbytnio rzuca się w oczy.

- Nigdzie się nie wybieram – odparł zimno burmistrz. – Zrobicie jak kazałem, a owych żołnierzy przyślecie do Ratusza. Mają przybywać małymi grupami, by nie zwracać niepotrzebnie uwagi. Koniec! – uciał, widząc, iż hutman zbiera się coś powiedzieć. – Tak będzie, jak każe.

Stary żołnierz wzruszył ramionami. Ciekawe, po co komuś, kto nie ma pojęcia o wojaczce, doborowy oddział, na dobitkę zamknięty w Ratuszu. Ale skoro tak bardzo chce,

niech mu będzie. Są pilniejsze rzeczy, jak choćby ostatni tumult przy Piaskowej. Rybacy ze

Szczapin, podburzeni przez tajemniczych przybyszów, wylegli ze wsi, wznosząc okrzyki na

cześć Jerzego z Podiebradów. Ubrojeni w sieci, haki kotwiczne, różne żelastwo i długie wiosła, zmierzali w stronę Rynku. Tylko przytomność umysłu, mowność i umiejętność perswazji tamtejszego dowódcy straży zapobiegła rozlewowi krwi. Rybacy, szemrząc, powrócili do domów, jednak w każdej chwili można się spodziewać kolejnych niespodzianek

w różnych punktach miasta. A pan burmistrz najwyraźniej ma chęć bawić się w przygotowania do oblężenia Ratusza... Gdyby do tego przyszło, ciekawe, co da jeść i pić wojsku. Jednak władza jest władzą. Trudno dyskutować z upartym przełożonym.

Zmierzch zapadał niechętnie, powoli. Słońce nie chciało się schować za horyzont, jakby wiedziało, że tylko jego promienie powstrzymują to, co ma się wydarzyć tej nocy.

Rajca Hoeller na końskim grzbiecie czuł się nieswojo. Rzadko i niechętnie zażywał

siodła. Wolał jednak taką niewygodną jazdę, niż iść kawał drogi na własnych nogach.

Zresztą

wskazany był pośpiech. Minął porzuconą, opustoszałą osadę tkaczy walońskich, po której pozostała nazwa inter Gallicos. Kościółek pod wezwaniem świętego Łazarza leżał jeszcze dalej. To tam mają przytułek trędowaci. Nieprzypadkowo kanonik Weinberg wybrał takie miejsce. Po pierwsze dość daleko od miasta, po drugie obecność leprozorium powinna ostudzić niewczesną ciekawość różnych wścibskich a niepowołanych ludzi. Stefan z Niclasem udali się tam już po obiedzie. Pan Dehr był dziwnie spokojny... Czech spędził z nim

prawie cały dzień, pojąc różnymi wywarami i przemawiając cichym głosem.

Peter dojechał wreszcie pod świątynię. Zarzucił lejce na poprzeczkę koniowiązu, ostrożnie, nie chcąc zakłócać ciszy i nastroju skupienia, wśliznął się do środka. Pierwsze, co

uderzyło go wewnątrz, to okropny, mdlący zaduch. Tylko jedno może wydawać taki fetor

rozkładające się ludzkie zwłoki. Stefan uprzedzał, że do obrzędów potrzebny jest nieboszczyk, ale nie wspomniał, iż będzie to napuchnięty, pokryty już plamami trup. W

dotatku leżał pośrodku, przed ołtarzem, zwrócony głową w stronę wejścia. U jego stóp zapalono dwie wysokie, grube świece. Chybotliwy blask płomyków kładł się cieniami na granatowosinej twarzy. Dwie następne gromnice płonęły przed tabernakulum i jeszcze dwie

przy skrzydłach ołtarza. To było jedyne oświetlenie. Okropność! Rajca wzdrygnął się.

Półmrok i okropny smród. Coś podobnego przecież nie ma prawa zdarzyć się w świątyni, ostoi duchowej. Peter poczuł narastający niepokój.

- Nie tak – szepnął do siebie. – Wszystko jest nie tak, jak być powinno w kościele.

I zapewne o to chodziło. Doskonale zdawał sobie sprawę, że dzisiejszej nocy tak właśnie ma tutaj wyglądać, ale umysł protestował przeciwko pogwałceniu ustalonego przez

wieki porządku.

- Dobrze, że już jesteś – ktoś dotknął jego ramienia. Obejrzał się. Reinhard wyglądał

na zmęczonego i dziwnie zrezygnowanego. – Zaraz się zaczniesz. Co w mieście?

- Wrzenie nieco przycichło, bo strażę gęsto chadzają, a i nasi kaznodzieje wsiąkli w różne zakamarki. Od rana pewnie znowu zaczną...

- Silentium! – zawołał od ołtarza kanonik. Stał sztywno wyprostowany, z rękami wzniesionymi jak do błogosławieństwa. – Silentium! Pokłon dla naszego protektora i dobroczyńcy, króla Jerzego! – skłonił się w kierunku klęcznika po prawej stronie podwyższenia, na którym spoczywał trup. – Pozdrowienie dla jego wiernego sługi i przyjaciela, księcia Konrada oleśnickiego – tym razem skłonił się ku klęcznikowi po lewej.

Klasnął w dłonie. Dwaj zakapturzeni klerycy wnieśli naczynie wypełnione węglem drzewnym oraz trzy amfory. Ustawili wszystko przed ołtarzem. Weinberg odsunął się na bok,

przepuszczając Stefana. Wbrew oczekiwaniom Hoellera, Czech nie był odziany na czarno, jak

wszyscy. Wręcz przeciwnie. Śnieżnobiała szata zdawała się rozświetlać ponury mrok.

Twarz

Stefana, zastygła w wyrazie skupienia, zdawała się nienaturalnie ciemna w zestawieniu z jasnym odzieniem.

- Podejdz – odezwał się niskim, wibrującym głosem.

Peter wstał, przekonany, że rozkaz jego dotyczy. Zaraz jednak usiadł, pociągnięty przez Reinherda.

- On jest niesamowity – wionął szept. – Ileż ma w sobie mocy! Ja też mało nie rzuciłem się wnosić tego śmierdzącego ścierwa, kiedy polecił to uczynić klerykom! Siedz

i

patrz, bo, jak mi Bóg miły, będzie na co.

Tymczasem pojawił się ten, do którego Czech kierował słowa. Wyszedł sztywnym krokiem zza ołtarza. Poruszał się podobnie jak drewniana kukielka, którą pewien włoski kupiec sprzedał niegdyś Hoellerowi. O ile jednak ruchy zabawki mogły się wydać co najwyżej śmieszne, o tyle kanciaste, zamaszyste kroki w wykonaniu dorosłego człowieka mogły przyprawić o paroksyzm strachu. Na dodatek ten potworny smród... coraz dotkliwszy,

pobudzony ciepłem z węglowej kadzi.

- Niclasie – Stefan wbił wzrok w przybyłego – weźmij dary i zmieszaj je w ogniu.

Dehr natychmiast podszedł do naczyń. Zaczepnął złożonymi w kubek dłońmi z pierwszej amfory. W zupełnej ciszy zaszumiał płyn. Raubriter wlał go do żaru. Buchnął

płomień. Niclas zanurzył rękę w drugiej amforze, wsypał w ogień wonny susz, następnie dodał garść z trzeciego naczynia. Do trupiego zaduchu dołączy się zapach okowity, kadzidła i

szaławii.

Petera ogarnęła fala mdłości. Pewnie by zwymiotował, ale w ferworze ostatnich wydarzeń zapomniał o jedzeniu i dopiero doń dotarło, iż od wczorajszej wieczery nie miał

nic w ustach.

- Drodzy przyjaciele – kanonik stanął tuż za znieruchomiałym raubriterem –

zgromadziliśmy się tutaj, aby dzisiejszej nocy dokonać rzeczy niezwykłych. Mamy na celu

pozyskanie szlchetnego miasta Wrocławia dla króla Czech, by ułatwić mu sprawowanie rządów, pomóc w pogębieniu przeciwników. Ale to tylko część prawdy! – zawiesił głos, czekając aż sens słów dotrze do słuchaczy. – Ta mniej istotna część, ściśle rzecz ujmując..

Peter Hoeller dopiero teraz rozejrzał się. Oprócz niego i Reinharda w ławkach siedziało jeszcze kilku ludzi... dobrze znanych mu ludzi. Zatem w spisku bierze udział

więcej

patrycjusza niż przypuszczał.

- Tak – podjął kanonik – to tylko część prawdy. Albowiem posłuszeństwo jednego, choćby i największego grodu, to dużo, ale zarazem i mało. Dziś przede wszystkim doprowadzimy do zguby najbardziej zajadłych wrogów Jerzego z Podiebradów. A to znaczy

króla Węgier Macieja Korwina, cesarza Fryderyka, legata Rudolfa z Ruedesheimu, wreszcie samego biskupa Rzymu!

Rajcy Hoellerowi odebrało dech. Usłyszał jak obok Reinhard ze świstem wciąga powietrze. Co oni zamierzają uczynić?! W jaką grę wciągnięto członków rady? Spojrzał

na

króla. Klęczał nieporuszony, zatopiony w modlitwie, podobnie jak książe Konrad.

- Jeśli przeraziły was moje słowa, pamiętajcie o jednym. Wielkie czyny wymagają wielkich ofiar. Jednak im większa stawka, tym też większa wygrana. Możecie osiągnąć wpływy nie tylko tutaj, jedynie wśród swoich. Każdy, kto wytrwa przy królu, ma otwartą drogę na najwyższych urzędów w państwie! Pomyślcie o tym, panowie! Kto chce jeszcze odejść, niech to uczyni teraz.

Zapanowała cisza. Po długiej chwili rozległ się niski głos Stefana.

- Policzcie się dobrze sami ze sobą. Zważcie słowa jego wielebności. Kto chce nas opuścić, niech zrobi to w tej chwili. Niebawem będzie za późno.

Nikt się nie poruszył. Peter Hoeller, mimo mrozu strachu łaskoczącego w krzyżu, siedział warz z innymi. Doskonale wiedział, że nikt nie odejdzie. Panowie rajcy zwykli na świat patrzeć po kupiecku. Inwestycja powinna się zwrócić, najlepiej z jak najwyższym procentem. Tutaj podjęte ryzyko było tak wielkie, że nie warto rezygnować, mimo nowych,

groźnych okoliczności. W podobnej sytuacji należy grać do końca, w przeciwnym razie zyski zgarną inni. Nowe położenie też trzeba wykorzystać jak najlepiej. Skoro przypuszczono ich do tajemnicy, wielcy panowie uznali, iż są im niezbędni. A skoro tak, cena usług rzeczywiście musi niepomrotnie wzrosnąć. Zapewne Podiebrad, gdy urośnie w potęgę, będzie szukał wiernych sług, a najwierniejsi są ci, których wiąże straszliwa tajemnica.

- Dobrze więc – Stefan zszedł, stanął tuż obok cuchnącego trupa. – Zaprzysięgniecie milczenie. Niech to, czego będziecie świadkami na zawsze pozostanie zamknięte w waszych

wspomnieniach. Powtarzajcie za mną. W obliczu Boga Ojca wszechmogącego, mającego po

prawicy Syna wraz z Duchem Świętym, a po lewicy tego, którego zwą Luciferus i zastępy ciemności, przysięgam dochować tajemnicy. A jeśli danemu słowu bym się sprzeniewierzył,

niechaj obejmie mnie klątwa duchów i zjaw, niech nigdy nie ocknę się z widziadeł

nocnych

koszmarów. Niech dusza moja stanie się własnością szatana.

Straszliwe słowa przyrzeczenia spływały jeszcze ciężkim brzemieniem z ust zaskoczonych rajców, a już Stefan rozpoczął obrzędy. Teraz Peter zrozumiał, do czego potrzebny był Niclas Dehr, który wyprężony, z rękami uniesionymi w górę i wywróconymi

białkami oczu, przyzywał straszonym głosem moce piekielne.

- Lucifuge, Nebirosie, Satanachio! Przybądźcie wypełnić moje życzenia!

Obok kanonik Weinberg powtarzał słowa pogrążonego w transie rycerza. Jednak w porównaniu z tembrem i mocą głosu Niclasa, w zestawieniu z napięciem malującym się na

jego odmienionej twarzy, wypowiedź kapłana wydawała się słaba niczym niewinna dziecięca

wyliczanka. Nie było cienia wątpliwości, który z tych dwóch jest w tej chwili zdolny przywołać istoty z innego świata.

- Wielcy generałowie księcia ciemności, przybywajcie... Wnijdziecie w zgniłe ludzkie ciało, unurzajcie się w człowieczym łajnie!

Gdyby ktoś powiedział Peterowi, że ujrzy na własne oczy coś podobnego, nie uwierzyłby. A gdyby ten ktoś dodał, iż ujrzawszy to, rajca nie ucieknie ile sił w nogach, zrzuciłby durnia ze schodów. A teraz siedział z otwartymi ustami, czując jak powietrze dookoła gęstnieje, przeszywa je mroźny powiew. Z ust wyfrunął kłęb pary, formując się w

kształt rogatego łba... Okrutna twarz, wykrzywiona złośliwym grymasem... Czyżby to był

obraz jego własnej duszy? Natychmiast wstrzymał oddech. Ale w tej chwili nastąpiło coś jeszcze bardziej przerażającego, co odwróciło uwagę od rozmazującej się już zjawy.

Bowiem

zgniły trup nagle poruszył rękami.

- To... – wydyszał mu prosto w ucho Reinhard – to niemożliwe! Powiedz, że śnię!

- Nie śniesz, głupcze – odwarknął. – I siedź cicho, bo się Zły jeszcze nami zaciekawia.

Trup coraz szybciej trzepotał rękami, i nogami, wygiął się w łuk, rżąc rozpaczliwie, gdy przegniłe płuca zaczerpnęły oddechu. Smród rozkładu narastał. Jeśli on teraz jeszcze usiądzie, pomyślał Hoeller, albo nie daj Boże wstanie, niechybnie zwariuję!

Jerzy z Podiebradów rzucił w bok zaniepokojone spojrzenie. Miał trwać w modlitwie cokolwiek by się działo, zamknął więc oczy i mamrotał wyuczone formuły. I jemu odór dawał się we znaki, choć jako doświadczony żołnierz był z nim doskonale obeznany.

Stefan

zapewniał, że nic złego stać się nie może. Ale w tej chwili, gdy widział ozywające zgniłe ciało, kiedy pokryte sinymi plamami członki miotają się w konwulsjach, pojawiły się wątpliwości. Z tyłu doleciał najpierw głośny jęk, a zaraz potem krzyk i tupot. Król obejrzał

się. Któryś z patrycjuszy nie wytrzymał. Z wrzaskiem pędził w stronę wyjścia. Stefan skinął ręką. Niclas Dehr wystrzelił niczym pocisk z armaty. W mgnieniu oka znalazł się za uciekinierem, wyciął nieboraka pięścią w potylicę. Mieszczanin padł bez przytomności, a raubritter znalazł się przy ołtarzu na swoim miejscu równie szybko, jak przedtem je opuścił.

- Bathimo, Botisie, Eligorze, Ayperosie – podjął – przybądźcie na moje rozkazy...

- Gdzie się wybieracie, Herr Bürgermeister? – Hutman był zdumiony. Burmistrz wbił się w przyciasny nieco rytowany kirys, przypiął do pasa długi, wąski miecz. Nie zgromadził jednak stu żołnierzy po to, by strzegli ratusza, ale wręcz przeciwnie, zamierzał z nimi wyjść.

- Nie twoja rzecz, Jurgenie – padła mało uprzejma odpowiedź. – Ty pilnuj porządku w mieście.

- W mieście panuje porządek! Już się o to postarałem.

- Nigdy nie bądź zbyt pewny swego. Ja ninie biorę wojsko i wychodzę z miasta.

- Ale...

- Wróg może się czaić wszędzie. Jeśli już tu jest i skoro tak się dziś dał we znaki, może wraza armia już podpełza pod mury? Trzeba być czujnym. Jeszcze kilka takich cudów

jak dzisiejsze i nie będzie kim obsadzić murów, bo ciemni prostaczkowie uciekną.

Przywódcy

cechów już narzekają na szemranie wśród ich ludzi. Lepiej zawczasu sprawdzić, co się da. A poza tym mam nadzieję chwycić nie lada ptaszka.

- Gdy skończymy, nikt nam się nie oprze – obiecał Stefan miesiąc wcześniej.

Jak człowiek się zmienia, myślał król, z trudem znosząc obecność rzucającego się tuż obok trupa. Jeszcze kilka lat temu na myśl o korzystaniu z czarnoksiężstwa zapalałby słusznym gniewem. Ale wtedy wszystko zdawało się iść ku lepszemu. Porozumienie z królem

Polski, wspólna walka z Turkami... Potem się zawaliły przymierza. Jagiellończyk, choć zawsze życzliwy, nie chciał się mieszać w sprawy między Podiebradem a cesarzem i papieżem. A Czechy potrzebują teraz silnego władcy. I choć trochę spokoju. Dość już ciągłych wojen, bratobójczych bitew, krwi i nienawiści. Ta straszna noc ma zatrzymać lawinę

niepowodzeń. Nawet gdyby miał poświęcić duszę, dla dobra królestwa jest gotów na wszystko!

Po drugiej stronie katafalku książę Konrad trwał z zaciśniętymi powiekami. Lękał się uchylić szczelną zasłonę, żeby nie zobaczyć, czego ujrzeć nie chciał. Uczestniczył nieraz w

obrzędach, w których wykorzystywano zdolności Niclasa Dehra. Wiele razy wyniósł z nich,

prócz zmęczenia, cenną wiedzę, która pomagała podejmować ważne decyzje. Jednak po raz

pierwszy spotkał się z takim nagromadzeniem zjawisk nie z tego świata, kłócących się z naukami Kościoła i zdrowym rozsądkiem.

Peter Hoeller kręcił się na twardej desce. Minęło pierwsze zaskoczenie, a jego miejsce zajął narastający z każdą chwilą lęk. Miał ochotę zerwać się i uciec, jednak zdawał

sobie sprawę, że pogrążony w uniesieniu raubritter dopadnie go równie szybko jak nieszczęsnego Jana Wiltzen, wciąż leżącego bez zmysłów w przejściu między ławkami.

Wydarzenia pod ołtarzem dochodziły do punktu szczytowego. Coraz straszniejsze zaklęcia,

coraz gęściejsze, cuchnące, mroźne powietrze... Kanonik Weinberg wznosił wysoko ręce.

Niespodziewanie w dłoni błysnął nóż. Błyskawicznym ruchem odwrócił się, tnąc płasko, trafił w szyję stojącego tuż za nim kleryka. Ugodzony mężczyzna zgiął się w pół.

Kanonik

kopnięciem przewrócił go na plecy, z mieszka na piersi wydobył sześć długich igieł. Wbił

pierwszą w drgające przedśmiertnymi skurczami ciało tuż pod raną. Krew z rozerzniętej krtani tryskała wysoko, osiadając na rękach duchownego.

- Adibagh, Sabaoth, Adonai, contra ratout prisons prerunt fini unixios paracle gossum – powiedział czystym, wysokim głosem. Potem silnym uderzeniem przeszył

mostek

zamordowanego w górnej części – Qiu sussum mediator afres gaviol valax.

Jerzy z Podiebradów z niedowierzaniem i przerażeniem obserwował potworne widowisko. Kanonik wbijał kolejne igły, podążając od zalanej posoką grdyki ku dołowi, wypowiadając zaklęcia. Kiedy wraził ostatni szpikulec w okolice podbrzusza, ze słowami

„Przyzywam was w imię Pana, przybywajcie”, rozległo się żalosne kwilenie. Król spojrział w stronę dziwnego dźwięku. Stefan, który odszedł od ołtarza przed chwilą, wracał niosąc w objęciach... niemowlę.

- Trzeba – powiedział patrząc Jerzemu prosto w oczy. – Aby zyskać moc, trzeba unurzać się we krwi, ożywić umarłe, a zabić nowonarodzone istnienie. Tego chłopca dzisiejszego ranka wyrzekła się matka.

Złożył dziecko w nogach gnijącego trupa. Skinął na kanonika. Ten wcisnął skrwawiony sztylet w dłoń Dehra. Niclas powoli zbliżył się do płaczącego noworodka, wznosił ostrze. Król przymknął oczy. Jakże żałował w tej chwili, że dał się nakłonić do tego

wszystkiego! Jednak za późno, żeby się cofnąć. Stefan powiedział, że trzeba... Skoro tak, niech stanie się, co musi się stać! Otworzył oczy. Raubritter wyprężył się, napiął mięśnie.

Doświadczony rabuś dokona zabójstwa jednym pewnym uderzeniem. To już! Uzbrojona dłoń zaczęła opadać.

- Dość! – rozległ się straszny krzyk. Niclas znieruchomiał w dziwacznej pozie, wychylony do przodu, ze sztyletem tuż nad piersią maleństwa. – Dostyc! – Dopiero po chwili

Podiebrad zdał sobie sprawę, że krzyczy nie kto inny, jak Stefan.

- Dość – powtórzył ciszej czarnoksiężnik. – Starczy tego szaleństwa.

Obecni zamarli. Tymczasem Stefan podszedł do zabitego kleryka, wydobył jedną z igieł z ciała nieszczęśnika, po czym błyskawicznym, wyćwiczonym ruchem wraził ją w pierś

zastygłego bez ruchu kanonika.

- Giń, sługo szatana – mruknął. Chwycił stojący na ołtarzu lichtarz, potężnym uderzeniem rozbił czaszkę dostojnika.

Jerzy chciał się zerwać z miejsca, jednak nie był w stanie. Ciało opanowało dziwne odrętwienie. Podobna słabość stała się udziałem także pozostałych świadków zdarzenia.

Stefan spojrział na króla.

- Nadeszła godzina zemsty – oznajmił. – Długo na nią czekałem.

- Ty... – wykrztusił król. Paraliż ciała nie pozbawił go zdolności mówienia – czyś oszalał, przyjacielu?

- Przyjacielu, powiadasz? – Stefan uśmiechnął się drapieżnie. – Nie jestem ci przyjacielem, przebrzydły utrakwisto! Zdrajco!

Zdrajco? Jerzy nie był stanie pojąć jadu, którym spływał głos Stefana. Tyle lat wiernej służby, wspólnych niebezpieczeństw, radości i smutków. A teraz nazywa swojego monarchę i dobrodzieja zdrajcą?

Peter Hoeller pozazdrościł nagle nieprzytomnemu rajcy Janowi. Nieborak przynajmniej nie musi tego oglądać i słuchać. Peter całym sobą czuł, że czeka go straszny los.

Jego i wszystkich, którzy zdecydowali się uczestniczyć w przeklętym przedsięwzięciu.

Stefan zbliżył się do króla, zajrzał mu głęboko w oczy.

- Pamiętasz Lipany? – spytał cicho. – Pamiętasz bitwę? Poszliście przeciwko nam u boku najgorszego wroga. Wbiliście nóż w plecy pobratymcom. I po co? Żeby zdobyć władzę. Pokazać, kto ma słuszość, przy kim zostanie powodzenie! Byłeś tam. Patrzyłeś na

rzeź! Widziałeś jak ze sobą walczą skarłali spadkobiercy świętego Jana Husa, męczennika!

Jakie katusze musiał przeżywać on sam, patrząc z nieba na straszne uczynki swych dzieci!

Płomienie stosu zapewne wydały mu się w tej chwili łagodną pieśczętą. A ty napawałeś się strugami krwi płynącymi z piersi braci Czechów!

- Co ty mówisz – wyszeptał Jerzy. – A cóż mogłem uczynić? Byłem młodym chłopcem, miałem ledwie czternaście lat! Zostałem wysłany na wzgórze, gdzie byli wyżsi dowódcy, bym obserwował ich pracę. Nie miałem nic do powiedzenia.

- I ja liczyłem wtedy tyle samo lat! Ale nie dane mi było przyglądać się beczynnemu.

U boku ojca poszedłem w bój. Patrzyłem na śmierć rodzica, gdy go bez litości rozsiekali papiści! Mnie życie uratowało to jeno, że omłdłem od wysiłku i zostałem przywalony trupami. Chodzili potem po polu papiści razem z waszymi i dobijali rannych. Mnie Bóg jednak darował życie. Umazany krwią, śmierdzący ludzkimi wyziewami, nocą powlokłem się

do taborów. Wozy płonęły, wszelkie dobro zrabowano. Zostały tylko ciała... tylko wspomnienie po ludziach, z którymi dzieliłem dole i niedole... Miałem nadzieję, że żołdactwo

oszczędziło jeśli nie matkę, to przynajmniej siostrzyczkę i niedawno urodzonego braciszka.

Szli za nami z wojskiem, bo nasz dom spalono i nie mieli się gdzie podziać – Oddychał

ciężko dłuższą chwilę, zanim podjął. – Znalazłem ich... leżeli jedno przy drugim. Matka w zdartej sukni, zhańbiona. Nie mieli względu na jej stan, a była przecie tuż po połogu.

Malutki

braciszek, bezradny jak owo niemowlę tutaj, spoczywał z rozbitą główką obok wozu.

Jakiś

rozpasańiec chwycił noworodka za nóżki i wyrznął o koło. Na obręczy zastygła niewinna krew. I ona... moja maleńka Marzenka... Zgwałciła ją chyba cała chorągiew!

Pochylił się nisko, króla owionął palący oddech.

- Nie miała jeszcze dziesięciu lat! – krzyknął z rozpaczą. Po policzkach ciekły łzy. –

Była pogodna niczym wiosenka, szczebiotliwa, rozgadana, wiecznie uśmiechnięta. Ale wtedy się nie uśmiechała... Patrzyła szklanymi oczami, w których zamarły jeno ból i przerażenie!

Piękne pożegnanie z życiem dla niewinnej istoty.

Niclas Dehr za plecami Stefana drgnął. Niemowlę, odurzone odorem rozkładu zmieszanego z zapachem ziół umilkło, pograżyło się w stanie półsnu, przebierając leniwie nóżkami.

- Pogrzebałem swoich – ciągnął Stefan. – Ukradkiem, nocą. Nie sam jednak, bo nie miałbym dość sił. Wiesz, kto się zlitował i dopomógł? Wiesz, wielki królu?! Ludzkie wilki

obdzierające poległych! Nawet ich poruszył obraz zmasakrowanych niewinnych istot i moje łzy! Ich tak, ale nie twoich sprzymierzeńców! Ci ścigali wszystkich jak wściekłe psy!

Raubritter spojrzał zaskoczony na leżące przed nim niemowlę. Do tej chwili był

pograżony w transie, a kiedy ekstaza zaczęła ustępować, pojawił się ból i zaczęły nadpływać

obrazy niedawnych wydarzeń. Mgliście zaczął zdawać sobie sprawę, że coś dzieje się niezgodnie z przewidywaniami.

- Wtedy – Stefan przybliżył twarz jeszcze bardziej do oblicza Jerzego – nad ich moglią poprzysiągłem zdrajcom zemstę po grób tym, którzy z bratobójczej rzezi wyciągną

największe korzyści!

Król przygryzł wargi. Zemsta. Straszna tym bardziej, że nadciągnęła z najmniej spodziewanej strony. Tyle czasu! Bitwa pod Lipanami odbyła się przecie przeszło trzydzieści lat temu.

- Przez blisko dwadzieścia lat udawałeś przyjaciela... Czy nigdy nie miałaś wątpliwości, nie wybaczyłeś?

- Ile razy nadchodziło zwątpienie, przypominałem sobie trupy bliskich. I śmiechy utrakwistów chodzących po pobojowisku ręka w rękę z papistami!

Niclas Dehr poczuł wzbierającą w sercu nienawiść. Stawała się coraz większa, dotkliwsza, doskwierała, wylewając się każdym porem skóry. Był tak samo znieruchomiał

jak inni. Jednak siła złego uczucia zaczęła powoli przełamywać urok rzucony przez Czecha.

- Poświęciłem dziesięć lat zgłębiając tajemne nauki, służyłem alchemikom, prawdziwym uczonym i szarlatanom. Kupowałem i kradłem tajemne księgi. Wiedziałem bowiem, że najłatwiej będzie dokonać zemsty, jeśli zbliżę się do kręgów władzy. A komu łatwiej się tam dostać niż temu, o kim mówią, iż jest czarnoksiężnikiem? Wreszcie zostałeś

królem Czech, panie z Podiebradów! Ty korzyściłeś najwięcej na zniszczeniu taborytów.

- Po nocach śnię tę bitwę – odparł król. – Budzę się przerażony. Nawet nie wiesz...

- Nic nie mów! Już w dzień rzezi doskonale wiedziałeś, co ci przeznaczone!

Widziałeś morze krwi, ale nie przeszkodziło to włożyć potem na skronie splamionej nią korony! Otoczyłeś się ludźmi winnymi wielkich krzywd, zapomniałeś, czego nauczał Jan Hus! I dlatego moja zemsta dosięgnie ciebie i wszystkich, którzy byli gotowi przyłożyć ręki

do kolejnych zbrodni, byle tylko osiągnąć władzę i wpływy!

Niclas Dehr przemógł słabość i odrętwienie. Oto na wyciągnięcie ręki stoi człowiek, który kazał mu dzisiaj robić rzeczy straszliwe, sprawił, iż dusza wyszła z ciała, spłynęła do

najniższych kręgów piekła, który sprowadził strach, jakiego rycerz nigdy dotąd nie zaznał.

- Nienawidzę cię! – wycharczał.

Zanim Stefan zdołał się odwrócić, przypadł do niego, wbijając sztylet pod lewą łopatkę Czecha. Ten jęknął przeciągle, osunął się ciężko na posadzkę. Nim upadł, ostatkiem

sił trzasnął jeszcze raubrittera w skroń trzymanym przez cały czas lichtarzem. Po chwili leżeli

obok siebie. Król poczuł, że znów może się ruszać. Przepadł do Stefana.

- Byłeś tyle lat moim przyjacielem... Gdybyś tylko powiedział... Dał mi szansę.

Czarownik odpowiedział drwiącym uśmiechem. Przechylił głowę, spojrzął w stronę rajców, którzy słaniając się ruszyli gromadnie w stronę wyjścia.

- Miałeś przecież szansę... – odparł z wysiłkiem. – Gdybyś nie zgodził się na to wszystko... mogłeś w każdej chwili przerwać tę potworność. Przecież uprzedzałem, że poleje

się niewinna krew, że obrzęd sprawować będzie wyznawca szatana... Ale żądza władzy okazała się silniejsza od sumienia... A ja czekałem. Bardzo długo... Do chwili, gdy miało zginąć niewinne życie, a ty nie uczyniłeś nic, by temu zapobiec – zakaszłał chrapliwie, na wargach pojawiła się różowa piana i kropelki krwi. – Masz rację. Tyle lat razem...

Żywiłem

nadzieję, że mylę się co do ciebie, żeś jednak inny... Ale nie... takiś sam, jak każdy król.

Władza oślepia sumienie i wiąże duszę... Udaremniłem więc twoje plany, zdrajco, potomku zdrajców.

- Panie – zawołał od drzwi przestraszony Reinhard Gensch – na zewnątrz jest pełno wojska! Widać, że szykują się do ataku! Ktoś nas zdradził!

Jerzy spojrzał pytająco na Stefana. Czarnoksiężnik skrzywił twarz w złym uśmiechu.

Król nie musiał więcej pytać. Przez całe życie czekał na ciosy, zastanawiał się, skąd spadną, z której strony zastawią zasadzkę wrogowie. Od lat pewien był tylko jednego – wierności starego druha, alchemika i czarnoksiężnika Stefana. To prawda, co powiedział kiedyś ojciec.

Najgorszym wrogiem bywa własne serce.

- Posłałem pismo burmistrzowi – rozległ się wysilony szept. – Przybył, by cię aresztować, a może i zgładzić. Jak widzisz, Wrocławianie nie chcą twojej zwierzchności.

- Koniec – stwierdził Jerzy z rezygnacją. – Mogę tylko jeszcze zginąć w walce.

Koniec i hańba. Konradzie, przynieś nasze miecze.

Chciał wstać, ale Stefan chwycił go za rękę.

- Mimo wszystko – wyrzeźbił ostatkiem sił – nie zasłużyłeś na aż tak podły los... a katolicy na podobną radość. Z tego kościoła prowadzi tajemne przejście... Kanonik Weinberg

opowiedział mi o nim. Zna je ten kleryk – wskazał stojącego pod ołtarzem młodzieńca. –

Kiedy zacznie się ruch przy drzwiach, bierz księcia Konrada i uchodźcie...

- Dlaczego najpierw zepchnąłeś mnie na dno poniżenia, cisnąłeś w ręce wrogów, a teraz chcesz uratować?

- Spełniłem przysięgę – Stefan mówił coraz ciszej. – Uczyniłem, com ślubowałem nad grobami bliskich. Wbiłem nóż w plecy tym, co uczynili mym rodakom to samo pod Lipanami. Zniszczyłem człeka, co wyciągnął korzyści ze zdrady... Ale nie chcę, byś ginął.

Idź, uratuj się i walcz dalej...

Przy wejściu wszczął się tumult. Ogarnięci paniką rajcy chcieli koniecznie wyjść na zewnątrz, zaś żołnierze wpychali ich do środka nie żałując razów.

- Dziękuję – Jerzy pochylał się nisko, dotykając stygnącej już z upływu krwi ręki Stefana. – Dziękuję... przyjacielu.

- Idź już.

Alchemik gasnącym spojrzeniem odprowadził króla. Jerzy, zanim zniknął za ołtarzem wraz z klerykiem i oleśnickim księciem, zawrócił jeszcze, porwał obudzone zgiełkiem, kwilące niemowlę i czym prędzej popędził ku zniecierpliwionemu zwłoką klerykiem.

- Idź i walcz – szepnęły pobladłe wargi umierającego. – Na nic już się to zda.

Przekleństwo musi się wypełnić. Niczego już nie osiągniesz... Wygrasz jeszcze wiele bitew, ale przegrasz wojnę...

Niclas Dehr mrużył oczy. Długo przebywał w ciemnym lochu, więc oślepiało go nawet światło pochmurnego dnia. Nie przypuszczał do tej pory, że na świecie może być aż

tak jasno. Strażnik popchnął go, zaklął grubo. Raubritter szedł z podniesioną głową.

Szafot,

wyłożony czerwoną materią, wyglądał przedziwnie na dobrze znanym, szarym oleśnickim Rynku. Purpurą witają królów i żegnają zbrodniarzy, pomyślał Niclas. Nie spiesząc się, wszedł po schodach. Herold stanął w szerokim rozkroku nad ciekawym, szumiącym tłumem,

rozwinął pergamin.

- Za liczne zbrodnie, gwałty i rabunki. Za to, że drapieżył bez umiaru, pozbawiając kupców, mieszczan i szlachciców majątków i życia, a przede wszystkim za udowodnione winy parania się brudnymi czarami i udział w sprowadzeniu dwa lata temu zarazy na miasto

Wrocław, wyrokiem sądu urodzony Niclas Dehr został skazany na śmierć przez ścięcie!

Rajcy Oleśnicy dank składają rajcom grodu Wrocławia za schwytanie i wydanie rozbójnika,

przyłapanego na licu, przy trupach pomordowanych świętobliwego kanonika Michaela Weinberga, kleryka Arnosta i człowieka bliżej nieznanego pochodzenia. Ortyl niniejszy zatwierdzony został przez księcia.

Skazaniec miał ochotę parsknąć pogardliwie. Oczywiście ani słowa, za co naprawdę go skazali, same bzdury. Jak choćby o tamtą zarazę, która nie miała nic wspólnego z czarami.

Co dziesięć, piętnaście lat mór przychodzi i odchodzi, nijakich cudów w tym nie ma.

Cudów

trzeba gdzie indziej! Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zawołać do tych ciemnych głów

wypełniających plac, ale w tej chwili pomocnik kata wetknął mu w usta drewnianą gałkę ciasno związał przeciągnięty przez nią rzemień na karku skazańca. Z gardła Dehra wydobył

się tylko jęk. Został błyskawicznie przywiązany do krzesła. Mistrz katowski stanął za nim.

Przetarł lśniący miecz o szerokiej głowni.

- Sprawię się szybko – mruknął. – Nawet nie poczujesz uderzenia.

Jerzy z Podiebradów tulił do piersi niemowlę. Chłopczyk podrósł już trochę, zaczął

patrzeć przytomnie na świat. Na widok króla uśmiechał się szeroko. Przez ostatnie kilka miesięcy król mocno posiwiiał. Budził się z krzykiem po nocach. Jednak teraz straszny sen o

bitwie pod Lipanami zastąpił koszmar o wiele gorszy, bliższy... Podeszedł do okna. Praga tonęła pod śniegiem. W objęciach zimy wyglądała przepięknie.

- Najjaśniejszy panie – Chwilę spokoju przerwało wejście szambelana. – Wieści z Rzymu... mam przyjść później?

- Mów – król usiadł. Dziecko przymknęło oczy. Pora na południową drzemkę. – Nie spodziewam się niczego dobrego.

- Papież Paweł, drugi tego imienia, w dniu dwudziestego trzeciego grudnia obłożył

was klątwą...

Jerzy siedział nieporuszony. Spodziewał się podobnej wiadomości. Anatema była tylko kwestią czasu. Niewątpliwie schwytani w świątyni rajcy wyznali na mękach całą prawdę i jeszcze więcej. Burmistrz Wrocławia wraz z biskupem wysłali odpowiednie raporty

do papieskiego legata. A ten uczynił wszystko, żeby sprawa jak najszybciej dotarła do papieża. Nie

mogli mu oczywiście niczego udowodnić, ale obłożenie klątwą husyty nie wymagało dowodów. Mogło nastąpić pod byle pretekstem.

Maciej Korwin teraz triumfuje, cesarz zaciera ręce. A dotychczasowi sprzymierzeńcy opuszczają czeskiego króla, żeby się nie narażać, nie podzielić jego losu. I nawet nie może mieć

im tego za złe. Sam sobie nawarzył tego piwa.

Gestem odprawił szambelana. Przytulił mocniej śpiące dziecko, pocałował w główkę. Pragnął choć przez mgnienie oka poczuć podobny spokój, ufność i pewność bezpieczeństwa.

- Czy tego chciałeś, Stefanie? – powiedział patrząc w gasnące palenisko kominka. –

Moja potęga staje się podobna tym ledwie pełgającym płomykom. Tak właśnie miało się to zakończyć? Zbyt długo żyłeś pragnieniem zemsty, żeby dostrzec, iż niszcząc króla utrakwiłeś, pozbawiłeś swój kraj wielkiej szansy. Mogłem uczynić z Czech monarchię silniejszą nawet od Polski. Z twojej winy, z twoich poduszczeń wynikło, co wynikło... Ale świadomość tego niech już będzie dla ciebie torturą na tamtym świecie. Na tym padole łez odbiorę swoją część kary pokornie lecz z podniesionym czołem... i wielkim żalem.

Kosmiczne opętanie

Uwielbiam ten moment. Może jestem dziwny, ale naprawdę go lubię. Lubilem to przeżycie już podczas treningów i sprawia mi przyjemność zawsze, ilekroć nadchodzi.

Uczucie odrętwienia powoli mija, ustępując miejsca powracającemu gdzieś z zaświatów poczuciu istnienia własnego ciała. Przeciągnąłbym się z rozkoszą, gdyby nie świadomość, że nadgarstki i kostki stóp są jeszcze skrępowane pasami. Raz kiedyś zdarzyło mi się o tym zapomnieć. Stawy łupały później przez tydzień. Po takim doświadczeniu jak sen w komorze hibernacyjnej, wszystkie ruchome części w organizmie stają się dziwnie mało plastyczne.

Uff, skoro już pobudka, to znaczy, że do Układu pozostało jeszcze z dziewięć tygodni, krótki sen na przejście przez Strefę Opętania, dalej dwanaście dni i wreszcie Ziemia!

Stara, dobra Ziemia ze swoimi dziwactwami i niesamowitymi miejscami, w których wygłodzony i żądny wrażeń kosmiczny weteran może sobie zaszaleć. Błękitne morze, u boku piękna dziewczyna, wspaniałe wzwody... tfu!... wspaniałe wschody i zachody słońca. Diabli, to był stanowczo zbyt długi lot. Od razu takie skojarzenia!

Czynności pomyłkowe – staruszek Freud cieszyłby się jak dziecko. Poczulem drapanie w gardle. Oho, czyżbym się przeziębził w kriogenie? To chyba raczej niemożliwe...

Spróbowałem odchrząknąć.

– Budzisz się wreszcie, dowódco! – rozległ się znajomy głos.

Szlag jasny, a czy jakiś głos może być nieznajomy na tej cholernej krypie? Ośmiu facetów na krzyż razem przez kilkanaście lat... No, może w ostatecznym rozrachunku nie kilkanaście, bo w końcu sen zabiera lwią część czasu, ale reszta i tak wystarczy. Tym bardziej że trwające po kilka miesięcy podwójne dyżury sprawiają, iż tym drugim gościem zaczyna się rzygać, choćby nie wiem, jaki był sympatyczny. A ci, z którymi odbywałem ten lot, w większości przypadków daleko odbiegali od standardów, którymi zwykło się określać ludzi sympatycznych.

– No już, wstawaj, koniec wylegiwania!

– Poczekaj – zachrypiałem. – Jeszcze pasy, procedura. Zanim automat...

– Wstawaj, nie chrzań. To wszystko pierdoły wymyślone przez jajogłowych doktorków. Dawno sam cię poodłaczałem. Pasy też zdjąłem. Gdybym czekał, aż to całe cholerstwo skończy się grzebać, zdechłbym z nudów.

Otworzyłem oczy. Nade mną stał Julian, nasz pokładowy konował. Ostrożnie poruszyłem rękami. Rzeczywiście, zostały już uwolnione. Nie byłoby to może tak niepokojące, gdybym miał choć odrobinę zaufania do naszego medyka. Ale cóż zrobić, stało się. Teraz ewentualnie mogłem dać mu po mordzie, a to nie miało większego sensu.

– Wiesz, że naruszyłeś około piętnastu punktów regulaminu? – spytałem surowo.

– Tylko się tutaj nie zesraj od praworzędnych gadek, dowódco. Mamy problem.

Westchnąłem ciężko. Niech to szlag!

– A ja miałem nadzieję, że to budzenie przed lądowaniem.

– Do Ziemi została jeszcze ponad połowa drogi.

– Co się stało?

Przez chwilę milczał, śmiesznie marszcząc nos.

– Twojemu zastępcy kompletnie odbiło. Zwariował. Dostał korby.

To nie była zbyt fachowo sformułowana medyczna informacja, ale za to dość treściwa, żebym usiadł, nie zważając na sztywność mięśni i ból w plecach.

– Krugerowi?! To najbardziej zrównoważony i najspokojniejszy sukinsyn, jakiego znam!

– Możliwe. Ale że mu odpieprzyło, to pewne! Sam zresztą zobaczysz.

Kruger siedział w kucki pod ścianą ładowni numer pięć. Kiwał się w przód i w tył, mruczając coś pod nosem.

– Dlaczego zamknąłeś go właśnie tutaj? – spojrzałem na Juniora.

– Bałem się, żeby czegoś nie zmalował, dowódco! – Drugi pilot wyprężył się jak struna.

– Przestań szczeakać jak kapral przed sierżantem, chłopcze. Spoczniej! Nie pamiętasz już, jak piliśmy brudzia na ochlaju przed powrotem?

– Przepraszam, to z przyzwyczajenia.

– Zatem zwalcz przyzwyczajenie. No dobra, bałeś się. A nie było bardziej przytulnego miejsca niż ta ładownia? – Rozejrzałem się po pokrytych wilgocią i pleśnią ścianach. Kiedy wreszcie zaczną montować porządne recyklarki, takie jak na statkach rejsowych? W kabinach niby w porządku, ale tam, gdzie oko ludzkie rzadziej sięga, po staremu brud i smród. Dziwić się potem, że dostajemy alergii, skoro cały ten syf, pylące się grzybki i zwały roztoczy są rozprowadzane kanałami wentylacyjnymi w najdalsze zakamarki jednostki.

Junior wzruszył ramionami.

– Tutaj jest spokojny. Siedzi tylko i buja się w tę i we w tę. Jak go zamknąć gdzieś, gdzie są sprzęty, od razu zaczyna się wygłupiać.

– No dobra. Opowiadaj, jak to było. Kiedy się zaczęło?

– Dokładnie nie potrafię powiedzieć. Komputer obudził nas na dyżur, bo mieliśmy przelatywać obok kwadrantu Zelty i istniało zagrożenie...

– Wyobraź sobie, że jako szyper tej łajby wiem, którą lecimy, przynajmniej w przybliżeniu. Przestań się popisywać i mów po ludzku.

– Tak jest! Na początku szło normalnie. Znaczą, nudziliśmy się jak wszyscy diabli.

Znasz to uczucie... Ale dwa dni temu Kruger zaczął się dziwnie zachowywać.

Pętał się po sterowni, oglądał wszystko, jakby to widział pierwszy raz w życiu. Potem zaczął kombinować przy konsoli łączności dalekiego zasięgu. Najpierw nie zwracałem na niego uwagi, bo pomyślałem, że chce to ścierwo naprawić. Z nudów człowiek robi różne głupoty. Ale kiedy zaczął się dobierać do klawiatury głównego komputera, krzyknąłem na niego. A on spojrzał

na mnie jakoś tak błędnie i dalej swoje. Wnerwiłem się trochę i dałem mu po łapach. Już wiedziałem, że będą kłopoty. Odskoczył jak oparzony i zsiakał się w gacie.

Pewnie ze strachu.

Ja też się o mało nie zlałem. Też ze strachu. Pomyślałem, że jeśli mu odwaliło i będzie agresywny, sam nie dam rady. To kawał chłopca. Ale na szczęście okazało się, że daje się prowadzić jak dziecko. No to zamknąłem go w jego kajucie i poleciałem budzić doktora. Coś mnie tknęło, więc nie czekałem, aż skończą się procedury i pobiegłem z powrotem. Dobrze zrobiłem. Kruger siedział na podłodze, wkoło wałały się różne przedmioty, a on właśnie próbował zjeść mydło. Kiedy je zabrałem, znowu się zmoczył. I robił takie rzeczy za każdym razem, kiedy miał dostęp do jakichś przedmiotów. Dlatego postanowiliśmy z doktorem umieścić go tutaj.

Słuchałem tej przydługiej relacji i myślałem, jak to się dziwnie układa. Gdybym miał stawiać całe swoje pobory plus premię za ten lot na to, który z nas może ewentualnie oszaleć, postawiłbym chyba na tego gbura Hermana. Był gwałtowny i chamski. Zresztą gdyby to był on, nawet bym nie zapytał, dlaczego zamknęli go w obrzydliwej ładowni.

Wiedziałbym.

Tymczasem Kruger dźwignął się na nogi, podszedł do nas ostrożnie, przygarbiony.

Wyciągnął palec w kierunku mojej twarzy. Odruchowo klepnąłem zbliżającą się dłoń. Kruger odskoczył i skulił się. Spojrzały na mnie pozbawione wyrazu oczy. Nie, one nie tyle były pozbawione wyrazu, ile miałem wrażenie, że należą do kogoś innego niż doskonale mi znany z wielu lotów zastępca.

– O, widzisz – powiedział Junior. – Znowu się zsikał.

– Pilnuj go, młody. Idę do doktora.

* * *

Lekarz rozłożył bezradnie ręce. Zdążyłem przywyknąć do takich jego reakcji. To był

zwykły nieuk, a dyplom dostał tylko dlatego, że akademia chciała się wreszcie pozbyć kumpla kolegi pana rektora. Gdyby był przyzwoitym fachowcem, siedziałby na międzyplanetarnym statku pasażerskim i zarabiał ciężkie pieniądze na leczeniu rozkapryszonych panius, zamiast włóczyć się w cuchnącym wraku po zakamarkach galaktyki, co nie dawało ani wielkiej forsy, ani zawodowego prestiżu.

– A co ja mam zrobić? – spytał bezradnie. – Z medycznego punktu widzenia jest zupełnie zdrowy. Przebadałem go na wszystkie strony. Wszyściutko. Siedział w medmacie ponad dwie godziny.

– Mózg też?

– Przecież mówię! Gdyby to nie był nonsens, stwierdziłbym, że mamy do czynienia z opętaniem. Wtedy podobno aparatura też nic nie wykazuje. Ale w tej części galaktyki mowy o tym być nie może. Duchy nie zapuszczają się tak daleko. W każdym razie nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– To musi być jakaś normalna psychoza. Pomyśl, Julianie. Chyba was tego uczyli?

Miałeś przecież zajęcia z psychiatrii?

Jego spłoszone spojrzenie rzuciło mi pewne światło na tę kwestię. Z pewnością miał

zajęcia z psychiatrii. Na pewno miał też wiele innych zajęć, na które również nie uczęszczał, a egzaminy zdawał dzięki wytężonej zespołowej pracy takich samych orłów jak on.

– Mówię ci, chłopie – powiedziałem powoli, tłumiąc pasję – że kiedyś skończysz na zawszonej łajbie wożącej uran między Jowiszem a Plutonem i z utęsknieniem będziesz wspominał czasy, gdy się rozbijałeś naszą zasraną jednostką badawczą.

– A może – powiedział, puszczając moją uwagę mimo uszu – wsadzimy go do hibernatora i na Ziemi...

– ...i na Ziemi – przerwałem – urwą nam jaja za przywleczenie nie wiadomo skąd, nie wiadomo czego. Że też szlag trafił komunikator dalekiego zasięgu! Gdyby była łączność z bazą, zwalilibyśmy to na nich...

– Daj spokój – teraz on mi przerwał. – Nie wierzę w ten cały komunikator.

Podejrzewam, że zamontowali ten złom na statkach tylko dla picu, żeby wyglądało jakby o nas dbali. Pamiętasz? Najpierw były wielkie krzyki, że wypuszcza się załogi na zatracenie, że nie wiadomo, co się z połową lotów stało i zaraz potem ktoś wyskoczył z komunikacją ponadprzestrzenną. A tak naprawdę to takie samo zawracanie dupy jak procedury przy wybudzaniu. Mówię ci, że z tym dalekim zasięgiem to wielka bujda. W

ogóle nie ma czegoś takiego. Pewnie gdybyś rozkręcił tę zapieczętowaną i ściśle tajną konstrukcję, okazałoby się, że w środku jest może zwykłe radio i druty prowadzące do lampek. Pic i tyle!

– A ty co? – warknąłem. – Też dostajesz korby?

Ale pomyślałem jednocześnie, że może doktorek nie jest taki cholernie głupi, jak wszyscy przypuszczają. Nie, zreflektowałem się natychmiast, jest jednak durny jak kłęb miedzianego drutu, ale w tej kwestii może mieć akurat intuicję.

* * *

Kruger obracał w dłoniach tubę z pastą odżywczą. Tych past używaliśmy w czasie patrolowych lotów w ciasnej rakietce, gdzie poza pilotem można było zmieścić jeszcze co najwyżej niewielką damską torebkę.

– Zupełnie jakby coś takiego widział pierwszy raz – mruknął Junior. – I tak jest ze wszystkim.

– Przymknij się, nie przeszkadzaj – ofuknął go Julian.

Kruger próbował ugryźć tubkę, zbliżał ją i oddalał od oczu, dotykał zatrzasku na zakrętce, ale nie czynił żadnych wysiłków, żeby go odchylić.

– Będziemy tak stać do usranej śmierci? Przecież widzicie, że on nie ma pojęcia, co to jest i jak się do tego zabrać.

Doktor jęknął, a zrezygnowany Junior oparł się o ścianę. Miał szczęście, że kazałem automatowi zlikwidować w ładowni cały syf, bo musiałby zaraz zmienić kombinezon. Sami, geniusze, ale na pomysł posprzątania nie wpadli. Wcale mnie to nie dziwiło.

– No i co z nim zrobimy? To wygląda na zupełną amnezję. I ten jego bełkot. Jakby kipiał garnek z wrzątkiem.

Poszedłem w ślady Juniora – także odchyliłem się do tyłu, szukając oparcia.

Potylicą dotknąłem czegoś twardego i wystającego. Zgasło światło. No tak, wyłącznik.

Natychmiast namacałem go i uderzyłem dłonią.

– Rany boskie – usłyszałem zduszony głos doktora.

– Co się stało?

– Zgaś jeszcze raz światło i sam zobacz! Patrz na Krugera.

W jego głosie dało się wyczuć ledwie powstrzymywaną panikę. Posłusznie dotknąłem płytki kontaktu, spojrzałem w stronę naszego chorego. I włos zjeżył mi się na głowie. Natychmiast zaświeciłem z powrotem.

– Widziałeś?! – wykrztusił Julian.

Junior stał z wytrzeszczonymi oczami, oddychając szybko.

– Widziałem – dopiero po chwili mogłem wydobyć z siebie głos. – Jak dwa ogniki.

Dwa upiorne żółtozielone ogniki!

– Raczej przypominają oczy hieny w świetle reflektorów. Widziałem kiedyś na filmie coś podobnego. Tylko że to nie było nawet odbicie, bo tu nie ma żadnego dodatkowego oświetlenia! Jemu się te ślepie same żarzą w ciemnościach!

Miałem wrażenie, że włosy na mojej głowie sterczą niczym igły przestraszonego jeża.

– Budzimy księdza – zdecydowałem. – Wszystkich budzimy!

* * *

Na pewno nie jest łatwo sobie wyobrazić, jak może być przerażony człowiek zamknięty z czymś nieznanym i budzącym grozę w ciasnej przestrzeni kosmicznego statku.

Ja tego doświadczyłem i Bóg mi świadkiem, że jest to doznanie, którego nikt by nie chciał ze mną podzielić. Miałem wrażenie, że obserwują mnie zewsząd nieprzyjazne oczy, a za chwilę zza zakrętu korytarza wyskoczy jakiś upiór. Wiem, to irracjonalne, ale czy to, co nas spotkało, miało cokolwiek wspólnego z logiką? Czy otwarty kosmos w ogóle bywa logiczny?

– Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem – mruknął ksiądz.

Siedzieliśmy w mesie dookoła stołu. Tylko Junior z boku obserwował monitor przekazujący obraz z piątej ładowni.

– Słyszałeś, czy nie – odezwał się Herman, pierwszy pilot – twoim zasranym obowiązkiem jest działać, kapelanie! Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Zamknij się, Herman! – rzuciłem. – Jak nie masz nic do powiedzenia, siedź cicho.

Czy to może być opętanie, księżo?

Kapelan uniósł brwi.

– Gdyby to było w Strefie Opętań albo przynajmniej w jej pobliżu, powiedziałbym, że tak. Ale duchy w tym rejonie...?

– Pieprzenie – przerwał mu Herman. – Nie ma żadnych duchów. Nie ma żadnej Strefy. Po prostu ktoś od czasu do czasu zwariuje na statku i tyle! A że wariuje zaraz po starcie albo tuż przed lądowaniem, to już przez stres.

– Jest i taka koncepcja – zgodził się ksiądz. – Nikt jednak nigdy nie udowodnił z całą pewnością, że to, co nazywamy opętanem, wiąże się z objawami klasycznej choroby psychicznej. Powiedz mi w takim razie, mój drogi naukowcu, dlaczego każda załoga bierze ze sobą duchownego i dlaczego egzorcyzmy są w tych przypadkach skuteczne? W

końcu to nie ja wymyśliłem Strefę Opętania, tylko szacowne grono Rady Naukowej.

Przecież to oficjalna nazwa.

– Gówno – odparł Herman. – Mam to w dupie i nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

– powtórzył z uporem.

W tym był dobry. W cholernym, upartym powtarzaniu, że wszystko ma głęboko gdzieś

– Posłuchaj, facet! – pociągnął go za rękaw siedzący obok Tajfun, informatyk-lingwista. – Ja też nie

chcę mieć z tobą nic wspólnego, ale jesteśmy na jednym statku, więc muszę cierpieć twoją obecność. Chociaż najchętniej wypieprzyłbym cię na zewnątrz przy pierwszej lepszej okazji! Powstrzymuje mnie tylko jedno. Boję się, że gdyby cię znalazła jakaś cywilizacja kosmiczna, nieszczęśnicy mogliby pomyśleć, broń Boże, że jesteś typowym przedstawicielem ludzkiej rasy. To byłoby niewybaczalne...

Tak – załoga, którą przyszło mi dowodzić, była niesamowicie zgrana i skłonna do rozwiązywania konfliktów na drodze ustępstw i kompromisów. Kiedy tylko sobie to uświadomiłem po raz kolejny, pożałowałem, że kazałem ich wszystkich obudzić. Przepisy przepisami, ale teraz zacznie się prawdziwe pandemonium.

– Odwal się, Tajfun! Skoro klecha uważa, że to duchy, niech sam sobie radzi. Jak dla mnie, to gościowi po prostu odbiło i koniec.

– A oczy mu się świecą, bo ma sraczkę, co?

– Może się w tym wariackim widzie nażarł fosforu!

– Jesteś debilem, Hermanie – oznajmił uroczyście Tajfun. – Jesteś zupełnym i kompletnym debilem. Twój mózg pewnie jest gładziutki jak półdupki Miss Uniwersum.

W zasadzie trudno było nie zgodzić się z tym poglądem. Herman jednak najwyraźniej był innego zdania, bo poderwał się z zaciśniętymi pięściami. Bardzo chętnie popatrzyłbym, jak po raz kolejny dostaje wycisk od informatyka, jednak stanowisko dowódcy nakłada pewne obowiązki.

– Spokój! – mój okrzyk zatrzymał obu w miejscu. – Kto pierwszy uderzy, pełni wszystkie dyżury do końca lotu. Nie muszę chyba mówić, że trochę się w tym czasie wynudzi. I postarzeje parę lat. Teraz mamy do roboty co innego niż wyjaśnianie sobie kwestii personalnych.

Spojrzałem na egzobiologa. Milczał ze wzrokiem wbitym w blat stołu.

Zastanowiło mnie to. Normalnie miał strasznie dużo do powiedzenia na każdy temat, czy miał o zagadnieniu pojęcie, czy nie. Kolejny oryginał. Zdaje się, że o wiele lepiej niż na biologii znał

się na budowie międzygwiazdnych silników. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że do Agencji Kosmicznej przyszedł tylko dlatego, by być jak najbliżej swojej prawdziwej pasji. W

przedziale maszynowym spędzał każdą wolną chwilę. Maniak. Po prostu maniak.

Ale przynajmniej orientował się, przynajmniej w jakimś stopniu, w egzobiologii. Nie był

aż tak beznadziejny jak doktor. Tyle że miał koszarne przyzwyczajenie wtrącać co drugie słowo

„ten tego”. To sprawiało wrażenie, jakby z jego myśleniem było nie wszystko w porządku. A może to nie było tylko wrażenie?

– Nic nie powiesz? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Zastanawiam się, ten tego... – powiedział powoli i nagle wybuchnął: –

Zastanawiam się, dlaczego siedzimy tu i pieprzemy bzdury, zamiast działać!

– To właśnie nazywa się narada – odparłem zimno. – Coś w rodzaju burzy mózgów.

– Tak – spojrzał ironicznie po naszych twarzach. – Ten tego, coś w tym rodzaju.

Obawiam się tylko, ten tego, że w tym towarzystwie nie ma się co spodziewać wielkiej nawałnicy.

Gestem uciałem ripostę Tajfuna. Powoli zaczęli mnie wnerwiać.

– W zasadzie on ma rację – odezwał się ksiądz. – Siedzimy tu, tracąc czas.

– Masz jakieś cenne propozycje? – Twarz Hermana wykrzywił złośliwy uśmiech.

–

Spowiedź powszechną, wspólną modlitwę czy coś podobnego?

– Egzorcyzmy, drogi pilocie. Odprawię egzorcyzmy. Po to tu jestem.

Przynajmniej dowiemy się, czy to jest opętanie, czy nie, skoro, jak twierdzi Julian, nauka jest bezradna –

spojrzał wyzywająco na doktora.

Na końcu języka miałem uwagę, że odnoszenie w jakimkolwiek stopniu pojęcia nauki do osoby naszego lekarza jest, delikatnie rzecz ujmując, pewnym nieporozumieniem, ale dałem sobie spokój. Atmosfera i bez tego była dość napięta.

– Dobrze, kapelanie – powiedziałem. – Rób swoje. Teraz przydział zadań dla pozostałych. Julian i Borys przeanalizują jeszcze raz odczyty medyczne. Dokładnie każdy zapis! I bez dyskusji! To rozkaz. Junior i Herman przejrzeć wszystkie układy nawigacyjne i przetestować moduł napędowy. Nie, Borysie, nie możesz się, ten tego, do nich przyłączyć!

Masz, ten tego, swoją robotę. Idziemy dalej. Tajfun sprawdzi zasoby pamięci komputera głównego z ostatnich dziewięciu miesięcy. Przestań jęczeć! Wszystko musimy wziąć pod uwagę. Może zdarzyło się coś, o czym komputer nie melduje, a co może stanowić cenną wskazówkę! W czasie między dyżurami to on jest tutaj pierwszy po Bogu, ale to tylko maszyna, zwykłe urządzenie, o wiele bardziej ograniczone niż człowiek.

Spojrzałem po nich wszystkich. I nabrałem wątpliwości, czy stwierdzenie

„bardziej ograniczone niż człowiek” ma jakiegokolwiek pokrycie w otaczającej mnie rzeczywistości.

Przysięgam, że ostatni raz pozwoliłem sobie wcisnąć załogę bez dokładnego sprawdzenia wszystkich członków. „Morowe chłopaki” powiedział o nich admirał.

Określenie „morowe”

pasowało jak ulał. Tyle że jedynie w przypadku gdyby je ewentualnie zastosować do epidemii dżumy.

– A ty, dowódco? – spytał napastliwym tonem Herman. – Co sobie wyznaczysz?

– A ja w zasadzie nie muszę się tłumaczyć. Ale odpowiem, żeby później nie było.

Ja, moja kochana załoga, zajmę się myśleniem. Ktoś na tej zakichanej łajbie musi w końcu zacząć to robić. Na was, jak widać, nie mogę za bardzo liczyć.

* * *

– I jak? Wygnałeś złego ducha?

Ksiądz opadł ciężko na fotel, wyciągnął przed siebie nogi. Tylko moja kajuta była na tyle obszerna, żeby sobie pozwolić na luksus posiadania dwóch siedzisk i zostawało jeszcze było miejsce na takie fanaberie jak pełny wyprost nóg.

– W zasadzie od początku byłem przekonany, że to opętanie. Nie chciałem tego mówić przy wszystkich, bo wiesz, jak to jest. Od razu byłoby gadanie.

– Wiem. Wyobraź sobie, że zdążyłem ich na tyle poznać.

– I w zasadzie nadal jestem pewien, że to, co spotkało Krugera, można nazwać opętaniem. Tyle że...

– Mów! – popędziłem go. Będzie mi tu dramatycznie zawieszał głos!

– Widzisz, w ładowni ustawiłem stół, wyjąłem swoje, że się tak wyrażę, sprzęty i zacząłem je rozkładać. Normalnie każdy opętany zaszywa się wtedy w najciemniejszym kącie. To, co w nim siedzi, wyczuwa, że za chwilę będzie się działo coś bardzo nieprzyjemnego. A Kruger od razu podszedł do mnie tym swoim dziwnym skradającym się kroczeniem. Pierwsze, co zrobił, to dotknął krucyfiksu. A kiedy nalałem święconej wody na spodek, zanurzył w niej palec! Rozumiesz? W święconej wodzie! Nawet krzyżma chciał

spróbować! Wiedziałem już, że nic z tego, ale zacząłem egzorcyzmy. Szczerze mówiąc, bez wielkiej nadziei, bo po tym jego zachowaniu zachwiałem się w przekonaniach. A ten nagle bęc na podłogę. Chwilę leżał spokojnie, a potem zaczęło nim porządnie trzepać. Nic wielkiego: wyglądało jak łagodny atak epilepsji. Skończyło się równie nagle, jak zaczęło.

Wstał, jak gdyby nigdy nic, zaczął gulgotać po swojemu. Wyglądał, jakby czekał

na jakiś dalszy ciąg.

– No i co?

– No i gówno, dowódco! – odparł w sposób zaskakujący u duchownego. –

Najgorsze, że wydaje mi się... wydaje mi się...

– Mów wreszcie! Co ci się wydaje?

– Nie wiem, ale mam nieodparte wrażenie, że owszem, wygnałem, tylko nie tego ducha, co trzeba.

– Co masz na myśli? – Oczy musiałem mieć jak spodki.

– Nie rozumiesz, dowódco? Myślę, że z ciała wyszedł jego prawowity właściciel!

Przez chwilę docierało do mnie znaczenie słów. Nagle dotarło.

– Cholera jasna! Jesteś takim samym konowałem jak nasz kochany lekarz!

Milczał ze wzrokiem wbitym we własne dłonie. Przynajmniej nie stawiał się i nie próbował mi wmówić, że nie zrobił nic złego.

Trzy oddechy głębokie, trzy szybkie... I znowu trzy głębokie, trzy szybkie...

Zacząłem się powoli uspokajać.

– Myślisz, że on może stać się niebezpieczny? – spytałem.

– A skąd, u Boga Ojca, mam to wiedzieć? Człowieku, nigdy nie słyszałem o podobnym przypadku!

Westchnąłem ciężko. Świetnie. A miałem przez te kilkadziesiąt minut nadzieję, że wszystko się ułoży. Teraz trzeba będzie znowu kombinować. Odczuwałem straszną niechęć na myśl o opuszczeniu przytulnej kajuty i zmierzeniu się z problemem twarzą w twarz.

– Rzadko się widzimy – powiedziałem, żeby oddalić ten moment. – W ogóle rzadko mam okazję przebywać sam na sam z kapelanami, których mi przydzielają. Nawet takimi...

powiedzmy, mało profesjonalnymi. Kiedy przelecimy Strefę Opętania, komputer budzi ciebie, ty odprawiasz te swoje gusła... wybaczone określenie, ale jakoś mi ono pasuje, i idziesz znowu spać. Jak to właściwie jest z tymi opętaniami? Dlaczego duchy trzymają się akurat tamtego rejonu przestrzeni? Jakoś do tej pory nie bardzo mnie to obchodziło. Dopiero ta sprawa...

– Możesz zrobić mi drinka? Dzięki. No cóż. Chciałbyś wiedzieć o sprawach, które w zasadzie zakryte są mgłą tajemnicy dla największych myślicieli i naukowców Kościoła.

Co tam Kościoła, one są wielką zagadką dla duchownych wszystkich wyznań. Możemy tylko wys[n]uwać pewne teorie. I, jak to zwykle bywa, jedna hipoteza wyklucza drugą.

Ja, oczywiście, wyznaję pewien pogląd, ale co do jego słuszności też nie jestem w pełni przekonany.

– Nie szkodzi – podałem mu szklaneczkę. – Chętnie posłucham.

– Krótko mówiąc, wyznaję teorię, że we wszechświecie, w naszym wszechświecie, roi się od duchów, dusz czy jak je nazwiemy. Ale one nie pętają się swobodnie po przestrzeni.

Na przykład w tej chwili jesteśmy sami. Zupełnie sami w pustce kosmosu –

pociągnął solidny łyk ze szklanki. – W głębokiej przestrzeni powinniśmy być bezpieczni, ale za to w Strefie Opętania... O, to co innego!

Wyraźnie zaczął się zapalać. Pewnie przez wiele lat nie miał się komu wygadać w tej kwestii. Powiedzmy sobie szczerze – astronautów gówno interesowały jakieś duchy.

Chodziło o wywiązanie się z kontraktu, zarobienie na premię i tyle. A to, że kogoś czasem opętało, to już było ryzyko wpisane w zawód i po to wlekliśmy ze sobą duchownych, ponosząc dodatkowe koszty, żeby to ryzyko zmniejszyć.

– Według wyznawanej przeze mnie doktryny, a oficjalnie uznanej przez Watykan i nawet hierarchię islamską czy judejską, Strefa Opętania może być po prostu tym, co się zwykło określać mianem nieba i piekła... a może też czyśćca. To już diabli wiedzą, i to dosłownie. Uważa się, że dusze są skazane na przebywanie w takim kawałku wszechświata aż do Dnia Sądu. Kiedy przelatuje statek kosmiczny, zdarza się, że niepokorna dusza zakradnie się na jego pokład. Nie wiem, może ciągnie ją do żywych, a może dzieje się coś jeszcze innego... Wszystkich nas kładą spać, bo podobno nikt nie przekroczył dotąd tego odcinka trasy, pozostając przy zdrowych zmysłach. Podobno na pokładzie panuje wtedy istne pandemonium. Ale, prawdę mówiąc, to tylko plotki.

– A ty jak uważasz? Tak naprawdę.

Tym razem sam sięgnął po butelkę, nalał sobie prawie pełną szklanekę ginu, potem połowę od razu wypił, jakby się bał, że strudzona dłoń nie utrzyma takiego ciężaru.

– Nie wiem – powiedział cicho.

Nie miał w tej chwili nic z jowialnego, otwartego klechy, jakim był jeszcze kilka minut temu.

– A powiedz mi, czy spotkałeś się kiedykolwiek z opętaniem po przejściu przez Strefę?

– Nie wiem – powtórzył. – Bardzo trudno jest odróżnić chorobę psychiczną od opętania... Nigdy nie można być pewnym na sto procent. Po prostu nie będziesz wiedział, czy to prawdziwy duch opuścił nieszczęśnika, czy tak zareagował chory na egzorcyzmy, które mogą być zwyczajnie rodzajem psychoterapii. Coś takiego, jak dzisiaj na naszym statku, widzę po raz pierwszy.

Cholera ciężka, całe to gadanie o duszach i duchach wydało mi się nagle czymś tak nierealnym, jakbym przed chwilą oberwał w łeb i obudził się w innym świecie.

Ksiądz znowu pociągnął tęgi łyk.

– Co w takim razie... – zacząłem, ale przerwał mi brzęczyk interkomu.

– Tu Borys – odezwał się głośnik. – Muszę się z tobą spotkać. Natychmiast!

– Dobrze, już idę.

Spojrzałem na księdza. Nalewał sobie kolejną porcję. Za godzinę będzie nie do użytku. Pomyślałem, że może lepiej by było, gdyby się skuł, zanim poszedł odprawiać egzorcyzmy. Żeby wygnać nie tego ducha! Ciekawe, jak się wytłumaczy swoim przełożonym. A może księża nie muszą się z niczego tłumaczyć?

* * *

Tylko raz widziałem równie wkurzonego egzobiologa. To było wtedy, kiedy Herman wyrzucił do dezintegratora jakieś unikalne znalezisko, sądząc, że to tylko ochłap starego mięsa. Borys mało mu oczu nie wydrapał. Teraz miał podobny wyraz twarzy.

Walnął w stół

plikiem papierów.

– Nasz doktorek to gówno, nie lekarz! – wrzasnął. – To cholerne gówno w białym kitlu! O niczym nie ma pojęcia!

Dopiero teraz to zauważył? To ja przez całą drogę modłę się, żeby nikt nie zachorował, nawet na katar, bo mógłbym mieć na pokładzie niespodziewany zgon, a ten nagle przychodzi z taką rewelacją!

– Uspokój się i mów.

– Nie będę spokojny! Nie mam ochoty być spokojny! Nie potrafię w tej chwili spokojnie mówić!

Skonstatowałem z pewnym zdziwieniem, że w stanie wzburzenia przestał

powtarzać swoje kretyńskie „ten tego”.

– Dobra – powiedziałem. – W takim razie mów niespokojnie. Byle z sensem.

Dyszał jeszcze przez chwilę, ale najwyraźniej wzburzenie zaczęło mijać.

– Ten tego – zaczął, a ja zacząłem się zastanawiać, jak go wkurzyć, żeby on tego

„ten tego” może jednak nie tego... – Pamiętasz, jak badaliśmy te dziwne formy na Arelianie?

Wtedy, kiedy, ten tego, zepsuła się moja sonda do badań nowych gatunków?

– Pamiętam, a jakże. I nie mów teraz, że się zepsuła, dobrze? Gdybyś przy niej nie grzebał, na pewno

nie by się...

– Daj spokój – skrzywił się niechętnie. – Zresztą nieważne. Korzystaliśmy wtedy, ten tego, z pokładowego biomatu. Sam dałeś, ten tego, zezwolenie.

– Nie powinienem, ale co niby miałem zrobić? Jednym z priorytetów wyprawy było zbadanie właśnie tych obleśnych glutów, jakby ten syf był komuś w ogóle potrzebny. Daliby mi popalić na Ziemi, gdybym przyleciał i powiedział: „Przykro mi, chłopaki, ale nici z badań, bo fachowiec od egzobiologii nie ma pojęcia, jak obchodzić się ze sprzętem i rozpieprzył go w drobny mak”.

– Wiesz, za co ludzie cię nie lubią? – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Właśnie za to! Za to, że jesteś najmądrzejszy i zawsze wiesz, co powiedzieć. Za to, że jesteś złośliwy i upierdliwy! I zawsze dajesz odczuć, kto tutaj rządzi! To już moja czwarta wyprawa, ale z takim wrednym szyprem jeszcze nie latałem.

– Zapomniałeś o czymś.

– O czym?

– Zapomniałeś dodać przynajmniej raz w każdym zdaniu „ten tego”.

Jakby w niego piorun strzelił.

– Dobra, powiedzieliśmy już sobie, jak się kochamy – uprzedziłem jego ripostę. –

Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Patrzył na mnie oczami tak rozjarzonymi złością, że w ciemności pewnie świeciłyby nie gorzej niż oczy Krugera. Jednak opanował się, kiwnął głową.

– O czym mówiłem? A, ten te... – zaciął zęby i nie dokończył. – O medmacie.

Nasz doktorek, owszem, ustawił wtedy na planecie opcję „nonhuman–open”. Te, jak je nazwałeś, gluty, nie były dotąd oficjalnie opisane, a wtedy zawsze, ten t... – znów się zatrzymał, a potem zaczął cedzić starannie: – A nowe organizmy zawsze bada się w tym trybie. Wiesz...

– Wiem, wiem. Do badania bierzemy minimum trzydzieści egzemplarzy jednego gatunku i na tej podstawie wyznaczamy średnie, normy i tak dalej. Znam procedury.

Masz mnie za kretyna?

Jego spojrzenie mogło mi wiele powiedzieć. Tak... Przypuszczam, że w tej załodze wszyscy nawzajem mieliśmy się za debili. Zresztą może i słusznie.

– Cieszę się, że nie muszę tego tłumaczyć – rzucił zjadliwie. – W każdym razie medmat ustawiony na „nonhuman” pracuje identycznie jak sonda egzobiologiczna. No i w trybie otwartym każdy badany organizm określany jest wyjściowo jako zdrowy...

Zaczynasz pojmować?

Poczułem chłód przerażenia na plecach. Zabiję tego pieprzonego konowala!

– Doktor nie przestawił trybu? Badał Krugera jak jakiegoś kosmicznego wyplawka?!

– On się nie nadaje nawet do czyszczenia, ten te..., klozetów! Jak nie wierzysz, zobacz odczyty. Wszędzie w prawym dolnym rogu jak byk jest napis „nonhuman–open”.

– Zostaw mi te papiery. Zawiadom resztę, że narada będzie o piątej. Do tego czasu sam zbadaj Krugera. I jeszcze jedno, Borysie. Mów już to swoje „ten tego”. Patrząc na ciebie, jak się męczysz, to gorzej, niż tego słuchać... No, idź już. Muszę się nad wszystkim zastanowić.

– Wiesz co, dowódcu? – rzucił mi jeszcze w drzwiach. – Ty nie umrzesz własną śmiercią. Wreszcie uda ci się kogoś tak rozdrażnić, że...

Machnął ręką i zniknął w półmroku korytarza.

* * *

– No co ty? – wykrztusił Tajfun. – Co ty opowiadasz? To brednie! Obłąd!

– A obłąd, ten tego, obłąd, żebyś wiedział! – Borys wskazał palcem wydruki. – A największy obłąd polega na tym, że ten tutaj – palec powędrował w kierunku doktora –

jest, ten tego, zupełnym durniem i ignorantem!

Podniósł się gwar. Egzobiolog cały czas wskazywał na Juliana, zaciekle tentegując, Tajfun usiłował wyrwać od niego jakieś dokładniejsze informacje, lekarz nieudolnie próbował się bronić, ksiądz, będący na ewidentnym świeżutkim kacu, usiłował

coś wtrącić, Herman po swojemu klął na czym świat stoi. Tylko Junior siedział z boku, znowu wpatrzony w ekran transmitujący obraz z piątej ładowni.

Zaczynałem mieć tego wszystkiego dość.

– Cisza! – wrzasnąłem. Musiałem się nieźle wysilić, żeby ich przekrzyknąć. –

Zamknijcie się wreszcie!

Powoli cichło. W skupieniu przyglądałem się ich wykrzywionym złością twarzom.

Oni też patrzyli na mnie uważnie.

– Cieszę się, droga załogo – zacząłem – że udało wam się skupić uwagę na mojej skromnej osobie. To cenne doświadczenie i spore osiągnięcie. A teraz może przejdźmy do rzeczy, zamiast żywiołowo okazywać sobie nawzajem sympatię. Wiemy już, że Kruger, czy raczej to, co Krugerem nazywamy,

wyказuje cechy charakterystyczne dla obcego gatunku.

Jest to gatunek hominidów, zamieszkujących czwartą planetę w układzie Hipostratusa. Z

tego, co zdążyłem się dowiedzieć, nie była ona kolonizowana właśnie ze względu na tych...

jak ich tam nazywają – rzuciłem okiem na wydruk – Hagian. Są na etapie cywilizacji przedindustrialnej, gdzieś tak w okresie piramid.

– Piramid? – zdziwił się Herman. – Piramidy to budowali na Ziemi. Co ty nam tu za bzdury opowiadasz, dowódco?

– Prędzej czy później stawia je każda cywilizacja – wyręczył mnie Borys. – To, ten tego, konsekwencja powszechności praw fizyki... W architekturze, zanim rozumny gatunek zacznie używać lekkich i wytrzymałych materiałów, kształt piramidy jest jedyną możliwością, żeby wspiąć się wysoko w górę. Po prostu musi być szeroka podstawa, która wytrzyma...

– Dzięki – przerwałem. – To teraz zupełnie nieistotne. A szanowny pierwszy pilot powinien mieć pojęcie o podstawach inżynierii. W każdym razie wygląda to tak, jakby nasz Kruger zamieniał się właśnie w Hagianina.

– Chcesz nam powiedzieć, że mamy na pokładzie pieprzonego obcego popaprańca?

– znowu wyrwał się Herman.

– Mniej więcej. Tyle że ująłbym to w bardziej eleganckiej formie.

– Ja pier... – pierwszy pilot zacisnął dłoń w pięść. – Czy ktoś to, kurwa, rozumie?

– Nie – odparł za wszystkich Borys. – Nikt tego, ten tego, kurwa, nie rozumie!

Chyba że osoba duchowna. Mamy tu w końcu do czynienia chyba z jakimś, ten tego, cudem.

A tym powinien zająć się ksiądz.

Spojrzał z prowokującym uśmiechem na kapelana. Ten tylko machnął ręką.

– Musielibyśmy przyjąć – mruknął – że dusza obcego stłamsiła i zupełnie wyparła duszę Krugera.

– Chyba właśnie coś podobnego zaszło – zauważył spokojnie Tajfun. – Nie mów, ksiądz, że coś jest niemożliwe, patrząc jednocześnie właśnie na to! Tym bardziej że sam, zdaje się, nieźle w tym wyparciu duszy Krugera pomogłeś. Zrobiłeś z niego regularnego obcego.

– Zgadza się – poparłem go. – Też mi się tak wydaje. I te świejące oczy... One są charakterystyczne właśnie dla Hagian. Tajfun – zerknąłem na informatyka – znalazłeś coś w odczytach kompa?

– W zasadzie niewiele. Nic wyjątkowego. Jedynie może to, że pół roku temu kurs był

zmodyfikowany. Mieliśmy na drodze rój jakiegoś kosmicznego złomu, niezbyt rozległy, ale zawierający spore kawałki skał. Komputer zmienił kurs, ale i tak było dość ciasno, bo musieliśmy z kolei przejść przez rejon kometarny jakiegoś układu.

W mojej głowie zrodziło się straszliwe podejrzenie. Pas komet? W naszym układzie zaraz za pasem komet jest Strefa!

– J a k i e g o u k ł a d u ?! Sprawdź natychmiast!

Musiąłem mieć w oczach coś takiego, że zamiast zacząć jałową dyskusję, jak to było przyjęte na tej jednostce, poleciał do klawiatury.

– Układ Hipostratus – dobiegło po chwili. – Osiem planet, w tym trzy gazowe olbrzymy... – mówił coraz wolniej. Najwyraźniej nawet do jego zakutego łba zaczęło coś docierać.

Spojrzałem na księdza. Był blady jak ściana. Jednak tym razem to nie był skutek uszczuplenia moich zapasów alkoholu.

– I tak nie odprawiałbym prewencyjnych egzorcyzmów – powiedział. – Nie przyszłoby mi to do głowy. Zresztą komputer nie ma zaprogramowanego budzenia mnie po każdym otarciu się o obcy układ gwiazdny...

– Czy to możliwe? – spytał Borys. – Czy tu też mają Sferę Duchów?

– Skoro jest u nas, dlaczego nie miałyby występować wszędzie, gdzie jest życie?

A może to właśnie duchy są prawdziwymi władcami wszechświata? Może cała galaktyka pełna jest jeszcze dziwniejszych zjawisk? Kto wie, może sam Bóg gdzieś tam w przestrzeni...?

– Kapelanie – przywołałem go do porządku. – Nie pora na teologiczne bzdury –

spojrzałem w ekran nad ramieniem Juniora. – Widzę, że Kruger nieco się ożywił.

Zaczyna badać otoczenie. Na razie tylko maca ściany ładowni, ale przypuszczam, że istota, która go opanowała, zaczyna się przyzwyczajać do nowej sytuacji.

– A dlaczego przyjmujemy za pewnik, że Kruger zamienił się już w obcego? –

rzucił

doktor. – Tylko na podstawie jakichś wydruków z medmatu? Może ta cholerna maszynka też się myli?

– Ty jednak jesteś strasznym, ten tego, osłem, wiesz?

Znowu gwar podnieconych głosów. Spierali się o to, czy Kruger jest Krugerem, czy zupełnie inną istotą. Grono wielkich znawców tematu!

– Przepraszam – doleciał z boku głos Juniora. Po chwili powtórzył głośniejsze: –

Przepraszam, koledzy!

To, że się odezwał, było na tyle zaskakujące, że wszyscy zamilkli.

– Przepraszam – powiedział jeszcze raz Junior. – Ale czy nikt nie zwrócił uwagi, że Michał zrobił się strasznie owłosiony? Przedtem taki nie był.

Michał? A, rzeczywiście, Kruger miał tak na imię! Tyle że nikt o nim nie mówił

inaczej niż właśnie Kruger. Nawet ja, chociaż odbywaliśmy już czwarty albo piąty wspólny lot.

– A skąd mam wiedzieć, jaki był przedtem? – zdziwił się Herman. – W życiu go nie widziałem rozebranego. A wy? – zwrócił się do pozostałych. – Widzisz, nikt nie wie.

Ciekawe, skąd w takim razie wiesz ty. I dlaczego mówisz o nim Michał.

Junior zaczerwienił się po cebulki włosów. W tej chwili do mnie dotarło, dlaczego tak bardzo chcieli mieć dyżury razem. Zrezygnowanym gestem oparłem głowę na rękach, spojrzałem spod oka na spłoszonego chłopaka. Boziu kochana, co za menażeria!

– Czyżbyśmy mieli na pokładzie ognisty romans? – rzucił zjadliwym tonem Tajfun.

– Zamknij się – warknąłem. – Teraz, z której strony by na to nie spojrzeć, musimy podjąć decyzję, co mamy zrobić z Krugerem.

– Może zawieziemy go na Ziemię? – zaproponował Herman.

– W zasadzie – odparłem – prawo zabrania zabierania inteligentnych istot obcych ras. Chyba że wyrażą na to zgodę nasze władze. A jak mamy zasięgnąć opinii z Ziemi bez łączności? Poza tym trzeba mieć jeszcze zgodę istoty, którą zabieramy, a to oznacza, że powinna być na tyle świadoma, co się dzieje, żeby zdawać sobie sprawę chociaż z tego, iż istnieje coś takiego jak znany nam wszechświat.

– A może – wtrącił Junior – zapytajmy go? Skąd wiadomo, że nie będzie świadomy? Powinniśmy się z nim dogadać. Hagianie to przecież sklasyfikowana rasa. Ich język musi być ujęty w translatorze.

W tym momencie zacząłem się zastanawiać, czy moje władze umysłowe są w zupełnym porządku. Właściwie powinniśmy użyć translatora na samym początku, a nie zakładać, że gulgotanie Krugera to tylko objaw opętania albo choroby psychicznej.

Te wszystkie rewelacje, odczyty badań, a teraz w dodatku jeszcze porastanie włosiem...

Niebawem Kruger zacznie wyglądać jak modelowy przykład mieszkańca czwartej planety Hipostratusa. Trochę to wszystko mogło oszołomić.

– Tajfun! Natychmiast do roboty. Ustaw tłumacza! I żebyśmy nie musiał znowu wszystkiego sam doglądać!

* * *

Już przedtem sytuacja wydawał się koszmarna – alternatywa, czy mamy na pokładzie Krugera opętanego, czy tylko zwariowanego. A co miałem powiedzieć teraz?

Teraz, kiedy wyszło, że Kruger najprawdopodobniej zamienił się w przedstawiciela obcej rasy?

Patrzyłem ciężkim wzrokiem na jego zgarbioną i pokrywaną się ciemną sierścią sylwetkę. Lekarz, ksiądz i Herman stali wokół tłumacza, przy którym majstrował

Tajfun, wprowadzając jeszcze jakieś poprawki.

– On nas uważa za istoty wyższe – szeptał mi na ucho Borys, który towarzyszył

informatykowi przy kalibracji urządzenia. – Jak tylko usłyszał pierwsze dźwięki, to, ten tego, padł przed nami plackiem i zaczął mamlać coś dziwnego, jakby, ten tego, modlitwy.

– Gotowe – powiedział Tajfun. – Możemy kontynuować. Teraz powinno mniej zgrzytać.

– Kim jesteś? – ksiądz odwrócił się do Krugera.

Ten natychmiast padł na twarz.

– Prochem marnym w obliczu bogów o gładkich twarzach!

– To o nas – wyjaśnił Tajfun. – On tak się wyraża o nas. Bogowie o gładkich twarzach.

– Dlaczego nazywasz nas bogami? – spytał znowu ksiądz.

– O najpotężniejsi! – Kruger podniósł twarz. – Czy przybędą na Ziemię bogowie o gładkich twarzach? Czy szakał nocnym wyciem oznajmi koniec starego porządku? Czy ludzie poznają smak przerażenia?

W tym momencie miałem nieodparte wrażenie, że leżący Kruger robi sobie jaja.

– Ziemię? Szakał? Ludzie? – zdziwiłem się. – Tajfun, co to jest? Obcy nie ma prawa znać takich słów!

– Bo nie zna – spokojnie odparł informatyk. – Po prostu tak skalibrowałem tłumacz, żeby tłumaczył najbliższe domyślne odpowiedniki. To ułatwia porozumienie.

Bo to, co przedtem podawał, to był kompletny mętlik. Dla tego tutaj Hagia jest tym, czym dla nas Ziemia. Poza tym każda rozumna rasa określa się mianem, które można przetłumaczyć jako

„człowiek”. A że szakał... bo ja wiem? Jak chcesz moję przestawić na poprzedni tryb.

– O nie! – zaprotestował Borys. – Nic z tego, ten tego, nie można było zrozumieć.

Pieprzył o jakiejś głowie w chmurach, wielkim różowym czymś i takie różne, ten tego, idiotyzmy. A jak urządzenie opisało to, co nazywa szakalem, miałem ochotę się wyrzygać.

Niech lepiej zostanie, jak jest.

– Niech zostanie – zgodziłem się. – Spytajcie go o imię.

– Imię moje proch marny, o wielki! – zbulgotał, po czym popatrzył prosto na mnie.

– Czy tyś tu najwyższym?

– Można tak powiedzieć. Jam tu najwyższy – skrzywiłem się. Ten jego uroczysty styl był cholernie zaraźliwy.

– Bądź pozdrowiony! – tłumacz nie oddawał intonacji, ale wzmożony odgłos kipienia świadczył chyba o wielkim wzburzeniu Krugera, czy kim tam stała się leżąca postać po fachowej ingerencji naszego kapelana.

– Wstań już, dobrze?

– Bądź pozdrowiony wszelkimi słowy! – znowu to niesamowite bulgotanie.

– Dobrze, będę pozdrowiony jakimi słowy chcesz, tylko wstań!

Nie chciał wstać. Życzył sobie rozmawiać z nami w pozycji leżącej. No cóż, nie mogłem mu tego zabronić, choć muszę powiedzieć, że w roli boga czułem się głupio.

– Tak... – mruknąłem niechętnie. – Jeśli ktoś powie, że ten tutaj jest dostatecznie uświadomiony, żeby wyrazić zgodę na podróż do stolicy obcej cywilizacji, dostanie ode mnie osobiście w zęby.

* * *

– Podsumujmy – powiedziałem kilka godzin później. – Nasz gość, zdaje się, po pierwszym okresie oszołomienia odzyskał pełnię władz umysłowych, o ile można w tym przypadku mówić o umysłowych władzach! Z tego, co nam powiedział, na drugi świat został

dość gwałtownie wyprawiony przez swoich ziomków, którzy zakatrupili go za jakieś tam przestępstwo.

– Nie za jakieś tam – wpadł mi w słowo ksiądz – tylko za bluźnierstwo przeciw bogom. Jest wyznawcą prześladowanej religii.

– Nieważne. Nie pamięta zupełnie, co się z nim działo później, tylko tyle, że ocknął

się na naszym statku, który uważa chyba za coś w rodzaju nieba.

– Dziwisz się? – to znowu ksiądz. – Wyobraź sobie, że jesteś mieszkańcem starożytnego Egiptu. Umierasz i budzisz się w niezwykłym otoczeniu, co krok to jakieś cuda, świecące ściany i tak dalej. Co byś pomyślał?

– Pewnie masz rację. Ale musimy z nim coś zrobić!

– A co mówią przepisy?

– Księżę – zirytowałem się. – Na taką okoliczność nie ma przepisów!

Przynajmniej ja o takowych nie słyszałem!

– Tak, ten tego – wtrącił egzobiolog. – Wyraźnych przepisów nie ma. Ale na pewno znajdziemy coś, co można nagiąć do naszej sytuacji.

– A ja bym go wziął na Ziemię i po krzyku! – zawołał Herman. – Niech się martwią jajogłowi. A my na urlop – rozmarzył się.

– A co, dupy ci się śnią? – Tajfun spojrzał na niego z ukosa.

– Jakby mi się chciało dupy – pierwszy pilot wstał, przeszedł do ekranu przekazującego obraz z ładowni i przystanął za plecami Juniora – to bym się zgłosił do naszego chłoptasia, skoro już świadczył podobne usługi nieodżałowanemu...

Nie dokończył. Zanim zdążył mrugnąć okiem, siedział na ziemi, uważnie obmacując szczękę. W życiu bym nie pomyślał, że niepozorny Junior ma takie pociągnięcie. I że jest taki szybki.

– Widzisz, drogi Hermanie – powiedziałem – sam się przekonałeś, że kiepskie żarty działają na użębienie równie niekorzystnie co nadmiar słodyczy. A teraz podnieś się i zmuś swoje zamarte przed laty szare komórki do podjęcia jakichś, choćby najprostszych nawet, procesów. Zresztą to się tyczy wszystkich obecnych. Chociaż przez chwilę okażcie sobie odrobinę wyrozumiałości. O sympatii nawet nie wspominam, bo nie zamierzam żądać od was cudów.

– Dobra, dowódco – przerwał mi Tajfun. – Czego znowu chcesz?

Przyznam, że to „znowu” nieco mnie wkurzyło, ale zmilczałem. Gdybym reagował

każdym razem, kiedy moja załoga wyprowadza mnie z równowagi, nic innego poza wściekaniem się nie mógłbym zdziałać.

– Chcę od was rady. Co mamy z nim zrobić?

– Ty jesteś szefem – powiedział Herman. – Ty decyduj.

– Właśnie – poparł go Tajfun. Ci dwaj, jak się zdaje, byli jednomyślni po raz pierwszy od chwili

startu. – Nie zwalaj odpowiedzialności na nas.

– Zgadzam się, ten tego – mruknął Borys.

Doktor tylko wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie wiem – odezwał się ksiądz, kiedy spojrzałem na niego. – Ale może rzeczywiście są jakieś uregulowania, które można tu zastosować. Trzeba pogrzebać w przepisach.

– Dzięki za pomoc – powiedziałem z przekąsem. – Wiem tyle samo, co na początku.

W ich spojrzeniach darmo szukałbym choćby odrobiny współczucia. Cóż...

właściwie czego mogłem od nich oczekiwać? Przecież wiedziałem doskonale, że mają wszystko w dupie i chcą tylko jak najprędzej wrócić do domu.

– Punkt pięćdziesiąt trzy albo cztery – usłyszałem nagle zza pleców głos Juniora –

dokładnie nie pamiętam. Chodzi o Regulamin Postępowania w Kontakcie. Tam jest taki zapis, co robić przypadku dostania się na pokład obcej istoty inteligentnej.

Należy ją odstawić jak najszybciej do naturalnego otoczenia i spowodować, w miarę możliwości, zanik pamięci...

Odwrociłem się do niego. Faktycznie, było coś takiego. Ameryki nie odkrył. Ale przyznaję, że sam nie mogłem sobie przypomnieć nic sensowniejszego.

– Ale to dotyczy sytuacji kiedy na pokładzie znajduje się obcy. O b c y, Junior!

Bywały przypadki, że jeden z drugim zablindowali się gdzieś w zakamarkach statku. Wtedy wszystko jest jasne i proste. Ale przypominam, że Kruger nie dostał się na pokład jako obcy.

On tu się dopiero taki zrobił. Gdybyśmy lądowali na Hagii i tam by go dopadło to cholerstwo, zawsze moglibyśmy się go pozbyć i wytłumaczyć, że go porwali, zabili albo nawet zeżarli.

Jednak nasza sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana. W dodatku jak możemy odstawić na rodzinną planetę gościa, którego pobratymcy wcześniej zaszlachtowali?

– Ja nie wiem, komandorze – rozłożył ręce. – Po prostu ten przepis wydaje się najbliższy. Kruger... raczej to, co z niego zostało... przecież on anatomicznie i mentalnie nie jest już człowiekiem. Genetycznie też nie, jeśli wierzyć naszemu lekarzowi. Może był

jeszcze w jakimś stopniu istotą ludzką dwa dni temu, ale tylko do czasu, kiedy kapelan wygnał go ostatecznie z ciała! Ale i tego nie możemy być pewni po tym, jak pan doktor spieprzył robotę.

Spojrzał z nienawiścią na najpierw księdza, potem na Juliana.

– Właśnie – podchwycił natychmiast Herman. – On już nie jest człowiekiem. I nie będzie!

– Skąd wiesz? – rzucił się Tajfun. – Może gdzieś tutaj krąży i czeka na okazję, żeby zająć z powrotem swoje ciało!

– Nie pieprz, człowieku – Borys skrzywił się z niesmakiem.

– On był bardzo wierzący – powiedział cicho Junior. – To dobry człowiek. Mam nadzieję, że jest teraz w lepszym świecie.

– Nie chrzań! – warknął Herman. – Dobry człowiek! Wierzący! – przedrzeźniał

chłopaka. – A jak już nagrzeszył i wyłomotał cię zdrowo, to co? Krzyżem sobie leżał czy biczował się?

Junior zacisnął zęby, zaczął wstawać z fotela.

– Żadnych bójek! – rzuciłem ostro. – A ty, Herman, jeśli się jeszcze raz odezwiesz, naprawdę dostaniesz stały dyżur! Do samej Ziemi! Nie żartuję! Nie życzę sobie więcej twoich chamskich uwag, rozumiano?!

Zmełł w ustach przekleństwo.

– A teraz posiłek i rozchodzimy się do kabin. Macie myśleć, a nie spać, zabawiać się alkoholem, oglądaniem filmów czy niesfornymi częściami anatomii. Spotykamy się za trzy godziny, żeby podjąć ostateczną decyzję!

* * *

Siedziałem w fotelu, ale zamiast spodziewanego odprężenia, czułem ogromny niepokój. Cholera jasna, gdyby ten przekaźnik dalekiego zasięgu był na chodzie, o ile wszystko byłoby prostsze! Założę się, że na innych jednostkach ten wynalazek działał jak złoto. A jeżeli nawet nie jak złoto, to w ogóle działał. Chyba że to doktorek ma rację i komunikator to tylko kupa blach dla picu.

Wstałem. Za bardzo mnie nosiło, żebym dłużej usiedział. Chodziłem po kajucie w tę i we w tę. Diabli mnie brali na myśl, że niebawem znowu ujrzę ukochane zgromadzenie moich podwładnych i będę mógł spojrzeć w ich wierne, współczujące i mądre oczy.

Wyciągnąłem rękę w stronę barku. Nie! Nie mogę sobie pozwolić nawet na małego drinka.

Jeżeli któryś z nich wyczuje alkohol, od razu posypią się komentarze. A może przesadzam?

Może to paranoja?

Znowu wyciągnąłem rękę, ale zamiast w zatrzask barku, klepnąłem włącznik interkomu.

– Uwaga, wszyscy członkowie załogi! Zarządzam na pokładzie stan wyjątkowy drugiego stopnia i

bezwzględna prohibicję.

Nie będę się mordował sam! A ostry zakaz picia zostanie odnotowany przez komputer w protokole lotu. I biada temu, kto go złamie! Księża alkoholika nie wyłączając.

Egzorcysta od siedmiu boleści!

Prawie słyszałem jęk zawodu, który wyrwał się z sześciu piersi. Sześciu? Nie, raczej pięciu. Junior, z tego, co wiem, to abstynent. Załadowałem do czytnika dysk z programami rozrywkowymi. Ekran rozjarzył się tętniącym życiem teledyskiem. Nie dałem jednak rady długo wytrzymać bębniących dźwięków i widoku panienki, która usiłowała dać z siebie wszystko. Ktoś kiedyś nieszczęsnej powiedział, że jest piękna i ma talent. Uwierzyła, a teraz

[było: potem] skutki jej nieuzasadnionego optymizmu muszą podziwiać bliźni. To tak, jak z moimi podwładnymi. Ktoś kiedyś rzekł: „Chłopie, nadajesz się do tej roboty”, a oni uwierzyli. Tylko dlaczego akurat ja dostałem w podarunku wszystkie pomyłki wszelakich komisji rekrutacyjnych w naszej części wszechświata?

Ze złością wyłączyłem czytnik. Przymknąłem oczy. Może uda mi się zasnąć chociaż na pięć minut.

* * *

Patrzyli na mnie z niechęcią. Z największą, oczywiście, ksiądz.

– Nie musiałeś tego robić – burknął Julian. – Niewiele mamy radości na pokładzie.

Pełną prohibicję zarządza się tylko w sytuacjach zupełnie wyjątkowych, z tego, co wiem.

– Nie jesteście na wczasach, tylko w pracy! – odparowałem. – I radość macie czerpać właśnie z tej pracy. A ty, doktorze, skoro tak dobrze znasz przepisy, czemu przedtem nie potrafiłeś nic doradzić? Poza tym jeżeli ta sytuacja nie jest wyjątkowa, to co zasługuje na takie określenie?

– Dobra – mlasnął językiem Tajfun. – Rozkaz to rozkaz i trzeba słuchać dowódcy.

Podchwycił moje ironiczne spojrzenie i skrzywił się niechętnie. Dobre sobie!

Trzeba słuchać dowódcy! Zasadniczo mieli gdzieś moje rozkazy. Teraz bali się, bo wiedzieli, że w razie wpadki konsekwencje dyscyplinarne są nie do uniknięcia. Od chwili ogłoszenia stanu wyjątkowego wszystko, co dzieje się na pokładzie, było ściśle rejestrowane, a ja nie miałem możliwości manipulowania zapisami, jak w normalnym trybie.

– Mamy do wyboru dwie drogi – powiedziałem. – Możemy zabrać Krugera, czy jak go tam teraz trzeba nazywać, na Ziemię albo odstawić na rodzinną planetę. Musimy rozważyć za i przeciw obu opcji.

– Zabierajmy go do domu i z grzywki! – to oczywiście był Herman. – Na jego planecie nikt przecież go szukał nie będzie, bo sami gościa załatwili odmownie! Skoro nie chcecie go wypieprzyć za burtę,

lećmy z gadem do końca!

– Tak – teraz zabrał głos doktor. – A wiesz, ile potrwa kwarantanna, jeśli go przywlecziemy? Bo ja nie chcę nawet o tym myśleć. Dokąd nie zrobią dokładnych badań, co niewątpliwie potrwa, będziemy siedzieć na orbicie i to odcięci od świata, we własnym upojnym towarzystwie. A nie ukrywam, że mam was wszystkich dość!

– Nawzajem – padło od razu kilka odpowiedzi.

– Ale bez niego też będzie kwarantanna – zauważył Tajfun. – Przecież nie ukryjemy tego całego cyrku. Będą nas badać...

– Ale, ten tego – przerwał mu egzobiolog – nie tak długo. A poza tym przed dokowaniem sami się, ten tego, zbadamy gruntownie biomatem... Nieporównanie dłużej nas przetrzymają z nim...

– Mam rozumieć, że jesteś za odstawieniem go na Hagię? – spytałem.

– Ja tam nie wiem. To ty, ten tego, podejmiesz decyzję... Na szczęście. Stan wyjątkowy drugiego stopnia daje ci nieograniczoną władzę. I nieograniczoną odpowiedzialność.

Oczywiście miał rację. Ocena mojej decyzji wprowadzenia obostrzonego rygoru i wszelkich działań potem podejmowanych należała do komisji na Ziemi. Moi podwładni na pewno dokładnie zapoznali się z odpowiednimi punktami regulaminu. Nie przewidzieli tylko jednego.

– O nie, moi kochani! – Uśmiechnąłem się jak mogłem najczulej. – Na mocy moich obecnych nieograniczonych uprawnień, zarządzam w tej sprawie podjęcie decyzji większością głosów załogi. Nie będę sam się babrał w tym gównie!

– Cholerny spryciarz!

Nie miałem pewności, kto to powiedział, ale stawiałbym na Borysa.

– Najpierw musimy ustalić, czy Kruger jest przedstawicielem obcej rasy. Jeżeli nie, lecimy prosto na Ziemię. Jeżeli tak, musimy podjąć decyzję, co dalej. Głosujemy –

powiedziałem. – Po kolei każdy wypowiada...

– Chcemy się jeszcze naradzić – wpadł mi w słowo Borys. – Nie rozpędzaj się, ten tego, tak bardzo. Żądamy trzech godzin czasu. Oczywiście bez twojej obecności, dowódco!

To było sprytne. Skoro w danej sprawie zarządziłem głosowanie, mieli prawo do zebrania się w odosobnieniu.

– Szkoda, że nie potraficie tak kombinować wtedy, kiedy trzeba – burknąłem. –

Macie godzinę. I nikt w tym czasie nie wyjdzie z tego pomieszczenia.

– Poza, ten tego, tobą – dorzucił Borys.

– Poza, ten tego, mną – wycedziłem.

* * *

– Czy pozostali bogowie nad czymś się naradzają? – wyszczeakał translator. – Czy może nad moim losem?

Rzuciłem zdziwione spojrzenie na Krugera. Skąd mu to przyszło do głowy? Może ta rasa ma zdolności telepatyczne?

– Nie jesteśmy bogami, zrozum to wreszcie. Co do twojego pytania: tak, pozostali się naradzają. Skąd wiesz?

– Tak pomyślałem. Nigdy nie byłeś tu sam, o wielki. Nigdy nie raczyłeś ze mną rozmawiać inaczej niż przy kimś z pozostałych.

To było logiczne. Zbyt logiczne jak na... No właśnie: jak na kogo? Założyliśmy wszyscy, że to tylko jakiś nieszczęsny kretyn, przedstawiciel prymitywnej cywilizacji. A czyż odmawiamy umiejętności logicznego rozumowania naszym starożytnym przodkom?

Dlaczego więc inaczej traktujemy obcych?

– Jak ty właściwie masz na imię?

– Pomyślność Zesłana Przez Wielkiego Boga.

Translator przetłumaczył tak jakąś krótką w ustach obcego nazwę. To pewnie tak, jakby tłumaczył imię Rafael metodą dosłowną... Machnąłem ręką.

– Będę cię nazywał Kruger.

– Jak tego, który odszedł? On był dobry.

– Skąd wiesz?

– Poznałem go, gdy razem przebywaliśmy w tym ciele. Zanim wielki bóg w czarnej szacie wygnał go swą mocą.

– Mówisz o księdzu, tak?

– Tak, o tym, którego tak nazywacie.

Że też mi dotąd do głowy nie przyszło spróbować zasięgnąć informacji u źródła!

– A wiesz, gdzie Kruger teraz jest?

– Odszedł. Był bardzo szczęśliwy, kiedy odchodził. To było uczucie spełnienia, gdyśmy się zjednoczyli na krótki czas, a potem rozdzieleni podążyliśmy każdy w swoją stronę, by zajaśnieć...

Znowu się zniechęciłem. Bełkot nic nierozumiejącej prymitywnej istoty, nic z niego nie wynikało.

– Chciałbyś wrócić do swoich? – przerwałem potok jego wymowy.

Milczał bardzo długo.

– Chciałbyś wrócić do swojego świata? – powtórzyłem.

– Nie wiem, o wielki – powiedział w końcu. – Niech moi bogowie zadecydują, co będzie dla mnie dobre.

* * *

– Czas minął, panowie.

Siedzieli wokół stołu, tak jak ich pozostawiłem. Jedyna różnica polegała na tym, że lewe oko Hermana nabierało wesołej, sinoczerwonej barwy. Pewnie znowu palnął coś głupiego i dostał w ryj. Ten do śmierci niczego się nie nauczy.

– Gotowi?

– Powiedzmy – mruknął Julian. – Powiedzmy, że jesteśmy gotowi.

– Jeśli chcesz znać naszą decyzję... – zaczął Tajfun, ale przerwałem mu ruchem dłoni.

– Nie. Musi się odbyć formalne głosowanie. To nie zabawa. Przed nami naprawdę ważna decyzja i proszę o poważne potraktowanie sprawy. Pierwszy Borys.

– Uważam, że to obcy i, ten tego, powinno się go odstawić na Hagię.

– Julian?

– Zasadniczo zgadzam się z Borysem...

– Nieważne, z kim się zgadzasz zasadniczo. Masz jasno i wyraźnie się wypowiedzieć.

– Jestem za odtransportowaniem Krugera na Hagię. Również uważam, że stał się obcym.

– Tajfun?

– Tak samo.

– Herman?

– A co mam, kurwa, powiedzieć? Ja też!

- Herman, chociaż raz mógłbyś nie rzucić mięchem! Kapelanie?
- Wstrzymuję się od głosu. Ta istota sama powinna zdecydować...
- Ta istota sama nie wie! Przed chwilą z nią rozmawiałem.
- Niemniej wstrzymuję się od głosu.
- Junior?
- Uważam, że powinniśmy go zabrać na Ziemię, chociaż stał się obcym...
- Głupi gówniarz! – syknął Herman.
- Czyli zdecydowaliśmy – westchnąłem.
- Zaraz, zaraz! A ty, komandorze?
- Ja już nie muszę głosować. Cztery za lotem w rejon Hagii, jeden przeciw, jeden się wstrzymał. A mojego zdania jakoś nigdy do tej pory nie byliście specjalnie ciekawi.

* * *

- Dlaczego akurat ksiądz?

Miałem wrażenie, że Tajfun zadał to pytanie tylko dla sportu. Ot, tak sobie, żeby coś powiedzieć albo spróbować wsadzić kij w mrowisko, jak to było na tym statku przyjęte. Ale skoro pytanie już padło, musiałem dać odpowiedź. W warunkach stanu wyjątkowego miałem obowiązek ustosunkowywać się do wszystkiego, co działo się na pokładzie. Sam siebie przeklinałem za pomysł z zaostreniem dyscypliny. Zamiast utemperować swoich podwładnych, sam musiałem uważać, co mówię, żeby nikt potem nie mógł zrobić z tego użytku. W pamięci komputera trwale zapisywały się wszystkie rozmowy. Natomiast moi kochani towarzysze podróży po minięciu pierwszego szoku i tak ewidentnie mieli wszystko gdzieś.

- Dlatego ksiądz – odpowiedziałem – że jako osoba duchowna i poniekąd pokładowy terapeuta jest chyba najlepiej przygotowany do roli niańki. Gdybyśmy mogli zamrozić naszego gościa, nie byłoby problemu, ale doktor nie jest pewny...

- Nasz doktor niczego nie jest pewny – wtrącił Herman. – A ja bym skurczybyka wsadził w hibernator. Najwyżej zdechnie i będzie po kłopotcie.

Już dawno zyskałem pewność, że na Arelianie ktoś celowo zepsuł czujnik promieniowania w skafandrze pierwszego pilota. I naprawdę potrafiłem to zrozumieć. Co więcej, nie zamierzałem dochodzić, kto tego dokonał. Tak jak inni mogłem tylko żałować, że mu nie wyszło. Tym razem zignorowałem odzywkę.

- Wyhamowanie i powrót z normalną nadświatłą potrwa dokładnie dwieście dwadzieścia

standardowych dni. Nie ma sensu, aby wszyscy członkowie załogi przez ten czas byli na nogach. Wystarczy dwóch do opieki nad Krugerem i pełnienia dyżurów.

Junior zgłosił

się na ochotnika. A księdza ochotnikiem wybrałem z wymienionych przedtem względów.

Oczywiście głądziłem tak kwieciście tylko na użytek zapisu, któremu kontrolerzy niewątpliwie poświęcą wiele czasu. Normalnie powiedziałbym im, żeby pilnowali własnego nosa.

– A ja myślę – wypalił Tajfun – że to zemsta. Za to, że kapelan wywalił

właściwego Krugera diabli wiedzą gdzie.

– Stul pysk – rzucił Julian. – Szyper chyba wie, co robi.

Wielkie nieba, ktoś stanął po mojej stronie! No pewnie – doktorek cieszył się, że nie wyznaczyłem jego. Zasłużył sobie chyba nawet bardziej niż ksiądz.

– Wystarczy, ten tego, gadania. Kto ma spać, niech śpi, a kto ma robotę, niech się do niej, ten tego, zabiera.

– Dzięki za wyręczenie mnie, Borysie – powiedziałem. – Trafniej bym tego nie ujął.

* * *

Czułem zarazem rezygnację, wściekłość i rozpacz, patrząc na wesoło migające światełka komunikatora dalekiego zasięgu. Cholerny, nic niewarty wynalazek! Tajfun grzebał

przy nim przez miesiąc na początku lotu i wielkie zero. Gdyby tylko działał...

Pytanie do dowództwa, szybka decyzja władz i poczucie braku odpowiedzialności. Ale nie, ja zawsze musiałem mieć pod górkę!

– Szlag by cię trafił! – nie wytrzymałem. To było głupie wściekać się na martwy przedmiot, ale było mi już wszystko jedno. Do układu Hipostratusa zostały dwa tygodnie.

Odkąd Junior mnie obudził, nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko czy podjąłem właściwą decyzję. – Cholera by cię wzięła, pierdolona kupo szmelcu!

Z całej siły kopnąłem w rząd wielkich diod dolnej płyty urządzenia. Trzasnęło, rozszedł się swąd ozonu. Logo agencji kosmicznej na ekranie nadal wesoło kręciło się w kółko. Miałem wrażenie, że symbol Ziemi zamienił się w drwiące oblicze wstrętnego gnoma.

Jeszcze raz wyciąłem z całej siły, tym razem w klawiaturę kompa.

– Mam to wszystko w dupie! – rzuciłem głośno. – Czym ja się przejmuję?

Najwyżej wyleją mnie z roboty.

Odwrociłem się do wyjścia.

– SPR pięćdziesiąt dwa – dobiegł mnie nagle dźwięczny głos. – Powtórz komunikat.

– Słucham?! Co to za kawały?

– SPR pięćdziesiąt dwa. Przestrzegaj procedury. Dlaczego się dotąd nie meldowałeś?

Dlaczego nie zdjąłeś do tej pory blokady urządzenia? Dlaczego używasz nieproceduralnych zwrotów?

Z głową wykręconą pod dziwnym kątem patrzyłem na komunikator dalekiego zasięgu.

– Dlaczego nie ma wizji? SPR pięćdziesiąt dwa, odezwij się!

– Tu SPR pięćdziesiąt dwa – wyjąkałem. – Mówi komandor Norbert Renko. Nie mogliśmy uruchomić komunikatora. Byłem przekonany, że jest uszkodzony...

– Wystarczyło zdjąć blokadę. Przecież macie przeszkolonego członka załogi! A poza tym każda jednostka otrzymała w pakiecie instrukcję.

– W jakim pakiecie? – spytałem odruchowo, zanim zdążyłem pomyśleć.

– Komandorze, co wy za bajzel macie na pokładzie? Instrukcja została dołączona w pakiecie z planami silników nadświetlnych! Każdy informatyk jednostki powinien to mieć!

– Postaram się to ustalić. Ale mamy tu większy problem.

– Melduj, SPR pięćdziesiąt dwa.

Pierwszy raz widziałem tak przerażonego Tajfuna. Nie powiem, żeby nie sprawiło mi to przyjemności.

– No, gdzie jest ta instrukcja? – pytałem bardzo spokojnie. Wybuch miałem już za sobą. Zanim się obudził, zdążyłem ochłonać. – Że zamiast chodzić na szkolenie łąziłeś po knajpach i burdelach, to już ustaliliśmy. Ale gdzie, kindybane, posiałeś instrukcję?! I co to była za książka, w którą zaglądałeś podczas rzekomej naprawy komunikatora?

Kamasutra?

Dobra, nie jękać się. To teraz nieważne. Gdzie jest instrukcja? Gdzie są plany modułów napędu?

Tajfunowi z przerażenia latała szczęka.

– Jak ci się udało obejść blokadę? – spytał.

– Ja tutaj zadaję pytania! Ale odpowiem ci. Musiałem się napocić i zniszczyłem przy okazji układy optyczne! Nie mamy łączności wizualnej, tylko radiową. Ale dobre i to!

Co miałem mu powiedzieć? Że usiłowałem rozpieprzyć to urządzenie i przy okazji zniszczyłem kamery? Gdyby nie jego indolencja, nie doszłoby do tego.

– Poczekaj, Tajfun. Reszta załogi będzie ci niewątpliwie wdzięczna za zwłokę.

– Reszta załogi wie... – wymruczał niewyraźnie.

– Co?! – tego było za wiele. – Tylko ja nie zostałem o niczym poinformowany?!

Jak zwykle zresztą. Dobra, gadaj, co się stało!

* * *

Dobrze, że nie kazałem budzić wszystkich od razu. Miałem czas trochę się uspokoić, inaczej pewnie bym ich pozabijał. A Borysa z całą pewnością.

– Słuchaj, egzobiologu od siedmiu boleści! – towarzyszyłem mu od kiedy tylko odtworzył oczy. – Czy nie dostałeś zakazu zbliżania się do silników? Czy to u ciebie nałóg?

Jak alkoholizm księdza?

Był równie spanikowany, jak przedtem Tajfun.

– Ja... ja tylko, ten tego, oglądałem... Niczego nie dotykałem, naprawdę!

– Ale to nie przeszkodziło ci wpieprzyć planów do wnętrza modułu, co? Jak ty tego dokonałeś? A, oglądałeś tylko układy? Porównywałeś ze schematami? Ale jak...

Zsunęło się?

Samo się zsunęło?! Mamuniu, to się złościło siamo, Bolysek nic nie popsiuł, a gu!

To cud, że nic nie uszkodziłeś, kretynie! I ta cholerna książka tam cały czas jest?! Wiesz, co by się mogło stać przy jakimś gwałtownym manewrze? Nagłym przyspieszeniu albo hamowaniu?

Rozniosłoby statek na przestrzeni pół parseka! A w najlepszym razie moduł by trafił szlag!

Wiesz, ile lecielibyśmy na Ziemię z podświetlną? Wiesz, ile czasu upłynęłoby na naszej pięknej planecie? Durniu, moglibyśmy zastać cywilizację szczurów albo karaluchów. Albo istot, które kiedyś były ludźmi, ale potem... Cholera wie, co moglibyśmy tam znaleźć! To by było za parę milionów lat!

– Nie tragizuj – zaczynał odzyskiwać rezon. – Gdyby co, przecież ktoś by powiedział.

Ręce mi opadły.

– Mam nadzieję, że pociągną cię do odpowiedzialności, kiedy wrócimy do domu.

A teraz budź pozostałych. Mamy nareszcie wyraźne instrukcje, co zrobić z Krugerem.

* * *

– Nie ma żadnych Stref Opętania. Nie ma żadnych realnych dowodów opętań w tym okrzyczanym rejonie! Wasz kapelan powinien to wiedzieć! Kościół już pięć lat przed waszym odlotem zweryfikował tę tezę, ale podał to do publicznej wiadomości już po rozpoczęciu tego cyklu rejsów. Gdybyście mieli włączony komunikator, byłibyście należycie poinformowani.

Generał był niewątpliwie te dwadzieścia parę lat starszy niż przy naszym spotkaniu podczas ostatniej odprawy, ale po głosie nie szło tego poznać.

– Ale my mamy na pokładzie właśnie przypadek opętania. Rzekłbym kompletnego i doskonałego...

Dziwnie brzmiał własny głos dobiegający z odtwarzacza. Po raz pierwszy moja załoga siedziała zgodnie w skupieniu. Tylko istota jeszcze mniej niż przedtem przypominająca Krugera pętała się swobodnie po mesie. Przez czas dyżuru z księdzem poduczył się naszego języka. W każdym razie dość dobrze go rozumiał, bo z wymową było o wiele gorzej. Odzywały się różnice w budowie krtani.

– Przecież mówię, że nie ma żadnych opętań! – prawie wrzasnął generał.

– No to z czym mamy do czynienia?

– Może coś zezarło waszego nawigatora? I podszywało się przez jakiś czas pod niego, zanim się ujawniło?

Temu staremu dziadymu chyba to samo „coś” wyżarło mózg! Zachowywał się zupełnie jak ten członek Akademii Naukowej, który ujrzawszy żyrafę, powiedział

stanowczo, że takie stworzenie nie ma prawa istnieć.

– Nic go nie zezarło. – Nie wiem, skąd znajdowałem w rozkołatanej duszy tyle spokoju.

– Jeśli wasz kapelan rzeczywiście egzorcyzmami wygnał właściwego ducha...

Cholera – przerwał nagle – co ja bredzę! To, co się stało, nie jest, delikatnie rzecz ujmując, typowe. Jak mogliście w ogóle wpaść na pomysł, żeby go odstawić na tę zakichaną Hagię?!

Jak mogliście przyjąć za pewnik, że ta istota przestała być zupełnie człowiekiem?!

A gdyby nawet, to jakim prawem chcieliście pozbawić naukę szans zbadania tego fenomenu? Macie przywieźć go na Ziemię!

W tym momencie usłyszałem zgodny jęk zawodu. Nie powiem – sprawiło mi to perwersyjną przyjemność.

– A wy – ciągnął bezlitośnie – zostaniecie poddani dodatkowym kompleksowym badaniom. Cholera jasna, czy coś wykastrowało wam mózgi? Może to jakieś czynniki na planecie, którą badaliście? A może to ten obcy, w którego zamienił się Kruger, ma zdolności oddziaływania na waszą psychikę? Bo zachowujecie się jak stado baranów!

Miałem na końcu języka uwagę, że podobne objawy występowały u moich podwładnych już o wiele wcześniej, ale powstrzymałem się. Na dyskusje i cenne spostrzeżenia przyjdzie czas, kiedy dolecimy na miejsce. Wyłączyłem nagranie.

– Słyszeliście sami – powiedziałem do zniesmaczonych członków załogi. –

Wracamy. I nie czeka nas, Boże broń, powitanie z kwiatami czy orkiestrą.

Dostaniecie po dupie za wszystkie sprawki, a ja przy okazji także.

* * *

– Mój wielki ojciec nauczył mnie, jak powinienem żyć. Dostałem drugą szansę, więc chciałem pójść do swojego ludu, aby pod nowym imieniem nieść mu prawdziwą wiarę.

– Jak brzmi to nowe imię?

– Niosący Pomoc Bożym Imieniem.

Muszę przyznać, że ksiądz doskonale zmotywował obcego do powrotu na Hagię.

Cholera, nawet zbyt dobrze! Przez te miesiące normalnie nawrócił go na chrześcijaństwo i to w bodaj najbardziej jego ortodoksyjnej formie! Pewnie nie było to takie trudne, zważywszy, że dla tego nieszczęsnego neofity był w końcu kimś w rodzaju Boga. Spojrzałem na niego pytająco.

– No co? – zachnął się. – Uczyniłem to, co do mnie należało. Jednym z obowiązków kapłana jest nawracanie na prawdziwą wiarę.

– Jasne. Tylko to jego nowe imię jest trochę dziwne. Podejrzewam, że ta zmiana ma związek z twoimi naukami. „Niosący Pomoc Bożym Imieniem”... Przetłumacz je na zrozumiały język.

Skrzywił się z niechęcią. Ewidentnie przyczepiłem się do czegoś, co pragnął

zachować w tajemnicy.

– Znaczy to, co znaczy. Sam słyszałeś, dowódco.

– Nie kręć! Wietrzę w tym jakieś szalbierstwo. Zaraz zaprogramuję translator i sam do tego dojdę. Wystarczy, że zadam poszukiwania we wszystkich możliwych językach.

Oszczędź mi po prostu czasu. Słucham!

– Je... – wymamrotał.

– Nie dosłyszałem. Możesz powtórzyć?

– Jezus! – wrzasnął nagle. – „Niosący Pomoc Bożym Imieniem” albo „Bóg Pomocą”

– Jezus! Tak to można rozumieć.

– Tak to n a l e ż y rozumieć, jak sądzę. Zapomniałeś, że nie wolno ingerować w rozwój obcych cywilizacji? W żaden sposób. Ani technologicznie, ani kulturowo, ani tym bardziej religijnie. Co ty, chciałeś im posłać Mesjasza?

– Obowiązkiem chrześcijanina jest szerzyć prawdziwą wiarę!

Nie poznawałem go. Z całkiem sympatycznego, wesołego alkoholika zmienił się w pierdolniętego kosmicznego Torquemadę. Czyżby taki wpływ wywarła na niego przymusowa abstynencja? To fakt, że przez ostatnie pół roku nie mógł się niczego napić, bo zapobiegliwie zdeponowałem cały zapas alkoholu w bezpiecznym miejscu, to znaczy wywaliłem za burtę.

Nawet jeśli kapelan miał coś zadołowane, nie mogło wystarczyć na długo. Z tego, co jeszcze pamiętałem z wykładów psychologii w akademii, alkoholicy w abstynencji miewają przerost ambicji oraz wielki pęd do sukcesu i władzy. Może miałem do czynienia właśnie z czymś podobnym? Z jakąś cholerną sublimacją i odreagowaniem stresu?

– Odbiło ci, księżu?

– Po prostu rozumiałem, że przez całe życie błądziłem.

W jego oczach płonął fanatyczny apostołski ogień. Nie było o czym dyskutować.

– Szczęście, że dostaliśmy rozkaz powrotu – westchnąłem z ulgą.

– Nie mów mi o szczęściu! – warknął ksiądz. – Tyle trudu pójdzie na marne!

Kruger-Jezus przyglądał się nam uważnie.

– Chcę nieść Słowo Boże moim błędzącym braciom! – oświadczył. – Chcę, by wielki ojciec posłał mnie między swoich...

– No i co ty narobiłeś?!

Ksiądz w odpowiedzi wrzucił tylko ramionami. Odwrócił wzrok. Gdybym chociaż przez chwilę przypuszczał, co się lęgnie w jego misjonarsko rozgorączkowanej głowie, kazałbym go wsadzić razem z Krugerem do ładowni na całą resztę lotu.

* * *

– Hamowanie zakończone.

Herman oderwał wzrok od monitora, przetarł oczy. Junior wziął podręczny kalkulator nawigacyjny.

– Uruchomić procedurę powrotu – rozkazałem.

– Może mała przerwa na kawę? – poprosił pierwszy pilot. – Jestem skonany.

– Nie poznaję cię, Hermanie – uważnie przyjrzałem się jego dziwnie łagodnemu uśmiechowi. – Zresztą nie tylko ciebie. Wszyscy nagle staliście się jacyś bardziej zdyscyplinowani i mniej skłonni do awantur. Knujecie coś?

– Ależ skąd! – jego oburzenie było chyba autentyczne. – Po prostu... – zamilkł.

– Po prostu co?

– Nie, nic. Po prostu postanowiłem być miły dla wszystkich. Odgrywanie twardziela zmęczyło mnie.

Mówiąc to, zerknął za moje plecy. Podążyłem za jego wzrokiem. No tak.

– Rozumiem – pokiwałem głową. – Komunikator. Nie da się być już takim swobodnym, kiedy wiadomo, że w każdej chwili kontroluje cię nie tylko jakiś tam szyper, ale także szycha z Ziemi?

Jego zmarszczone brwi powiedziały mi, że trafiłem w dziesiątkę.

– I tak wam nic nie pomoże. Ani wam, ani mnie. Nie trzeba się wysilać.

– Mam zacząć procedurę powrotu? – wycedził. – Trzeba dać sygnał załodze.

Mogli się powypinać. Dlaczego właściwie nie pozwoliłeś im siedzieć tutaj? W fotelach?

– Idź na tę kawę. Układy może sprawdzić Junior. Koordynaty też da radę sam wprowadzić.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Dobrze, odpowiem, skoro bardzo chcesz. Mam was wszystkich już dosyć! I nie chce mi się słuchać idiotycznych rozmów i debilnych uwag. Jak tylko zbiorę was gdzieś razem, zaczyna się tango. Dlatego wydałem rozkaz rozejścia się do kajut. A teraz idź już.

Patrzyłem na jego plecy, kiedy wychodził ze sterowni.

– Uwaga załoga – rzuciłem w interkom. – Godzina przerwy przed rozpoczęciem następnych manewrów!

Odchyliłem się na oparcie, podłożyłem ręce pod głowę. Ciche komendy wydawane przez Juniora działały usypiająco. Niech się już dzieje, co chce. Niech trzymają nas na kwarantannie i dwa lata! Niech mnie wywalą dyscyplinarnie!

Najważniejsze, że uwolniłem się od wyłącznej odpowiedzialności za ten cały burdel!

– Jak myślisz, Junior – powiedziałem – jak to się stało? To z Krugerem?

– Nie wiem. Po to mamy go zawieźć na Ziemię, żeby można było sprawę zbadać...

– Ale myślisz, że to naprawdę jakiś duch? Słyszałeś przecież. Nie ma żadnych Stref Opętania. To obowiązująca wykładnia.

– No właśnie. I w tym tkwi problem. Sam powiedziałaś, dowódco. Obowiązująca wykładnia.

Otworzyłem oczy, spojrzałem na niego. W skupieniu śledził pojawiające się na wyświetlaczu wykresy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Rzucił mi krzywe spojrzenie.

– Tylko to, co powiedziałem. Kiedy odlatywaliśmy, obowiązywała teza, że przelot przez Strefę Opętania jest niebezpieczny. A teraz wręcz przeciwnie. W co właściwie mamy wierzyć? A może to tylko kolejna sztuczka, żeby nie zrażać ludzi do dalekich lotów?

Bystry chłopak.

– Wiesz, jakoś o tym nie pomyślałem. Jednak ze mnie jest zwykły trep. Zakuty wojskowy łeb. Nie dość, że wredny, to jeszcze niezbyt lotny.

– To nie tak, Norbercie – po raz pierwszy zwrócił się do mnie bezpośrednio po imieniu. – Ty jesteś w sumie porządny gość. Tyle że masz wszystko gdzieś. Chcesz zrobić swoje najmniejszym kosztem i wściekasz się, jeżeli ktoś zażąda czegoś więcej. To dlatego bywasz wredny.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Wiesz, chłopcze, chyba masz rację. To, co powiedziałaś, jest przykre, ale masz rację. Ja mam wszystko gdzieś, zresztą tak samo jak cała reszta.

– O nie! – roześmiał się niespodziewanie. – Nie tak samo! Oni mają to wszystko o wiele głębiej!

Chciałem mu coś odpowiedzieć, ale nawet nie pamiętam co. Nagle statkiem szarpnęło, rozległ się odległy syk, przez podłogę przebiegła wibracja.

– Co to było?! – spojrzałem na Juniora.

– Nie wiem – wlepił oczy w odczyty. – Zaraz... To chyba...

W tej chwili wpadł Herman.

– Co to, kurwa, ma znaczyć? Junior, ty ciulu, co zrobiłeś?

Skończyła się uprzejmość, przemknęło mi przez głowę. Mamy na powrót starego, dobrego Hermana.

– Nic nie zrobiłem, idioto! – poderwał się Junior. – Ktoś odpalił kapsułę ratunkową!

Zaczęli nadciągać pozostali. Wietrzyli kolejną sensację. Borysowi mało oczy nie wyskoczyły z orbit, tak się rozglądał.

– Co jest? Co to było?

– Ktoś odpalił kapsułę ratunkową!

– Kto?

– Cholera wie!

W głowie zaświtało mi straszne podejrzenie.

– Gdzie jest ksiądz?

Nikt nie zwrócił uwagi na moje pytanie. Stali na środku sterowni i wymachiwali rękami. Niech mnie szlag trafi, jeżeli to była profesjonalna i godna zaufania załoga!

– Niech ktoś sprawdzi, co się stało!

– Gdzie jest ksiądz?! – powtórzyłem.

– Może w coś walnęliśmy? A ten syk to powietrze, zanim zamknęły się grodzie?

– Co ty, wtedy mielibyśmy czerwony alarm.

– Gdzie jest ksiądz, do cholery?!?!

Mój głos dopiero teraz przebił się przez chaotyczną paplaninę. Powoli umilkli.

– Czy ktoś widział kapelana? Chcę wiedzieć, gdzie on jest!

– Obawiam się, że tam.

Junior stał przed głównym ekranem, wskazując palcem czerwoną linię wyznaczającą odchodzącą od statku trajektorię. Jej drugi koniec celował w okolice jednej z planet układu Hagii.

– Komputer! Dlaczego kapsuła została odpalona?

W martwej ciszy przyjemny baryton maszyny zabrzmiał nieoczekiwanie głośno.

– Rozkaz człowieka. Priorytetowy rozkaz według procedury cztery alfa. Załoga kapsuły ratunkowej

to jeden człowiek plus jeden obcy...

– Kurwa mać! – nie wytrzymałem. – Dobrał się do tajnych kodów!

– Kto się dobrał, dowódco?

– Jak to kto! Ksiądz! Musiał się nudzić i grzebał w mojej kajucie... Albo szukał

wody i wtedy je znalazł. Wszyscy na miejsca! Herman, Junior, natychmiast pełna moc!

Musimy ich złapać.

Kątem oka zobaczyłem jak załoga zajmuje miejsca w fotelach. Tylko Herman nadal stał na środku pomieszczenia. Wyglądało, że nie zamierza nic zrobić.

– Rusz się, człowieku! Trzeba ich dogonić!

Pokręcił głową.

– Nic z tego.

– A co, jesteś w zмовie z kapelanem?! Ruszaj, to rozkaz!

– Nie da rady – znowu pokręcił głową. – Zapomniałeś, co mamy w module? Nie mam zamiaru się rozwalić tylko dlatego, żeby sprowadzić na pokład dwóch wariatów!

No tak, jak mogłem zapomnieć? Podręczniki w napędzie!

– No, Borysku, masz przechlapane! – Rzuciłem wściekłe spojrzenie w kierunku egzobiologa. – To przez ciebie nie możemy działać!

– Zawróć kapsułę. W końcu, ten tego, jesteś dowódcą!

– Ty kretynie! – wrzasnąłem, nie panując już nad sobą. – Nie da się zawrócić kapsuły ratunkowej! Dlatego nazywa się ratunkowa, że po oderwaniu od statku jest zupełnie samodzielną jednostką! Nie wiedziałeś? Dlaczego jakoś mnie to nie dziwi? Wy wszyscy, kurwa mać, nic nie wiecie!!!

– Nie wydzieraj się – odezwał się Tajfun – tylko nawiąż łączność i spróbuj przekonać kapelana, żeby zawrócił.

* * *

– Mamy misję od Boga! – Twarz księdza była natchniona. Można rzec: promieniowała mocą. W tle było widać Krugera–Jezusa w skupieniu studiującego jakąś książkę. Pewnie Biblię. Nie przypuszczałem, że nauczył się nie tylko mówić, ale nawet czytać. – A ty i profani z Ziemi chcieliście ją przerwać!

– Nie masz żadnej misji, głupku! Nie masz prawa wprowadzać swojej wiary w obcym świecie! Co by to było, gdyby jakaś obca cywilizacja tak postąpiła na Ziemi?

Gdyby się okazało, że Chrystus to ktoś taki jak nasz Kruger?

– A skąd wiesz, że właśnie tak się nie stało?

Opadły mi ręce. Jak miałem skłonić do powrotu tego szaleńca? Postanowił szerzyć chrześcijaństwo na obcym globie i nic nie mogło tego zmienić! Cholera, ilu takich rąbniętych księży mogło teraz przebywać w kosmosie? No właśnie! A na takiego musiałem trafić właśnie ja! Niech nikt później nie mówi, że nie mam pecha!

– Milczysz! – zawołał triumfująco. – Nakaz krzewienia wiary dotyczy całego kosmosu! Nawet taki bezbożnik jak ty nie jest w stanie temu zaprzeczyć! Nieważne, skąd przybywa objawienie. Ważne tylko, że nadchodzi!

– On ma trochę racji – mruknął ktoś za moimi plecami. – Wiadomo to, skąd przychodzą takie dziwne rzeczy? Może do nas też dotarli kiedyś jacyś kosmici?

– Słyszysz? – do kapelana dotarło to, co mówił ten idiota. – Nie trwaj w swych błędach, ale weź swoją arkę i podążaj w poszukiwaniu światów, na których będziesz głosił

słowo!

– Dzięki – odwróciłem się do pozostałych. – Ktoś ma jeszcze jakieś cenne uwagi służące umocnieniu księdza w jego przekonaniach? A może faktycznie skierujemy nasz statek w głąbiny kosmosu, żeby szerzyć prawdziwą wiarę wśród ciemnych cywilizacji?

Proponuję, żeby teraz ktoś z was spróbował z nim porozmawiać? Na ochotnika.

Oczywiście odpowiedziało mi milczenie. Na tej łajbie z reguły trudno było o ochotników.

– W takim razie trzymajcie gęby na kłódkę. Nie potraficie pomóc, to przynajmniej spróbujcie nie przeszkadzać.

– A jeżeli was zgładzą, zanim zaczniecie w ogóle skutecznie działać? – zwróciłem się znowu w stronę ekranu.

– Jesteśmy na to przygotowani – odrzekł ksiądz bez wahania. – Wtedy wejdziemy w szeregi męczenników za świętą wiarę. Nie przestraszą nas żadne groźby! Staniemy twarzą w twarz z szatanem!

Uniosłem ręce. Mało brakowało, a złapałbym się za głowę w geście bezsilności.

Zamiast tego przyglądałem włosy. No i co takiemu powiedzieć? Jakich argumentów użyć?

Nie mogłem zrezygnować z prób wyperswadowania mu tej wyprawy. Musiałem mówić, chociażby

na użytek kontrolerów, którzy sprawdzą każdą sekundę lotu.

– A skąd wiesz, że jego rasa sama nie doszłaby do podobnych zasad wiary sama, w procesie własnego rozwoju? Skąd wiesz, że swoimi działaniami tego nie zaburzysz? Że nie spełnisz roli przypisanej istocie, z którą chcesz walczyć? Skąd wiesz...

– Ha! – przerwał mi. – Wiem, co chcesz powiedzieć! Chcesz rzec mi, nieszczęsny człeku, że sam nieświadomym sługą diabła! – Wycelował w ekran palec. – To jednak wiedz, iż to właśnie ciebie mam za szatana! Przejrzałem cię! To twoje to słowa są kuszeniem najgorszym! Lecz nie muszę słuchać twych plugawych wywodów! Odejdź!

Apage!

Obraz zamazał się i zniknął.

– Przerwał połączenie – powiedział spokojnie Julian. – Słyszeliście go?

Kompletnie mu odbiło!

– Jak on dziwnie mówił – wtrącił Borys. – Ten tego, jakbym czytał jakiś stary foliał.

– To nie był stary foliał – warknąłem. – To był foliał nowy jak cholera, niestety!

Jego własna, autorska księga objawienia!

– Co robimy? – spytał Tajfun. – Musimy coś zrobić!

– Co?

– Lećmy za nimi. Może zdołamy ich jakoś odszukać? Przecież będziemy tam zaraz po ich wylądowaniu!

– Najpierw musimy zasięgnąć opinii admiralicji – zauważył trzeźwo Junior.

– Dzięki, chłopcze, za wyręczenie mnie – rzuciłem z uśmiechem.

Na duszy wcale nie było mi tak lekko. Na samą myśl o rozmowie ze starym pierdzielem dostawałem gęziej skórki.

– No, to teraz mamy całkowicie przejebane... – Herman streścił naszą sytuację na swój chamski sposób, ale jak najbardziej słusznie.

* * *

Chyba dobrze się stało, że nie mieliśmy wizji. Na pewno nie chciałbym zobaczyć twarzy admirała, kiedy opowiedziałem o ostatnich wydarzeniach.

– Ani mi się ważcie lądować na planecie! Macie się nawet do niej nie zbliżać! A ty, synu, spróbuj jeszcze raz przekonać kapelana do powrotu!

– Kiedy on nie chce się z nami komunikować. Nie odpowiada na wezwania.

– Trudno, próbuj! A o waszym lądowaniu, powtarzam, mowy nie ma! Gdyby się tutaj ktokolwiek dowiedział... Wyobrażasz to sobie? Zaraz by był krzyk, że łamiemy porozumienia w sprawie eksploracji kosmosu! I to teraz, kiedy... Nieważne. Uważam, że jednak tamtych na Hagii ktoś załatwi, zanim zdążą się dobrze rozejrzeć. Prorocy mają raczej ciężkie życie. I zazwyczaj krótkie.

– Co mamy w takim razie robić?

– Wracać. Zaraz otrzymasz dokładne instrukcje w tej sprawie. Coś jeszcze?

– Nie – zawahałem się. – A właściwie tak. A jeżeli im się jednak powiedzie?

Trzeba się liczyć z tym, że jednak może im się udać zaszczepić nową wiarę.

– No cóż – w głosie starego zabrzmiała dziwna nuta. – Konsultowałem się z moimi zwierzchnikami – cholera, przecież jego zwierzchnikiem był tylko rząd, a właściwie prezydent! – Nie ma tego złego, co by... i tak dalej.

– Nie rozumiem.

Admirał odchrząknął.

– Jeśli kiedykolwiek zdecydujemy się jednak na kolonizację zamieszkałych planet, sytuacja, w której tubylcy będą wyznawać taką samą albo pokrewną religię, może być dość, jakby to powiedzieć... korzystna.

– Czy dobrze rozumiem, że w sprawie kolonizacji następuje zmiana stanowiska?

– Na razie delikatnie badamy teren. Ale może w niedalekiej przyszłości...

Odkąd pamiętam, mniej lub bardziej delikatnie badali teren w tej sprawie i nigdy nic z tego nie wychodziło. Czyżby do władzy dorwali się wreszcie twardogłowi?

Zwolennicy bezwzględnej eksploracji w stylu Corteza i Pizarra? To jego nieopatrzne i niedokończone „i to teraz, kiedy...”.

– Może mi pan powiedzieć, co się tam u was dzieje?

Założę się, że w tej chwili zagryzł wargi.

– To, czego można się było spodziewać po latach rządów partii miłujących życie.

Mamy cholerne przeludnienie! To powinno ci wystarczyć za odpowiedź.

Powinno? Miałem ochotę zadać jeszcze z milion pytań, ale dałem sobie spokój. I tak nie będę wiedział, czy mówi prawdę. Czy w ogóle może powiedzieć prawdę. Trzeba jak najszybciej wracać do domu, zobaczyć wszystko na własne oczy.

– No dobrze, synu – odezwał się po chwili. – Jesteś gotów odebrać dokładne instrukcje?

Też pytanie! Na dokładne instrukcje czekałem od niepamiętnych czasów!

* * *

– Jeśli dobrze rozumiem – Tajfun wlepił we mnie spojrzenie – to nasz szalony kapelan może jeszcze wyrosnąć na wielkiego bohatera.

Wzruszyłem ramionami. Co miałem powiedzieć?

– Strasznie, ten tego, niezdecydowane to nasze dowództwo, nie uważacie?

– Aż strach wracać – dorzucił Julian. – Co tam się dzieje na naszej wspaniałej planecie?

– Ty, drogi Julianie – odezwał się Junior – nie masz co się nad tym zastanawiać.

Urwałeś się katu ze sznura. Docień swoje szczęście. I dziękuj do końca życia zbiegowi okoliczności. I poniekąd księdzu.

Doktor rzucił mu ponure spojrzenie.

– Zgadza się – przytaknąłem. – Idiotyczny wyczyn naszego klechy być może uratował nam tyłki. Mam wrażenie, że na Ziemi panuje wcale nie gorszy bajzel niż niedawno na naszej wzorowej jednostce. Nie bardzo wiedzą, co się właściwie dzieje i co może się wydarzyć jutro. Polityczny kocioł. Chyba będziemy mieli zmianę opcji w sprawie kolonizacji.

Przeludnienie, tyle wiem i z tego mogę wyciągać wnioski. Zapewne piękne słówka o szacunku dla obcych cywilizacji straciły mocno na aktualności. Zdaje się, że nie możemy czekać, aż zakończy się terraformowanie tych wszystkich światów, które można przystosować dla pionierów, i nasi przywódcy skłaniają się ku opcji kolonizowania miejsc już zajętych. Wyobrażacie sobie, jaką potęgę wtedy stanowiłaby misyjna działalność takich typów jak nasz księżulo? Oczywiście oficjalnie ani dudu na ten temat, ale po cichutku...

Niech to diabli, coś mi się wydaje, że wytyczyliśmy niechcący nową ścieżkę w dziejach zdobywania kosmosu. Ale też niech mnie szlag trafi, jeżeli jestem z tego powodu zadowolony!

– Nie tragizuj, ten tego – skrzywił się Borys. – Najważniejsze, że nam nic nie zrobią...

Herman wodził pytającym spojrzeniem po naszych twarzach.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, o czym mowa? Kiedy przedtem szyper trzymał

gadkę, robiłem przegląd modułów. Nie, Norbercie, nie udało mi się wyciągnąć instrukcji.

Zaklinowała się między układem kontrolującym wyważenie a licznikami neutrin.

Nie do ruszenia bez zrywania połowy połączeń. No to jak, usłyszę jakieś wyjaśnienie? Co nas czeka po powrocie?

– Wyjaśnienie jest bardzo proste – wyręczył mnie Tajfun. – Czego się możemy spodziewać, słyszałeś. A co do nas, mamy trzymać mordę w kubek o tym, co zaszło naprawdę. Oficjalna wersja brzmi, że na pokład przedostała się obca, nieinteligentna forma życia, śmiertelnie groźna, a kapelan poświęcił swoje życie, żeby ją zwabić na pokład kapsuły ratunkowej i odpalić się z nią w przestrzeń.

– A co my będziemy mieli z tego krętactwa?

– Wszystko. Wypłaty, premie, a co najważniejsze, dochodzenie będzie tylko dla picu. Dowódca może zniszczyć wszystkie kompromitujące materiały. Dostał już klucz dostępu do pamięci kompa. Będzie co robić, prawda? [tak zostawmy, bo poprawka zmieniała sens i intencję] – wykrzywił się złośliwie w moim kierunku.

– Trzeba jeszcze uzgodnić szczegóły zeznań – mruknął Borys. – Bez tego, ten tego, ani rusz.

– Właśnie – teraz ja mogłem wykrzywić się złośliwie. – Nikt nie pójdzie spać, zanim nie zostanie ustalona spójna wersja wydarzeń. Łącznie z tym, w jaki sposób zniknął jeszcze jeden członek załogi. Zapominacie, że wracamy także bez Krugera, który pewnie niebawem zacznie głosić obcemu światu dobrą nowinę. Jak to pięknie ujął Tajfun, nasi przeprowadzą dochodzenie tylko dla picu, ale czeka nas też międzynarodowa komisja, której nie możemy przecież powiedzieć słowa prawdy. Jej zatajenie to jeden z warunków pozostania bezkarnymi.

Jakieś cenne uwagi, załogo?

Milczeli przez chwilę. Chyba po raz pierwszy mogłem dostrzec w ich twarzach oznaki prawdziwego zaangażowania w procesy myślowe.

– A może by olać wszystko i jednak powiedzieć, jak było? – Julian poskrobał się po głowie. – Nasi się przestraszą, a wtedy i tak nic nie zrobią. A my nie będziemy musieli kombinować.

– Gdyby nawet, to może nikt nam nie uwierzyć, pierdolony idioto! – Herman uznał, że skoro zapisy i tak będą kasowane, nie musi już sobie żałować. – A poza tym dopiero by nam dali popalić! Słyszałeś przecież, nie ma już żadnych duchów ani Stref Opętania!

– Co w takim razie stało się Krugerowi twoim zdaniem?

– Nic, kretynie! Ocipiał i tyle!

– Sam jesteś kretyn! – syknął Tajfun. – Doktor tylko rzucił pomysł. Masz lepszy?

Bo ja mam. Pozbądźmy się od razu kochanego pierwszego pilota! Junior sam sobie da radę!

Zeznamy, że Kruger z Hermanem posprzeczczeni się i urządzili sobie pojedynek w sondach badawczych. Obaj zamknęli oczy, dali pełny ciąg, obierając kurs na zderzenie.

Żaden nie chciał ustąpić. Gruchnęło, pieprznięło, a potem nie mogliśmy znaleźć po nich najmniejszego śladu! Wyobrażacie sobie ten komfort? Czyż to nie kuszące? Do samej Ziemi bez oglądania wrednej mordy Hermana!

– Ty świnió!

Skoczyli sobie do gardeł.

– Spokój, koledzy! – zawołał Borys. – Przestańcie się, ten tego, kompromitować.

– Sam się kompromitujesz! – wsiedli na niego obaj.

Wyszedłem. Nie miałem ochoty tego wysłuchiwać. Prędzej osiwieję, niż oni dojdą do jakiegoś porozumienia.

Chyba wolałbym już normalne dochodzenie dyscyplinarne.

To będzie cholernie długi lot.

Moc okrucu

– Wasze wysokobłagarodije! Wasze wysokobłagarodije! – głos niósł się po ogromnej hali niczym echo w górach i hucząc, wracał do właściciela, by wwiercić się w uszy nieprzyjemnym pogłosem.

– Wasze wysokobłagarodije! Baronie, gdzie pan jest?

W hali, pełnej dziwnych i niezrozumiałych dla wiejskiego chłopaka urządzeń, łatwo byłoby zgubić niedźwiedzia, a co dopiero małego, zaszuszonego staruszka, jakim był

baron.

– Czego chcesz, Stiopa? – Dołgoruki wyszedł z czegoś, co posłańcowi kojarzyło się z kanciastym piecem, a do czego panowie naukowcy odnosili się z wielkim respektem, jakby

się tego nieco obawiali.

– Jakub Fiodorycz prosi w ważnej sprawie.

Jakub Fiodorycz zawsze i wszystkich prosił w ważnych, niecierpiących zwłoki sprawach. Innych w ogóle nie miewał.

– Tym razem, jak mi się zdaje, sprawa jest naprawdę ważna – powiedział Stiopa, widząc, że baron krzywi się niechętnie. Ściszył głos do konfidencjonalnego szeptu: –

Golinow, ordynans porucznika Liwskiego, powiedział mi w zaufaniu, że zamierza do nas zjechać na dniach sam Grigorij Jefimowicz...

Baron zmarszczył siwe brwi.

– Kto?

– Grigorij Jefimowicz Rasputin. Własną osobą.

– Ten Rasputin? Mnich?

– Nie inaczej. Ten, o którym powiadają, że uleczył z choroby carewicza. To pono święty człowiek.

Baron westchnął ciężko.

– No dobrze, chłopcze. Powiedz Jakubowi Fiodoryczowi, że już idę.

* * *

Połynow przechadzał się przed biurkiem. Na widok barona nerwowo zatarł ręce. W

fotelu pod oknem złożył swoje długie ciało doktor Faeton Piotrowicz Selifanow, przewodniczący Rady Naukowej Projektu. Baron przysiadł skromnie na twardym krześle z

boku konferencyjnego stołu.

– Hm, tak, jakby tu powiedzieć, drogi Aleksandrze Aleksandryczu... – zaczął

Połynow, starannie unikając wzroku Dołgorukiego. – Mam, jakby tu powiedzieć, nowinę ważną wielce, aczkolwiek niepomyślną, jak sądzę, niestety.

Radca tajny Jakub Fiodorycz Połynow miał zwyczaj wyrażać się zdaniami w jego mniemaniu wyszukanyymi, okraszonymi straszliwym śmietnikiem dookreśleń, oczywistości,

licznych obejść i nieporadnych eufemizmów.

– Jakąż to nowinę, drogi radco?

Połynow oblizwał wargi prędkim ruchem języka. Wyglądał przy tym jak zaniepokojony wąż.

– Zapowiedział się do nas z wizytą, jakby tu powiedzieć, czysto kurtuazyjną, jak to mi oznajmiono, czcigodny Grigorij Jefimowicz Rasputin...

– A dlaczego, drogi radco, raczył pan użyć słów „niepomyślna” i „niestety”, zapowiadając wizytę tego człowieka? – zapytał Dołgoruki surowo.

Połynow wytrzeszczył nań oczy i głośno przełknął ślinę.

– Ja, ten tego, jakby tu... Nie chciałem wszakże nikogo urazić ani tym bardziej stać się jakby przyczyną czyjegokolwiek zgorznięcia, że tak się wyrażę. Aczkolwiek mógłby pan baron odnieść mylne, jak sądzę, wrażenie...

Dołgoruki z prawdziwą przyjemnością słuchał nieporadnego paplania kierownika placówki. Uwielbiał go drażnić i wprawiać w zakłopotanie. Połynow z kolei nie bardzo wiedział, co ma sądzić o jedynym w całym zespole naukowym prawdziwym arystokracie.

Co

taki może myśleć i jakie są jego poglądy, z którymi nigdy się nie zdradza? Dlaczego to nie

jemu poruczono kierowanie projektem, choć taki podobno dla nauki zasłużony? Jak tu do niego podejść? Baron doskonale zdawał sobie sprawę z targających Jakubem Fiodoryczem

wątpliwości i bawił się jego niepewnością.

Teraz przyjacielsko klepnął radcę w ramię.

– Niech pan da spokój tłumaczeniom, Jakubie Fiodoryczu. Przecież żartowałem. To tylko tak, z pustości.

Połynow odetchnął z ulgą.

– Pozwoliłem sobie zaprosić panów, gdyż trzeba zdecydować, co wypada nam, że się tak wyrażę, począć w zaistniałej sytuacji, ekskuzmi maj lords, nieco przykrej, niestety.

Połynow znał języki obce bardzo słabo, mimo to ogromnie lubił ich używać w rozmowie, szczególnie w towarzystwie osób z wyższych sfer. Chcąc być przy okazji oryginalny, starał się mówić nie po francusku, ale po angielsku. Był przy tym pełen najlepszych chęci, ale nawet najlepsze chęci nie były w stanie niczego zdziałać.

– Kiedy ma tu być?

– Nie dalej niż pojutrze, jak mi doniesiono.

– Mnie na początek dręczy inne pytanie – odezwał się ze swojego fotela Selifanow. –

Kto mianowicie doniósł Rasputinowi o tym, co się tutaj dzieje? I w ogóle o tym, że nasza placówka istnieje?

Połynow podjął z powrotem swój marsz wzdłuż biurka.

– Czy to takie istotne?

– Nie wiem – Selifanow wzruszył ramionami. – Ale warto by wiedzieć, skąd wyszła informacja. Przecież wszyscy zostaliśmy zaprzysiężeni do zachowania tajemnicy.

Baron chrząknął. Spojrzeli na niego.

– Chciałbym wiedzieć, czemu ten człowiek, o którym słyszałem, jakoby wyleczył

carewicza z hemofilii, jakkolwiek idiotycznie by to nie brzmiało, wybiera się tutaj i, co ważniejsze, dlaczego ma to nas aż tak mocno niepokoić?

Selifanow pokręcił głową.

– Nic pan nie wie o obecnych stosunkach na dworze, Aleksandrze Aleksandryczu, czy tylko pan udaje?

– Coś tam słyszałem, ale plotki nigdy mnie specjalnie nie zajmowały.

– A szkoda, baronie, a szkoda – Selifanow uśmiechnął się. – Gdyby pana zajmowały choć trochę, wiedziałby pan, że od przeszło roku najważniejszą figurą na dworze jest niejaki

Rasputin. Odkąd wyleczył, jak powiadają, małego cara, cesarzowa świata poza nim nie widzi,

a gdzie baba... – przerwał i machnął ręką. – W każdym razie, kiedy byłem kilka miesięcy temu w stolicy – podjął po chwili – sam mogłem naocznie się przekonać, kto faktycznie sprawuje rządy.

– A car? – zapytał baron. – Zawsze wydawał się dość rozsądnym człowiekiem.

– Car? – Selifanow wzruszył ramionami. – Car ma coraz mniej do powiedzenia.

Niedługo... kto wie...? Jego też ponoć opętał ten mnich. On jest... Co tu dużo gadać. Sam pan zobaczy, co to za figura.

– Oszust?

– Rzekłbym raczej, że sprytny szarlatan.

Jakub Fiodorowicz Połynow słuchał coraz bardziej zaniepokojony.

– Panowie, panowie! – ściszył głos prawie do szeptu. – Przywołuję was do porządku!

Myśleć możecie sobie, że się tak wyrażę, co chcecie, ale kto jak kto... – zaciął się na moment

– ale my, na odpowiedzialnych stanowiskach, powinniśmy być w każdej sytuacji tu bi ol rajt.

Baron skrzywił się boleśnie, słysząc kolejny wybuch podłej angielszczyzny, a radca tajny ciągnął dalej:

– Zamiast robić sobie, jakby tu powiedzieć, kpinki, lepiej zastanówmy się, jak mamy postąpić w sprawie naszego gościa. Mamy pokazać świętemu człowiekowi, z czym tu, a raczej z kim, mamy do czynienia, czy też... – zawiesił głos.

Dołgorukij uniósł brwi.

– Niechże pan będzie poważny, Jakubie Fiodoryczu. Pan chce to wszystko ukryć?

Jak? – A kiedy radca milczał, kontynuował: – Toż to zupełnie niemożliwe. A poza tym nasz

gość na pewno wie dokładnie, czego się tutaj spodziewać. Jeżeli opętał jego wysokość Mikołaja, możemy przyjąć z dużą dozą pewności, że wie dokładnie to samo, co car.

Gdyby

tak nie było, nie zjeżdżałby do nas zapewne, bo i po? Ale że też nasz batuszka tak zgłupiał...

– Ciszej, baronie, ciszej. Za takie słowa można powędrować, że tak się wyrażę, wie pan, do okolic niezbyt odległych... Przecież...

Przerwał mu śmiech Selifanowa.

– Do okolic niezbyt odległych? Czym pan nas straszy! A gdzież my indziej jesteśmy?

Czyż nasza Wanawara to nie regularna Syberia?!

– Wszelako... wydaje mi się... To co innego, jakby, pracować tutaj przy naukowym projekcie, a co innego...

– Dajmy już spokój – wtrącił się baron. – Jakub Fiodorycz ma rację. Im ktoś ma dłuższy język, tym krótszy założy mu łańcuch. A naradzić się będzie sens dopiero, kiedy rozeznamy, w jakim naprawdę celu przybywa nasz gość. I czy w ogóle ma jakiś konkretny

cel.

– Z tego, co o nim wiem – zauważył cierpko Faeton Piotrowicz – jego cele są zawsze bardzo konkretne.

* * *

– Oj Liwski, Liwski, kiedy przestaniesz w końcu oszukiwać, przeklęty Polaku? –

Gruby porucznik artylerii Gribow klepnął swego towarzysza w ramię.

– A ty, Saszka, kiedy zaczniesz w końcu myśleć, chłopie? Jak ty sobie wyobrażasz, że ja oszukuję przy poniterowaniu?

– Nie wiem jak, Pawle, ale nie można tak bezczelnie wciąż wygrywać! Daj innym szansę! Dobrze gadam, koledzy?

– Dobrze! – odezwały się głosy oficerów. – Pewnie, że dobrze! Niech Paweł odejdzie od stołu

choć na dwa rozdania!

W tej samej chwili wszedł ordynans Golinow.

– Melduję posłusznie, panie poruczniku, prosi pana do siebie profesor Dołgoruki.

Liwski skinął głową kolegom.

– Wybaczą panowie...

– Nie podoba mi się ten Paweł – powiedział Gribow, kiedy tylko drzwi zamknęły się za Liwskim. – Niby nasz, a jakiś taki... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa, aż w końcu machnął ręką – ...nie nasz. Z ordynansem gada jak z równym, w pysk mu nie da nawet

raz w roku... Ci Polacy nigdy nie zruszczą jak należy... A taki ci dobry, koleżeński, niezawistny, uczynny... zupełnie jakby coś knuł. Tak ci mnie czasem zgniewa tą swoją demokracją i prawością, że muszę sobie ulżyć, moją Miszkę solidnie w gębę wyciąwszy,

choć nie mogę powiedzieć, nawet lubię chłop, bo dobry z niego służący. Ech, nie podoba mi się ten Liwski, oj nie podoba...

Na chwilę zapadła cisza. Panowie oficerowie rozważali słowa artylerzysty.

– Diabli z Liwskim! – wrzasnął nagle Gribow i rąbnął pięścią w stół. – Niech tam on sobie będzie, jaki chce. I tak lepszy od tej niemieckiej hołoty, co się przy nas pęta od piotrowych czasów! Pić przynajmniej umie, słowiańska dusza. I za to go lubię! I w ogóle to ja

go jednakowoż szanuję, bo dobry z niego oficer i kolega! Napijmy się!

Zapanował radosny gwar. Z trudem przebił się przezeń jeszcze głos Gribowa.

– A taki, z drugiej znowu strony spojrzawszy, choć niby równy chłop, ja bym go zesłał na Sybir, tak od wypadku!

– A ty myślisz, Saszka – odezwał się kapitan Wereszczakow – że co on, w nagrodę przywiózł tu dupę?!

Rozległ się gromki śmiech.

* * *

Major ochrony Szmit spoglądał na Golinowa z wyrazem niesmaku na nalanej twarzy.

– No, i co tam mówili?

– Niewiele słyszałem, wasza wielmożność, bo bardzo cicho rozmawiali, a ucho nijak było do drzwi

przyłożyć, gdy co chwila gwardzista przechodził, z tych, co tam straż trzymają.

Tyle że kiedy porucznik wychodził, baron jeszcze mu powiedział: „I tak, jak się umawialiśmy, z najwyższą ostrożnością, żeby nie było awantury, bo ten człowiek, jak słyszałem, czujny jest niczym żuraw”.

Szmit zmrużył oczy.

– Awantury żeby nie było, powiedział nasz profesorek?

– Nie inaczej, wasza wielmożność.

– Znaczy, wie dokładnie, kto to taki Grigorij Jefimowicz Rasputin. A udaje, że nie bardzo wie... Taki jak on, to gad najgorszy: niby nie wie nic, a pojmuje wszystko i o wszystkim zdanie swoje ma. Ptaszek niezwykły z naszego barona. Niezwykły i, zdaje mi się,

niebezpieczny...

– I ja tak ośmielam się myśleć...

Szmit poczerwieniał.

– Ty, skatina, nie ośmielaj się tutaj myśleć! Donosić masz, ot co! – Złagodniał raptem.

– A co tam z piaskogłowcami słychać?

– Ten ich korab, powiadają, że za dwa dni ma być. Wyląduje jak zazwyczaj około południa...

– Powiedz wreszcie coś, czego nie wiem!

– Maszynę mają zabrać do naprawienia u siebie, bo nasi nijak rady z nią sobie dać nie mogą...

– Tyle wiem i bez ciebie, ścierwo! – wrzasnął nagle major. – Z meldunków i raportów zupełnie oficjalnych. Źle, oj źle ty coś ostatnio pracujesz, Golinow. Słabo się starasz. A wiesz, co jest za słabą pracą? – zawiesił głos, czekając na odpowiedź.

– Słaba płaca? – niepewnie zapytał ordynans.

– Żadna płaca! – ryknął radośnie major. – Kop w dupsko, ot co! Staraj się lepiej, parszywcu, bo jak mnie cierpliwość opuści...! – zawiesił groźnie głos. – A teraz, jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia, won!

Golinow w odpowiedzi uśmiechnął się przebiegle.

– Jest coś jeszcze, wasza wielmożność.

– Gadaj!

– Sami oceńcie, czy to nie warte nagrody... Słyszałem jeszcze, zanim na samym początku drzwi zamknął za sobą porucznik, jak baron Dołgoruki powiedział do niego

„Witam, towarzyszu Liwski”... Au, za co?! – złapał się za policzek.

Major natychmiast poprawił z drugiej strony, jeszcze mocniej.

– Takie rzeczy, ścierwo, mówi się na początku, a nie zawraca głowę głupotami! Gdzie on teraz jest? Polak znaczy.

– Poszedł z powrotem grać w karty...

* * *

Liwski stanął w drzwiach, bez specjalnego zainteresowania patrząc na zabawę pijanych kolegów. Właśnie inscenizowali szarżę kirasjerów francuskich pod Waterloo.

Sławnym feralnym wężem, w którym utknęła jazda, były stoły, a rumakami niższe szarże.

Griwow grał Napoleona. Prawą rękę wsunął za pazuchę, a lewą wskazywał stoły.

– Naprzód, dzieci!

Z wrzaskiem ruszyli do natarcia. Napoleon zagrzewał ich okrzykami.

– Czego? – odwrócił się, gdy Liwski pociągnął go za rękaw. Przez chwilę słuchał, co porucznik ma do powiedzenia. Nagle pobladł.

– Cisza, panowie! – rozdarł się na cały, potężny głos. – Cisza i trzeźwieć natychmiast, psia wasza mać! Trzeźwieć i to zaraz!

– Co się stało, Saszka? Szalejuś się objadł? – zawołał ktoś.

– Stulić pyski i na stanowiska! Rasputin przyjechał!

Gwar ścichł jak ucięty nożem. Ostatni kawalerzyści walili się jeszcze na podłogę.

Porucznik saperów Niewzdajew spojrzał nieprzytomnie.

– Jak to przyjechał? Nie rozumiem, co znaczy przyjechał. Miał być dopiero pojutrze...

– Ale jest dzisiaj. Trzeźwieć i na stanowiska!

Zbierali się, klnąc pod nosem.

– Daj mi w pysk, Grisza, bo zaraz padnę, takim spity...

– A idź do diabła! Łeb sobie zmocz przy studni, to ci przejdzie.

– Daj w pysk, bracie. Gdzież do studni o tej porze? Przy studni gwardziści noc całą przecie pilnują, by jaki anarchista czy inny socjalista trutki nie nasypał... Nikogo nie puszczą... Daj w pysk, serdeńku... Jak brata cię proszę.

Rozległ się trzask policzka.

– Dzięki, bracie rodzony, dzięki. Od razu lepiej...

* * *

W przestrzeni kosmicznej, w bliskim sąsiedztwie Ziemi, okruch skalny, krążący dotąd po bardzo regularnej orbicie, nagle drgnął, wytracony z leniwej niezmienności odwiecznego

ruchu. Gdyby był istotą żywą, nawet mało rozumną, zaburzenie to wprowadziłoby go w stan czujności i niepokoju. Był jednak tylko zimnym kamieniem. Ujęty w kleszcze niewidzialnej siły, powoli zmienił kierunek i podążył niespiesznie w stronę niedalekiej planety, powoli, ale posłusznie zamieniając ruch kołowy w ciasną spiralę.

* * *

Gribow, wbrew temu, co można było sądzić po jego zachowaniu w kantynie, był najzupełniej trzeźwy. Patrzył na Golinowa, stojącego przed nim w swobodnej pozie.

– Powiedziałaś Szmitowi, co trzeba?

Odpowiedzią było energiczne kiwnięcie głową.

– To dobrze! A teraz musisz zniknąć.

– Nie bardzo rozumiem...

– Nasz pies gończy jak nic będzie chciał się popisać przed Rasputinem. Jeżeli ten każe mu wskazać element politycznie niepewny, a tak pewnie będzie, zabierze się do Liwskiego,

nie sądzisz?

Golinow podrapał się po głowie.

– Tak, to niewykluczone.

– To pewne! – Gribow poniósł głos i zaraz go ściszył. – To nam nawet na rękę, bo ten stary pierdun, Dołogruki, sam za wiele nie zdziała. Ale też nie spodziewaj się, że Szmit przy

okazji nie dobierze się i do ciebie. Dziwne by było, gdyby oszczędził ordynansa podejrzanego

oficera, prawda?

– Przecież on jest przekonany, że jestem tylko i wyłącznie jego informatorem... Chyba by tego nie zrobił...? – powiedział Golinow niepewnie.

– Nie liczyłbym na jego lojalność – roześmiał się Gribow. – Dlatego lepiej będzie dla ciebie, jeżeli znikniesz. Możesz iść nawet na placówkę do Kolcowa i Ababy. Tam nikt cię szukać nie będzie, a kiedy Rasputin wyjedzie, spokojnie wrócisz.

* * *

Rasputin roztaczał wokół siebie aurę władczej charyzmy, niesamowitej pewności siebie i niemytego ciała, a wszystko to zaprawione charakterystycznym odorem zarówno przetrawionej, jak i świeżo spożytej gorzałki.

– Gdzież to są owe naukowe głowy, co tu niby rządzą? – zagrzmiął zaraz po przekroczeniu progów gabinetu Połynowa. – A, to wy! Wyglądacie bardziej jak zasuszone korniki niż ludzie, he, he! – Do wygłoszenia tego właśnie dowcipu musiał przygotować się

dużo wcześniej, bo i Połynowa, i Selifanowa trudno było uznać za chudzielców. W całym towarzystwie jedynie Dołgoruki był naprawdę szczupły.

Baron uważnie przyglądał się przybyszowi. Pod prymitywną, dziką twarzą i chamskim obejściem kryje się spryciarz nie lada – ocenił – pełen zwierzęcego instynktu i nieludzkiej wprost przebiegłości. Emanowała z niego prawie namacalnie niezwykła siła – groźna, agresywna i złośliwa, przywodząca na myśl skojarzenie z rozżartym rosomakiem, przed którym umyka nawet dumny tygrys.

Połynow skłonił się nisko.

– Witamy w naszych skromnych, jakby tu powiedzieć, progach, tak świetnego gościa.

Bądźcie sobie radzi, jak sądzę, tak jak my, że się tak wyrażę, radzi wam jesteśmy, dir džentelmen...

– Czyli nie bardzo, co? – zahuczał Rasputin. – Bo na radych z mojej wizyty to wy nie wyglądacie! – Beknął przeciągle. – A ja głodny jestem. I spragniony. Jeść i pić póki co dajcie,

a i kurwę jaką nie w ostatku. Macie tu chyba burdel, czyż nie? Jak nie, może być koniec końców jakiś młody oficerek! – zarżał radośnie.

Ciekawe, czy tak samo zachowuje się przy carskiej rodzinie, pomyślał baron. Może i tak, skoro, jak powiadają, opętał cara i cesarzową, podporządkowując ich sobie zupełnie.

* * *

– Posłuchajcie, Filipie Johanowiczu – powiedział Rasputin. Szmit miał nieprzyjemne wrażenie, że oczy mnicha przewiercają go na wylot. – Jak łatwo się domyślić, nie przyjechałem z kurtuazyjną wizytą. Mam dla was polecenia od samego Mikołaja.

Szmit zeszytniał. Od Mikołaja! Myślałby kto, że jest z carem po imieniu! Chociaż, kto wie...? Tymczasem Rasputin ciągnął dalej.

– Korab piaskogłowców trzeba koniecznie przejąć. To kwestia racji stanu. I nie pytajcie, dlaczego. Jeśli zadacie takie pytanie, dowiedziecie swojej nieprzydatności.

Majorowi nie w głowie było o cokolwiek podobnego pytać. Nie w tej chwili. I na pewno nie Rasputina.

– Ale jak, Grigoriju Jefimowiczu? Toż nasi naukowcy podniosą krzyk i lament...

– Przekłęci jajogłowi – warknął Rasputin. – Nie będziemy sobie nimi zawracać głowy, majorze Szmit. Przyjmuję, że naukowcy to zawsze element wywrotowy – libertyni i socjałowie! O, właśnie, pewnie wśród tych ludzi są jacyś socjaliści albo i gorsze męty polityczne. Są? Na pewno tak...

– Coś się znajdzie, jeśli dobrze pogrzebać...

– W takim razie, drogi Szmit, grzebcie, grzebcie, bo może uda się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu tak, żeby w dodatku paluchy poparzył ktoś trzeci. I nie patrz tak

na mnie, majorze. Wy w ochronie uważacie za niebezpiecznych tylko anarchistów, a lekce

sobie ważycie socjalistów i komunistów. A ja wam powiadam, że to właśnie oni są naprawdę

groźni! Im prędzej wytępi się to ścierwo, tym dłużej ojczulek car będzie nam miłościwie panował. Pamiętajcie o tym w każdej chwili waszej służby... Bo wasza korzyść przy nim, Szmit, tylko przy nim...

* * *

– Rejon Podkamiennej Tunguzki stanowi regularna tajga, okraszona mokradłami i miliardami moskitów, letnią porą unoszących się w powietrzu na kształt gęstej mgły. Ze względu na te owady ludzie bardzo niechętnie wychodzą z bezpiecznej, okrytej moskitierami

bazy na spotkanie z przybyszami. Piaskogłowcy nie chcą z kolei wchodzić do budynków ani

nawet do namiotów, zupełnie jakby budziły w nich lęk. – tłumaczył Rasputinowi Faeton Piotrowicz lekko drżącym, nieco drewnianym głosem. Zapewne napisał sobie przemówienie

poprzedniego wieczora i wyuczył się na pamięć, żeby nie powiedzieć ani za mało, ani za dużo. – Nasi goście wolą pozostawać na zewnątrz. Moskity zupełnie im nie przeszkadzają.

Skład krwi obcych odbiega od naszego na tyle, żeby komary nie miały z niej pożytku. Z

jakich powodów wybrali sobie bezludną okolicę dla podjęcia kontaktów z ludzką rasą, tego

nikt nie wie, a oni najwyraźniej unikają w rozmowach tego tematu. Mam wrażenie, że sprawdzają,

czy w ogóle warto się z ludźmi zadawać, zanim podejmą jakiś szerszy kontakt.

Przylatują we dwóch, trzech, rzadziej pojedynczo, chyba że mają w planie zabrać większy ładunek, tak jak teraz zepsutą maszynę.

– Skąd pochodzą?

– Tego nie chcą ujawnić. Są na ten temat pewne podejrzenia, hipotezy, spisane w broszurze profesora Kamieniewa. Czy dostarczyć ją wam, Grigoriju Jefimowiczu?

Rasputin obdarzył go wściekłym spojrzeniem. Selifanow zmartwiał, pojmując, jaką palnął gafę. Boży człowiek, o czym powszechnie wiadomo, był analfabetą. Nie krył się z tym, deklarował nawet, że jest to powód do dumy, ale wszystko, co mógł traktować jako najmniejszą nawet aluzję do swej niegramotności, budziło w nim wściekłość. Szczególnie jeśli ktoś, kto mu o tym przypominał, sam był jakimś tam gryzipiórkiem.

– Zresztą, wszystko to bzdury – powiedział prędko Faeton Piotrowicz. –

Przypuszczam, że wszelkie dane, jakie zebraliśmy o piaskogłowcach, są jedynie tym, co oni zechcieli nam przekazać w najbardziej kontrolowany sposób.

– Znaczący, są nieszczerzy?

– Rzekłbym raczej, że ostrożni.

Rasputin skrzywił się niechętnie i podrapał za uchem. Potem przybrał godną pozę.

Podpatrzył ją z pewnością u jakiejś pałacowej rzeźby, ocenił Selifanow.

– Chcę ich zobaczyć – oznajmił mnich uroczyście. – Miałem widzenie. Oni pomogą nam osiągnąć potęgę, o jakiej nie śniło się nikomu na tym świecie...

„Nam”, pomyślał Selifanow, w jego ustach to pewnie oznacza „mnie i tylko mnie”.

– Dla dobra matki Rosji i ojczulka cara, musicie mi zorganizować spotkanie z nimi!

– Nic prostszego...

– Otoczę ich swoim czarem i w ciągu jednej chwili uzyskam wiadomości, jakich wy nie potrafiliście wydobyć przez tyle czasu! Wiem, Selifanow, co teraz myślisz. – Rasputin wpił w naukowca niesamowite, gorejące spojrzenie. – To nie są przecież ludzie, myśli doktor

Selifanow, nie dadzą się omotać zarozumiałemu szarlatanowi. Selifanowowi zdaje się, że jest

kimś lepszym od innych, a w szczególności od brudnego, ciemnego mnicha, szalbierza i oszusta. Czy tak myśli Selifanow?

Uśmiechnął się paskudnie na widok pobladłej nagle twarzy rozmówcy.

* * *

Skalny okruch znów wszedł na orbitę wokół Ziemi, znowu zaczął toczyć się po mniej więcej regularnym okręgu, tym razem jednak niepomrotnie bliżej planety. Obiegał ją w ciągu

kilkudziesięciu minut, ocierając się w przelocie o delikatny ogon atmosfery i lekko drząc od

tego dotyku, jakby był stęsknionym kochankiem, którego raz po raz muska w tańcu skraj sukni wybranki.

* * *

– To diabeł! – mamrotał Faeton Piotrowicz. – Mówię panu, baronie, znał moje myśli!

Dołgoruki pokręcił głową z politowaniem.

– Dał się pan nabrać na najprostszą możliwą sztuczkę. Dziwię się doprawdy, że pana przenikliwy umysł pozwolił się tak łatwo podejść. Mój drogi, toż nie tak trudno domyślić się,

co może myśleć świątły człowiek o tym prostaku... Byстрыm prostaku, muszę przyznać, niebezpiecznie byстрыm...

– Ciszej baronie, ciszej! On może wszystko słyszeć... On wszystkiego się domyśla...

Pan go nie docenia.

– Jeżeli tak – roześmiał się Dołgoruki – jeżeli zna nasze myśli, cóż pomoże się z nimi ukrywać? I tak je odgadnie, prawda? Powiem panu przy okazji, że jego gadanie o zamiarze

zacieśniania stosunków z rasą piaskogłowców bardzo mi się nie podoba. Mówi o przyjaźni z

nimi, a wzrok ma przy tym taki, jakby ich chciał pozabijać, chociaż nawet jeszcze się z nimi

nie spotkał. On knuje coś podłego, powiadam panu...

Selifanow nie słuchał dalej. Skulił się, zasłonił uszy i odszedł w pośpiechu.

* * *

– Piękne masz palce – piaskogłowiec wskazał dłonie Rasputina. Translator obcych był

doskonały. Tłumaczenie odbywało się na bieżąco, z najwyżej półsekundowym opóźnieniem.

Mnich zerknął krytycznie na swoje ręce. Nic w nich nie zobaczył szczególnego, więc skrzywił się, nie wiedząc, jak potraktować słowa piaskogłowca.

– Przypominam, Grigoriju Jefimowiczu – Faeton Piotrowicz mówił cicho, tak, żeby maszyna nie wyłapała i nie przetłumaczyła jego słów – że dla nich palce są bardzo ważne.

To,

co powiedział, stanowi rodzaj bardzo uprzejmego powitania. Proszę mu odpowiedzieć w tym samym tonie.

– Ach! – Rasputin rozjaśnił się. – I twoje palce są piękne – zwrócił się do piaskogłowca.

Ten uczynił nieokreślony ruch ręką, który, jak wyjaśnił Selifanow, znaczył mniej więcej tyle samo, co ludzkie skiniecie głową. Rasputin uważnie przyglądał się przybyszowi.

Piaskogłowcy różnili się podobno między sobą, ale różnice te były dla ludzi nieuchwytnie

–

wyglądali jak odbici od jednej sztancy. Nawet Faeton Piotrowicz czy baron Dołgoruki, którzy spędzali z nimi najwięcej czasu, nie bardzo potrafili się w tym połapać. Obcy ubrani w skafandry przypominali z grubsza ludzi, jednak po odrzuceniu hełmów od razu rzucały się w

oczy ich płaskie twarze i duże, łyse czaszki pokryte skórą o takiej fakturze, jakby nasypano pod nią drobnego żwiru.

Piaskogłowiec milczał, czekając, co mają mu do powiedzenia zgromadzeni ludzie.

Rasputin nie omieszkał skorzystać z okazji.

– Miałem widzenie! – zahuczał, aż echo poszło między barakami i odbiło się od ściany lasu. – Korab w nim ujrzałem latający, a w nim istotę nie z tego świata, wypisz wymaluj jak nasz gość, i dwóch przy niej ludzi. Panowała między nimi przyjaźń i pokój.

Powiadam wam, prawowierni, piękne to było widzenie!

Translator poszcze kiwał i popiskiwał przez dłuższą chwilę. Rasputin wlepił pałające spojrzenie w piaskogłowca. Tym spojrzeniem zniewalał wszystkich, włącznie z carem i jego najbliższym otoczeniem.

Obcy był zdezorientowany.

– Nie zrozumiałem, czy ktoś może wytłumaczyć?

– Widzenie miałem! – zahuczał znowu Rasputin. Umilkł jednak uciszony niecierpliwym gestem Dołgorukiego. Faeton Piotrowicz wyjaśniał przybyszowi sprawę w prostych słowach.

Piaskogłowiec nie miał nic przeciwko zabraniu na przejażdżkę dwóch ludzi.

– Ale jego nie – wskazał Rasputina. – Nie rozumiem go i mam obawy, że nie wszystko prawidłowo funkcjonuje w jego narzędzie myślenia. Budzi we mnie niepokój...

Rasputin zgrzytnął tylko zębami, ale bez słowa przełknął gorzką pigułkę. Jednak to, co bacznie obserwujący mnicha baron dostrzegł w jego oczach, było przerażające niczym obietnica piekła...

* * *

Tego samego wieczora radca tajny Jakub Fiodorycz Połynow odwiedził barona w trakcie pracy.

– To zwierzę, baronie! – szeptał nerwowo. W ogromnej hali jego szept ginał, jakby zaplątywał się w zwały waty. – To, eksjuzmi, bydlę, jak sędzę...

– Niechże pan wreszcie powie, o co chodzi!

– Doniósł mi przed chwilą praporszik gwardii, Jefremow... Był przerażony...! Wystaw pan sobie: przerażony gwardzista...! Boże, to straszne, niespotykane!

– No mów nareszcie, człowieku! – zniecierpliwił się Dołgoruki.

– Rasputin kazał ująć i aresztować porucznika Liwskiego, że niby to, jakby tu powiedzieć, sprzyja wywrotowcom. Że niby z niego socjalista albo i gorzej...

Baron drgnął.

– Liwskiego?!

– Nie inaczej. A to przecież, że się tak wyrażę, godny zaufania oficer, chociaż Polak...

Kazał go aresztować i osobiście przesłuchiwał, jak sędzę brutalnie, bo praporszik mówił, że słychać było straszliwe krzyki. Liwski nic nie powiedział, bo i pewnie nie miał o czym.

To go

Rasputin do biurka swojego, jakby tu powiedzieć, kazał przywiązać, bo przesłuchiwał go u mnie w gabinecie, tak że biedak przegięty, że tak się wyrażę, w pałąk leżał, potem wszystkich

precz wygnał... On, jakby tu powiedzieć, niestety, porucznika Liwskiego na tym biurku, z przeproszeniem... tfu, co za ohyda!

– Zgwałcił go?

– Właśnie.

Dołgoruki zatrzęsł się z odrazy.

– Idę do niego. Niech uwolni biedaka. Słowo książąt Dołgorukich jeszcze coś w tym kraju znaczy!

Połynow ukrył twarz w dłoniach.

– Nie ma po co, baronie. Porucznik, kiedy prowadzili go do celi, wyrwał strażnikowi karabin i rzuciwszy się na bagnet, że tak to ujmę, trupem się na miejscu położył.

Dołgoruki wyglądał, jakby przybyło mu dziesięć lat. Ciężko opadł na roboczy zydeł, zapatrzył się w zepsutą maszynę.

– Rasputin musiał się na kimś odegrać za upokorzenie, jakiego doznał od naszego gościa... Słusznie obawiał się pan jego wizyty... I dla kogo my to robimy, Jakubie Fiodoryczu,

dla kogo staramy się pozyskać myślącą maszynę i po co? Dla kogo staramy zgłębić tajemnice

latających statków? Komu to będzie służyć, jeśli nie takim bydlętom, które zechcą to wykorzystać tylko dla własnych celów...?

Ale Połynow, wygadawszy się, odzyskał nieco równowagę, a wraz z nią wrodzoną ostrożność.

– Ciszej, Aleksandrze Aleksandryczu. Po co to tak głośno, że się tak wyrażę, mówić takie rzeczy?

Dołgoruki rzucił mu w odpowiedzi pogardliwe spojrzenie. Mały człowieczek o mizernej duszyczce.

Kiedy Połynow wyszedł, baron westchnął ciężko. Jutro czeka go lot korabiem piaskogłowca. Ma mu towarzyszyć major Szmit. Diabli wiedzą, dlaczego wybrano akurat barona. Planował wymówić się niedyspozycją – w jego wieku byłoby to zrozumiałe – i zaproponować na swoje miejsce Liwskiego, jak to kilka godzin temu ustalili. Jednak w tej sytuacji musiał wypełnić zadanie, które powierzono nieszczęsnemu porucznikowi.

Niepokoilo

go tylko, że właściwie powinien zostać aresztowany wraz z Liwskim. Wszyscy wiedzieli, że pozostają w przyjaźni i zażyłości. To podejrzane, że pozostawiono go w spokoju. Czyżby za tym czaił się jakiś podstęp?

Rozmyślanie przerwało leciutkie pukanie do drzwi.

* * *

Okruch skalny zbliżał się do Ziemi, przyciągany przemożną mocą, niczym samiec modliszki gnany siłą instynktu, mimo iż w chwili spełnienia zginie w trzewiach partnerki.

W

swoim dążeniu podobny był tysiącom i milionom chwilowych kochanków lazururowej planety, trwającym mgnienie oka, jak rozbłysk światła. Nie był na tyle duży, żeby mieć możliwość odcisnąć się na jej powierzchni trwałym piętnem. Nie miał nawet szans dotrzeć do niej, zanim rozpadnie się zmiażdżony oporem powietrza, straszliwego żywiołu, który pozbawił istnienia tyłu jego poprzedników. Mógł co najwyżej opaść deszczem gorącego żużlu.

* * *

– Nie ma pan innego wyjścia, baronie – Gribow rozłożył ręce. – Musi pan komuś zaufać.

– Jednak dlaczego akurat panu? Nie był pan przyjacielem Pawła Liwskiego.

Rzekłbym, że wręcz przeciwnie...

Gribow wzruszył ramionami.

– Rzeczy nie zawsze są takimi, jakimi je postrzegamy. Nikt inny poza mną nie umożliwi panu przeprowadzenia misji, jaka by ona nie była... W tym przeklętym miejscu każdy wypełnia jakąś misję, jest na czyichś tajnych lub jawnych usługach. Co za czasy...

– A jaki pan ma interes w tym, żeby mi pomagać? – Dołgoruki zmrużył oczy.

– To nieistotne. Ważne jest, że w tym momencie nasze interesy zbiegają się, przynajmniej na chwilę, a może być, że i na dłużej.

Baron przyglądał się uważnie rozmówcy.

– Na dłużej? Nie sądzę – westchnął ciężko. – Ale niech pan mówi.

* * *

Następnego ranka major Szmit z paskudnym uśmiechem zaglądał w oczy barona.

Zaglądał w nie ciemnym okiem wylotu lufy nagana.

– Nie udało się, prawda, jaśnie panie baronie? Nie wyszedł wasz czerwony spisek!

Piaskogłowiec, zaniepokojony, zaczął piszczeć i buczeć po swojemu, ale zanim translator przełożył jego słowa, major rąbnął pięścią w obudowę. Coś trzasnęło i lampka kontrolna zgasła. Piaskogłowiec zaczął się podnosić z fotela. Major, nie spuszczając z celownika Dołgorukiego,

przechylił się przez konsolę, z krótkiego rozmachu wyrznął

obcego

pięścią prosto między fioletowe oczy. Piaskogłowiec zabulgotał i opadł ciężko z powrotem na miejsce.

Wisieli nad zbitą gęstwą tajgi, kilkaset kilometrów na północny wschód od bazy. Byli tak wysoko, że nad sobą mieli rozgwieżdżone czarne niebo, mimo iż na dole minęło zaledwie

południe. Major chwilę wcześniej poprosił piaskogłowca o zatrzymanie statku, gdyż, jak powiedział, chciał rozkoszować się widokiem. Jednak ledwo ustał ruch pojazdu, wy dobył

rewolwer.

– Jaki spisek, majorze? – baron zachowywał kamienny spokój. – Niech pan odłoży lepiej broń i pozwoli naszemu gościowi kontynuować lot.

– Będzie go kontynuował, oczywiście, że będzie. W chwili, kiedy ja zdecyduję i w kierunku, jaki wyznaczę!

– Pan zwariował – stwierdził zimno Dołgoruki.

Szmit roześmiał się chrapliwie.

– Może zaprzeczy pan, że jest czynnym członkiem partii socjaldemokratycznej, dążącej do obalenia caratu?

– Pan naprawdę zwariował, majorze! Przecież bolszewicy, gdyby dać im tylko możliwość, będą przede wszystkim mordować takich arystokratów jak ja. A poza tym, gdybym chciał działać na szkodę carskiej Rosji, wybrałbym chyba ugrupowanie silniejsze, o

większych szansach na dojście do władzy! Komuniści są na to za słabi i nigdy odpowiedniej

siły nie uzyskają. Ich program jest zbyt radykalny, utopijny i...

– Nie wierzę panu, baronie! To zwykła demagogia, nieudolne mydlenie oczu! I tym mydleniem sam pan się ujawnił. Patrzcie go – to niby nic nie wie, nieświadomy spraw państwowych, zaszyty w leśnej głuszy, a wie, kto to socjaldemokraci. I jakie mają zamierzenia nawet wie... Tfu, baronie, jakże ja nie lubię obłudy! Poza tym doniósł mi Golinow, że tytułował pan Liwskiego towarzyszem...

– Golinow! – Dołgoruki prychnął z pogardą. – Liwski dobrze wiedział, że jego ordynans jest na usługach pańskich... i Gribowa. T o w a r z y s z a Gribowa!

Szmit zaklął paskudnie, przez chwilę trawił niespodziewaną informację.

– I komu mam wierzyć, baronie? Panu czy jemu?

Odpowiedzią było jedynie wzruszenie ramion. Piaskogłowiec tymczasem wodził

wzrokiem od jednego do drugiego. Z pewnością chciałby zrozumieć, co się przed nim rozgrywa, ale po zniszczeniu translatora zdany był jedynie na domysły. Zapadł w stan odrętwienia.

– Zresztą, Aleksandrze Aleksandryczu – powiedział po chwili Szmit – to, czy należy pan do czerwonych, czy nie, jest nieistotne. Mam swoje ściśle określone rozkazy...

Znowu zapadła cisza. Nagle Dołgoruki wyprostował się i powiedział:

– Wie pan, że ja też mam rewolwer?

Major wytrzeszczył oczy.

– Co takiego?!

– Dobrze pan usłyszał. Ja też mam swoje rozkazy i swoją broń. Tyle że nie zamierzałem i nie zamierzam jej użyć. Pozwoli pan?

Ostrożnym ruchem, bardzo wolno sięgnął za połę surduta i wyjął nagan identyczny z tym, którym groził mu Szmit. Podał go majorowi.

– Przecież poza wojskowymi nikt w zespole nie ma prawa posiadać broni...!

– Dostałem od Gribowa. Jeżeli pan sobie dobrze przypomina, on sprawdzał nas obu przed wejściem na statek... Ale to nie wszystko... – Sięgnął do drugiej kieszeni. – Wie pan, co

to jest?

Major znowu wytrzeszczył oczy.

– Pewnie, że wiem! Wygląda na zapalnik bombowy...

– Właśnie – skinął głową baron. – Znalazłem go pod tą konsolą – klepnął dłonią blat stanowiska piaskogłowca. – Zapalnik w zupełności tutaj wystarczy. Wie pan, że nawet niewielki wybuch, który by spowodował posłałby nas do wszystkich diabłów?

– Ale skąd – wysapał Szmit – skąd pan wiedział?

– Uprzedził mnie świętej pamięci porucznik Liwski. Zanim beztróska wydał go pan w łapy Rasputina...

* * *

– Jak ty sobie dajesz z tym radę, Gribow, co? – Rasputin nie patrzył na kapitana. Jego wzrok błędził

za oknem, napawając się soczystą zielenią czerwcowej tajgi.

– Nie rozumiem, wasza wielmożność.

– Rozumiesz, rozumiesz, Gribow.

– Naprawdę trudno mi zgadnąć, co wasza wielmożność ma na myśli...

Rasputin nie odpowiedział. Siedział zapatrzony w ścianę lasu. Gribow z niepokojem przyglądał się wszechwładnemu mnichowi.

– Ładunek uzbroiłeś jak należy? – spytał zniecka Rasputin.

– Oczywiście, jakżeby inaczej.

– No tak, przecie żeś artylerzysta... Ale też nigdy nie zawadzi się upewnić.

Gribow obserwował Rasputina z coraz większym niepokojem. Czego ten szarlatan chce? Co wie, a czego się domyśla?

Rasputin nagle huknął pięścią w stół.

– Nie ma prawa ten korab obcy latać po chrześcijańskim niebie! – wrzasnął. – Tu czy gdziekolwiek indziej! I dlatego musi być zniszczony! – przewrócił oczami. – Widziałem bowiem gwiazdę spadającą, co w trzewiach swoich istotę obrzydłą strawiła. A była owa gwiazda niczym grom potężny, niczym rozbłysk słońca, jak głos Boga zagrzmiała nad światem, gorzka niby piołun!

Gribow z trudem powstrzymał złośliwy uśmiech. Ciemny mnich. Nadepnął mu piaskogłowiec na ambicję, więc chce się zemścić w jedyny dostępny jego ciasnemu umysłowi

sposób, wprost czerpiąc z Apokalipsy pomysły...

– Nie, Gribow, łajdaku, nie dlatego go zniszczymy, że mnie obraził...

Kapitan zbladł, poczuł, jak krew odpływa mu z serca. Czyżby Rasputin rzeczywiście umiał czytać w myślach?

– ...nie dlatego, Gribow. Widzenie miałem! – znowu zagrzmiał potężnym basem. –

Widzenie miałem, że siły wraże z pomocą tych obmierzłych przybyszów, wysłanników szatana, obalą i zamordują naszego ukochanego cara!

Umilkł, a potem podjął cichym, stonowanym głosem.

– I dlatego też, kochaneczku, poleciłem sprawdzić, czyś dobrze wywiązał się z zadania... I wiesz, co się okazało, prawda, gołąbku?...

W lesie opodal baraków projektu dwóch ludzi pochyłało się nad zakrwawionymi zwłokami.

– Niedźwiedź – mruknął ponury gwardzista ogromnej postury. – To musiał być niedźwiedź. Durny Golinow, po co laż sam do tajgi?

– Lato się zaczęło – zaprotestował drugi o ospowatej twarzy, równie masywny jak jego towarzysz. – Misie mają żeru pod dostatkiem, nawet nie podchodzą pod Wanawarę...

Ponury wskazał trupa.

– Więc co go tak urządziło? Rusalki miejscowe?

Ospowaty dotknął przesiąkniętego krwią materiału koszuli trupa.

– Wygląda rzeczywiście na łapę niedźwiedzia – powiedział w zamyśleniu. – Tylko dziwne, że ma rozerwane gardło i to wszystko. Misie rzadko tak zabijają. A poza tym, dlaczego go nie zeżarł?

– Widać nie był miasun – odparł ponury.

– Każdy niedźwiedź to miasun – machnął ręką ospowaty. – Niech no tylko powącha krwi... Wiesz, Miska, takie rany można przy odrobinie wprawy zrobić zwykłym bagnetem...

Ponury zatroskał się.

– Myślisz? W takim razie idziemy do obozu po łopaty. Trzeba trupa zakopać, żeby śladu nie było. To by się nam dostało, że morderstwo tuż pod obozem, gdzie gości wielka persona, a gwardziści co – śpią?

– Chcesz to ukryć?! – zdumiał się ospowaty.

– E, gdzie tam. Jak tylko Rasputin odjedzie, truposza wykopiemy i obejrzy go lekarz.

Do tego czasu mordy trzymamy na kłódkę. Pamiętaj!

– Długo będziemy tu tkwić?

– Ile będzie trzeba. Proszę powiedzieć piaskogłowcowi, że nic mu nie grozi...

– Ciekawe – ton głosu barona był zjadliwie uprzejmy – jak nasz przyjaciel ma to zrozumieć, skoro tłumacz nie działa. Jeśli sobie dobrze przypominam, sam pan był łaskaw go

zniszczyć nie tak dawno.

– Nie ma zapasowego?

– Niech pan spróbuje zapytać.

Major zwrócił się w stronę piaskogłowca, stuknął palcem w rozbity translator i chrząknął pytająco. Piaskogłowiec patrzył rozszerzonymi oczami gdzieś w przestrzeń.

Nie

zareagował, jakby nie dostrzegał poczynań Szmita.

– Co mu jest?

– Nie wiem, majorze. Naprawdę nie wiem. Może tak reaguje na gwałtowne przeżycia, na niebezpieczeństwo...? Jak dotąd nie mieliśmy do czynienia z podobną sytuacją.

– No dobrze – Szmit rozparł się wygodnie. – To my poczekamy, aż ten jego szok przeminie. I pogadamy tymczasem.

– O czym?

– O tym, na ten przykład, kim też są pańscy mocodawcy, panie baronie.

– Jacy moi mocodawcy?

– Niechże pan się nie wygłupia, z łaski swojej. Skoro się powiedziało „a”, należy powiedzieć też „b”, nieprawdaż?... Pan powiedział „a”, kiedy przyznał, że Gribow dał

panu

rewolwer i że współpracował pan z Liwskim. I proszę nie liczyć na to, że zrobią na mnie wrażenie jakieś nowe rewelacje czy następny zapalnik od bomby. Po przemyśleniu sprawy

nie bardzo wierzę w wersję, że pan go znalazł w konsoli. Myślę, że mydli mi pan oczy.

No,

słucham, oczekuję tylko odpowiedzi ścisłych, zgodnych z prawdą lub choćby tylko prawdopodobnych.

Baron zmęczonym gestem otarł twarz.

– Skoro musi pan wiedzieć, majorze, działałam z bezpośredniego rozkazu cara...

Przerwał mu śmiech.

– Pan beczelnie kłamie, Aleksandrze Aleksandryczu! To ja wypełniam rozkazy cara!

Mam sprowadzić korab w wyznaczone miejsce o wyznaczonym czasie.

Dołgoruki siedział z kamienną twarzą.

– Myli się pan, majorze. – W jego głosie było coś, co kazało przeciwnikowi zamilknąć. – To ja otrzymałem carski rozkaz, aby nie dopuścić do jakichkolwiek działań mogących zakłócić nasze stosunki z piaskogłowcami. Z tego, co wiem i czego się domyślam,

pan nie służy carowi, ale Rasputinowi. Pomyślał pan o tym? I o tym, że nasz wesołkowaty

pijaczyna Gribow wywiódł w pole mnie, pana, a kto wie, czy i nie Rasputina w końcu?

* * *

Skalny odprysk zbliżał się coraz szybciej do swego celu, ujęty w cęgi rosnącej siły grawitacji. Dookoła poblękitniało, czerń przestrzeni pobladła, gwiazdy zamrugały gwałtownie. Meteor otarł się o wierzchnie warstwy atmosfery, zawirował jak wielki bąk, po

czym, ściągany bezlitośnie w dół, runął gwałtownie przy wtórze wycia dartego, gęstniejącego

z każdym przebytym metrem powietrza.

* * *

– Od kilku dni obserwowano wzmożoną migrację zwierząt. – Faeton Piotrowicz zerknął na meldunek z wysuniętej placówki. – Zupełnie jakby miało zdarzyć się jakieś nieszczęście... Kolcow znowu o tym pisze.

Połynow machnął niecierpliwie ręką.

– Moim zdaniem większy problem mamy, że tak się wyrażę, z Rasputinem. Ledwo statek odleciał, ten zaszył się w bunkrze numer dwa, razem, jakby tu powiedzieć, z Gribowem... Przesłuchuje go czy jak?...

Selifanow spojrzał nierozumiejącymi oczami.

– Zaszył się, to dobrze. Czym się martwić? Przynajmniej nie będzie nam przeszkadzał

w prowadzeniu obserwacji. Że z Gribowem? A cóż on może mieć do tego hulaki? Niech go

sobie przesłuchuje albo wódę z nim chla, według upodobań i nastroju.

– Nie wiem, jakby tu powiedzieć... – Połynow pokręcił głową. – Czuję, że tak się wyrażę, czuję coś niedobrego...

* * *

Rasputin rzucił na biurko niewielką paczkę.

– I dlatego, Gribow, twoja licha bombka jest tutaj, a na jej miejscu znajduje się porządnie wykonany, choć nieduży ładunek. Dociera to do ciebie?

Gribow zmrużył oczy, przywołał na twarz uśmiech. Z trudem powstrzymywał drzenie głosu.

– Kiedy podejmuje się jakąś grę – odchrząknął – należy liczyć się z przegraną. Tym większą, im wyższa jest stawka, o którą się gra...

– Nie inaczej, przyjacielu, nie inaczej. Mnie jednak nie interesuje stawka, bo ją znam, ale raczej skład graczy. W tej rozgrywce to jest najistotniejsze – nie o co gramy, ale kto z kim!

– Nie wiem doprawdy, co jest ważniejsze. Dla mnie jednak stawka... Tym bardziej że wy gracie dla siebie, Grigoriju Jefimowiczu, a ja służę carowi...

– Pewny siebie jesteś, kapitanie. Zbyt pewny siebie. Co do twojej wierności naszemu monarsze, niech go Bóg zachowa – mnich przeżegnał się szerokim gestem – to mam pewne

uzasadnione wątpliwości. Nie wiesz o czymś, co ostatnio stało się w Moskwie. Nie wie o tym

nawet nasz znakomity major ochrony Szmit. Otóż, słuchaj uważnie, złapaliśmy niedawno człowieka nazwiskiem Dawydow, alias Masza Srogi. A on powiedział nam kilka bardzo ciekawych rzeczy zanim umarł, t o w a r z y s z u Gribow!

Kapitan uśmiechnął się znowu, tym razem szczerze. Teraz, kiedy wszystko było już jasne, poczuł niespodziewaną ulgę.

– A nie powiedział wam ten Dawydow, że ze mnie straszliwie podstępna bestia i trzeba mi patrzeć na ręce, nawet gdyby mi je wpierv odciąć i spalić w piecu?

Rasputin odchylił się w fotelu, zmrużył oczy.

– Powiedział, a jakże... Ty zaś powinieneś wiedzieć, że każdy as znajdzie wreszcie na swojej drodze innego asa, silniejszego. I właśnie teraz ciebie to spotkało, czerwony skurwysynu!

– Nie wiem, doprawdy, czy tak jest w istocie. – Gribow wydawał się być zupełnie spokojny, wręcz odprężony.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Wzruszył ramionami.

– Nic takiego, Grigoriju Jefimowiczu. Ta bomba, o której raczyłeś wspomnieć... Ona także została rozbrojona i to nawet nie moimi rękami... To, jak sądzę...

Przerwał mu śmiech Rasputina, grzmiący jak uderzenie w gigantyczny gong.

– Sprytna z ciebie bestia, kapitanie Gribow! Zaprawdę, powiadam ci, to przyjemność mieć takiego

przeciwnika!

* * *

Kamienny okruch nabierał prędkości w swoim nieuniknionym ruchu ku powierzchni planety. Darte powietrze układało się za nim w mętny kształt smugi, przypominający wydłużony ogon rozgrzanej słonecznym wiatrem komety.

* * *

– Panu zdaje się, majorze, że mierząc do mnie z rewolweru i zmuszając do bezczynności, decyduje pan o czymkolwiek? Myli się pan. Za nas już zdecydowano...

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Piaskogłowiec otrząsnął się z odrętwienia, nie wykazywał już jednak niepokoju, przyglądał się tylko to jednemu, to drugiemu. Wyglądało na to, że w obliczu nieuniknionego

osiągnął stan rezygnacji. Zajął się wreszcie śledzeniem informacji napływających na ekrany z zewnętrznych czujników.

– Jedziemy na tym samym wózku, Szmit. Obaj jesteśmy w carskiej służbie. Obaj powinniśmy służyć tej samej stronie... Ktoś próbuje wbić między nas klin. Ta sama osoba,

która wydała w ręce Rasputina porucznika Liwskiego, mojego łącznika z domem cesarskim...

Tak, majorze, Paweł nie był żadnym tam socjałem czy komunistą! Rasputin dobrze o tym wiedział, ale skorzystał z okazji, żeby się go pozbyć pod byle pretekstem! Bo Liwski, majorze, był zaufanym łącznikiem z domem monarszym.. Miał dopilnować, aby projekt nie

padł ofiarą politycznych manipulacji, miał chronić piaskogłowców przed takimi właśnie zamachami jak ten! Niechże dotrze to do pana w końcu – porucznik miał wykonać zadanie,

które po jego śmierci musiałem przejąć ja! Tyle – dorzucił gorzko po chwili milczenia –

że on

z pewnością zdołałby to zrobić o wiele lepiej niż niedołączny starzec... Nie pan trzymałby go

tutaj pod lufą, ale... – machnął ręką z rezygnacją. – On był wart więcej, niż my wszyscy razem wzięci.

Szmit spojrzał niepewnie.

– Może to i prawda, co pan mówi, baronie Dołgoruki. Jeżeli jednak tak jest, nie ma się czym martwić. Wykonam rozkazy, które otrzymałem, a po wylądowaniu bez trudu wszystko

ustalimy i, jeżeli racja jest po pana stronie, załagodzimy zajście z piaskogłowcami. Na razie mamy tu być jeszcze – wyjął z kieszeni zegarek – co najmniej dwadzieścia trzy minuty. I tyle będziemy!

Dołgoruki szarpnął się.

– Nie czuje pan swoim szpiclowskim nosem czegoś niepokojącego w fakcie, że tkwimy tysiące metrów nad ziemią, kawał drogi od bazy, bez żadnej przyczyny?

– Nic nie dzieje się bez przyczyny – zauważył sentencjonalnie Szmit.

– No właśnie! – podchwycił baron. – Dlatego radziłbym opuścić to miejsce, i to jak najprędzej!

Oczy majora były zimne niczym kryształki lodu.

– Dlatego wykonam rozkaz co do joty! I nie ma o czym mówić! – uciał dyskusję.

Nagle ich uwagę zwróciło zachowanie piaskogłowca. Obcy skulił się na swoim fotelu i zaczął wydawać przeciągłe, rozpaczliwe wizgi. Oczy wlepił przy tym w migające światelka

na konsoli.

– Co się stało? Co jest? – Szmit szukał wyjaśnienia u Dołgorukiego.

Baron wzruszył ramionami.

– A skąd mam to wiedzieć, na Boga? W każdym razie...

Nie dane mu było dokończyć myśli. Zatonęła w gigantycznym rozbłysku.

* * *

Ruslan Ababa pędził bez tchu przez leśny gąszcz, gnany panicznym strachem, podobnie jak zwierzęta wokół. Zupełnie nagle, chwilę temu, dotarło do niego, że ucieczka zwierzyny musi zwiastować naprawdę potężny kataklizm. Nie zwykły pożar tajgi, ale coś o

wiele groźniejszego. Objawienie przyszło niespodziewanie, kiedy już wysłał do Wanawary

kolejnego gołębia z meldunkiem. Bronił się przed paniką przez tych kilka dni obserwacji, aż

wreszcie skapitulował. W żyłach miał domieszkę krwi ludu Goldów. Pewnie z tego powodu

czuł się w tajdze jak w domu, ale też i dlatego poddał się wreszcie poczuciu zagrożenia, podobnie jak dzicy mieszkańcy lasu.

– To nie ma sensu – tłumaczył jego towarzysz i przełożony na placówce, Sipryd Kolcow. – Jeżeli

byłoby to coś bardzo poważnego, i tak nie zdołamy uciec. A jeżeli to tylko

zwykły pożar, wtedy, Rusłanie, jesteśmy bezpieczniejsi na naszej wielkiej polanie niż wśród drzew...

Przeklęty mieszcuch! Czy on naprawdę nie czuł, że coś wisi w powietrzu, że trzeba uciekać jak najdalej stąd? Najpierw próbował wpłynąć na Ababę mocą rozkazu, potem własnym ciałem zatarasował drzwi baraku, chwycił nawet sztucer. Leżał tam teraz ze swoim

zdrowym rozsądkiem w kałuży krwi. Może jeszcze kopał nogami, może już skonał, Rusłana

to nie obchodziło. Opadł z niego cały szlif cywilizacji, studiów na petersburskiej uczelni, ciężar moralnych nakazów i zakazów. Zwyciężył instynkt.

Biegł na południe. Gałęzie cięły mu twarz, zatrzymywały w pędzie, ale nie zważał na nic. Chciał pozbyć się wreszcie tego nieznośnego uczucia swędzenia na czubku głowy, jakby

miał tam zaraz spaść kamień. Biegł, czując, jak płuca pracują ostatkiem sił. Nagle tajga zaskoczyła go potężnym wykrotem – spał mięśnie, skoczył...

Potworny blask pochwycił go w połowie lotu. Piekielnie mocny, gorący podmuch powietrza cisnął nim o pień ogromnego świerka, wypalił w wymęczonych płucach oddech.

Zanim zdążył uderzyć w walące się od podmuchu drzewo, jego ciało objął wszechobecny płomień. Rusłan Ababa zamienił się w garść popiołu.

* * *

Grirow powoli wracał do przytomności. Gdzieś z wielkiej oddali słyszał głos o brzmieniu znajomym i budzącym tak nieprzyjemne skojarzenia, że nie miał wcale ochoty wracać do życia. Tym bardziej że na rękach i nogach czuł wrzynające się w ciało sznury.

Rasputin związał go, korzystając z chwili omdlenia.

– Grirow! No, Grirow! Nie bądź taki delikatny, czerwona gnido!

Wbrew sobie otworzył oczy. Wspomnienie niespodziewanego blasku, zupełnie jakby rozblęzło milion słońc, sprawiło, iż natychmiast je zamknął. Wydawało mu się wtedy, że na

pewno oślepl, ale nie...

– Podobało się widowisko? – Rasputin był w doskonałym nastroju. – Żebyś widział, co dzieje się teraz w Wanawarze... Pozawalane domy, pożary... Groza i piękno, dokładnie jak

w moim widzeniu.

Gribow poderwał się, zapominając o więzach, i zaraz ciężko opadł z powrotem na krzesło, popchnięty potężną dłonią Rasputina.

– Co zrobiłeś?! Co ty zrobiłeś, łajdaku?!

– Nie tak ostro, kapitanie, nie tak ostro! Co zrobiłem? Nic. Widzenie miałem.

Widziałem, jak na wraży korab obcych spada grom gniewu Bożego, by roztrzaskać go w perzynę, a ludzi ostrzec, żeby nie kumali się z diabłem.

– Tam gdzieś była jeszcze jedna bomba, tak?

Rasputin pokręcił głową.

– Nie było takiej potrzeby, Gribow. Ja wiedziałem, gdzie i kiedy objawi się palec Boży, i tam właśnie posłałem korab... A Bóg strzaskał go swą dłonią... Kamienne palce Boga

– mruknął do siebie. – Wybuchł obcy korab niczym milion wulkanów, tyle w sobie mieścił diabelskiej mocy...

Kapitan patrzył osłupiały.

– Jak żyję, nie słyszałem podobnej bzdury...

– Nie musisz mi wierzyć. To bez znaczenia, czy ktokolwiek by uwierzył. Ja chwalić się nie zamierzam. Ja zamierzam sprawę wyciszyć, a wszystkich świadków... Już ty wiesz,

co...

– Kiedyś za to zapłacisz, Rasputin! Zapłacisz za wszystko, co zrobiłeś, i za jeszcze więcej. I pociągniesz za sobą wiele ofiar... Wtedy wspomnisz moje słowa! Widzę to w godzinie śmierci i to przepowiadam!

Rasputin patrzył spokojnie.

– To ja miewam tutaj wizje, przypominam. Ty masz prawo jedynie zdechnąć, i to tak, żeby nikt nie odkrył twego grobu...

– Dlaczego, Rasputin? Powiedz mi tylko, po co to wszystko?

Rasputin odetchnął głęboko.

– Zmiany, kapitanie... Widzisz, obcy niosą ze sobą zmiany... A tych obawiają się wszyscy, obawiam się ich ja sam, cały lud Boży... Nie trzeba zmian, nie trzeba zatem i obcych. Rozumiesz?

– Człowieku, nie da się powstrzymać postępu! Nie da się powstrzymać wszystkich, którzy go niosą!

– Racja, Gribow, ale wszystko musi mieć swój czas. Ja wiem więcej, niż ci się zdaje.

Ja mam widzenia... – Rasputin nagle porzucił swój dotychczasowy rubasznie groźny ton.

–

Jeszcze za wcześnie... Jeszcze ludzie nie dorośli. Postęp, twój ukochany bożek, także musi dojrzeć. Car... – zamyślił się. – On też do końca nie rozumie, że to wszystko za szybko...

On

to wreszcie pojmie, ale wtedy mogłoby być za późno. Dlatego ja sam muszę dopilnować, żeby ludzie nie dostali zbyt szybko tego, co mogłoby ich zgubić... Ludzie są jak dzieci.

Daj

dziecku rewolwer, a zastrzeli wszystkich dookoła, a w końcu i siebie...

– A kim ty jesteś, Rasputin, żeby decydować za ludzkość, czy dorosła, czy nie?!

Powiedz mi, zanim umrę, kim jesteś?

– Nic nie myślisz, Gribow. To nieważne, kim jestem. Działam zgodnie z interesem Rosji i cara.

– Cara! – Gribow splunął z pogardą. – Powiedz mi prawdę! Kim jesteś? Może takim samym przybyszem jak piaskogłowcy? Tylko umiesz lepiej się ukryć? A może jesteś tak szalony, że uważasz się za posłańca Boga... albo raczej diabła? No, powiedz!

Rasputin patrzył na niego z uśmiechem.

– Głupi jesteś, poruczniku, ot co. Chciałbyś, żeby wszystko dało się wyjaśnić, a uwierz mi, wszystkiego wyjaśnić nijak się nie da.

Zbliżył swoją twarz do twarzy kapitana. Gorejące oczy były niczym dwie studnie prowadzące ku otchłani. „Jak okna piekiel”, pomyślał Gribow i zadrżał na całym ciele.

On,

ateista, nieuznający żadnych kompromisów w swoich poglądach na religię, po raz pierwszy w życiu dopuścił do siebie myśl, że piekło może jednak istnieć.

– Wszystkiego wyjaśnić się nie da – powtórzył leniwie Rasputin. – Dlatego już nic więcej ci nie wytłumaczę, człowieku. Śmierć będzie wtedy lżejsza, możesz mi wierzyć...

Table of Contents

[Rozpoczni](#)